











**GRZESZNICA-ŚWIĘTA**

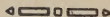
OBRAS COMPLETAS  
DE  
D. ARMANDO PALACIO VALDÉS

---

TOMO XXII

# SANTA ROGELIA

(DE LA LEYENDA DE ORO)



MADRID  
LIBRERÍA DE VICTORIANO SUAREZ  
Preciados, número 48  
1926

ARMAND PALACIO VALDES

---

# GRZESZNICA - ŚWIĘTA

(Z LEGENDY ŻŁOTEJ)

POWIEŚĆ

PRZEKŁAD AUTORYZOWANY  
ANNY SZOTTOWEJ



NAKŁAD KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA  
POZNAŃ — WARSZAWA — WILNO — LUBLIN

Printed in Poland



---

TŁOCZONO W DRUKARNI ŚW. WOJCIECHA W POZNANIU  
NA PAPIERZE Z WŁASNEJ FABRYKI PAPIERU „MALTA”.



## DO CZYTELNIKÓW.

*Opowiem wam historję współczesną, która wygląda jak średniowieczna legenda. Wiem dobrze, iż opowieści takie wyszły z mody. Publiczność bowiem wita dziś z zapalem książki, których treść szczerze zmysłowa jak wino rozkoszne rozplomienia młodych, raduje starych, ożywia mężczyzn i nieci ogień w sercach kobiet. Wobec owych świetnych utworów książka moja podobna będzie do przyprószonej pyłem staroświeckiej skrzyni w nowoczesnym wytwornie urządzonym gabinecie. Lecz takie staroświeckie skrzynki znajdują amatorów, którzy poszukują ich skrzętnie i przechowują z pietyzmem. Piszę właśnie dla tych zbieraczy antyków. Rad będę, jeśli w mym starym spręciku odkryją jakąś wartość artystyczną. Radość moja będzie jeszcze żywsza, o ile znajdą w tej książce coś, co stanie się dla nich zachętą na twardej drodze obowiązku.*





# CZĘŚĆ I.



## I.

Słońce skryło się za wzgórzami. Wąska dolina Langreo otulała się zwolna zasłoną zmierzchu. Przy płóczkarni kopalnianej, na zboczu góry, blisko rzeki, kobiety z koszów, niesionych na głowie, zsypywały przesiany węgiel. Były tak wyczerpane całodziennym znojem, że się ledwie ruszały i wierzchem dłoni ocierały zroszone potem twarze. Mężczyźni, pracujący na powierzchni, już się rozeszli. Górnicy, czarni od pyłu węglowego, wychodzili z kopalni, trzymając w rękę zapalone latarki.

Rozległ się dźwięk dzwonka, poczem ktoś zawołał: „Po wypłatę!“ Kobiety odstawiły śpiesznie kosze i udały się do drewnianego domku, gdzie podmajstrzy dokonywał wypłat. Były to istoty wychudłe i szerniałe, zżarte pracą, wyzute z wszelkiego wdzięku, a także z chęci podobania się: istne zwierzęta robocze o wystających kościach, jak szkapy dorożkarskie. Znajdowały się wprawdzie wśród nich młode dziewczęta, niepozbawione powabu, lecz i te niestety były zgóry skazane na rychły zanik urody.

Jedna z nich cisnęła właśnie kosz na ziemię, otarła fartuchem spotniałą twarzyczkę i zatrzymała się, patrząc roztargnionym wzrokiem na ścielącą się u jej stóp dolinę. Była to smukła, piękna dziewczyna; cerę miała śniadą i gładką, oczy duże, czarne; faliste włosy spadały jej na czoło. Przypominała typem raczej Włoszkę niż Asturyjkę.

— Nie idziesz, Rogeljo? — zagadnęła ją towarzysza pracy, przechodząc koło zadumanej.

— Zaraz! — odrzekła dziewczyna z roztargnieniem, patrząc dalej w dolinę, wijącą się wśród wzgórz, pokrytych aż po szczyty gajem kasztanowym. Gdzieniegdzie okolone drzewami jaśniały niby białe cętki zagrody wieśniacze. Dolina, przecięta wstęgą rzeki, byłaby piękna, gdyby zielonego kobierca łąk nie plamiły stosy odpadków rudy oraz wyloty szybów kopalnianych, ciemnymi gardzielami ziejące ze zboczy.

Rzeka, ongi czysta jak kryształ, była dziś czarna od błota i węgla. Małe nadbrzeżne kępy leszczyny nie zdołały przywrócić jej blasku dawnej świeżości.

Na prawo leżało miasteczko Sama, ciemna bezładna kupa starych, ubogich domów; wdali, na lewo widniała wielka huta żelazna w Felguera; z jej licznych kominów buchały gęste słupy dymu. Przy fabryce stała grupa nowych domów, które szcwasem miały utworzyć miasto Felguera, współzawodniczące z Samą.

Rogelja wpatrywała się nieruchomym, ekstatycznym niemal wzrokiem w dym fabryczny.

Już druga towarzyszka pracy, przechodząc mimo, powtórzyła to samo pytanie:

— Nie idziesz, Rogeljo?

— Zaraz — odpowiedziała podobnie, nie odrywając wzroku od doliny.

Kobieta minęła ją, lecz uszedłszy kilka kroków, zawróciła nagle, zbliżyła się do stojącej i rzekła półgłosem:

— Czy słyszałaś nowinę, Rogeljo? Jutro rannym pociągami ma przyjechać Maks, już wolny. Mówił mi o tem brat jego Pepo.

— Więc co z tego? — zapytała dziewczyna z wyraźnem niezadowoleniem w głosie.

— To niedobrze dla ciebie. Nie boisz się?

— Co? Ja? Tego brytana? — zawołała, wyzywająco podnosząc kształtną głowę.

— Jeżeli ty się nie boisz, to obawiają go się inni. Będziesz teraz bardzo osamotniona, biedaczko...

Kobieta uśmiechała się złośliwie.

— Niech ich wszystkich djabli porwą! Nie trzeba mi nikogo!

I odwróciwszy się od towarzyszki, poszła szybko ku domkowi podmajstrzego.

Ów Maks, o którym mówiły, był plagą całej okolicy. Mały, lecz nadzwyczaj silny, dawny górnik, odznaczał się wielką zręcznością. Zarabiał dwa razy tyle, co jego koledzy, gdyż w jednym dniu wydobywał więcej węgla niż inni w ciągu trzech. Zadzierzysty, kłótniwy, gotów o byle co do walki na noże, odbył, jak opowiadano, ciężkie roboty, i stał się postrachem wszystkich. Towarzysze lękali go się i nienawidzili zarazem. Miał niewiele ponad lat trzydzieści. Przed rokiem wraz z bratem przybył z Kastylji, gdzie pracowali obaj w kopalni. Uroda Rogelji, która nęciła wielu, podbiła i Maksa. Począł szukać jej towarzystwa i zalecać się do niej, choć dziewczyna nie zwracała na to uwagi. Udało mu się wszakże tym sposobem odstraszyć licznych jej wielbicieli. Dziewczyna poczuła się prawie osamotnioną. Lecz w sercu jej nie obudziło się uczucie dla Maksa; przeciwnie, okazywała mu stale pogardę i dawała niezliczone dowody lekceważenia; lękliwi przeto rywale oczekiwali z tajoną radością, że niefortunny zalotnik niebawem ustąpi im z drogi.

Jednakowoż stało się inaczej. Pogarda i upokorzenia — zamiast ostudzić zapał górnika — podnieciły go. Był zakochany nazabój, bez pamięci. Zdawało się, że popadł w jakieś obłąkanie. Toteż jego zapędy miłosne i lekceważenie ze strony Rogelji stanowiły wdzięczny temat plotek w gronie robotnic.

Niedawno podczas kłótni z podmajstrzym Maks zadał mu ranę nożem i został osadzony w więzieniu w Oviedo. Ale że podmajstrzy nie umarł, Maks zaś

miał pieniądze i zręcznego obrońcę, więc został uniewinniony „z braku dowodów“. Był to jeden z pospolitych skandali, rzucających cień na sprawiedliwość sądów przysięgłych.

Rogelja weszła do kantoru. Podmajstrzy wyplącał; przed nim na zgruba ociosanym stole piętrzyły się stosy durów i pesetów<sup>1)</sup>). Obok niego stał młody inżynier górniczy przybyły przed paru zaledwie dniami. Gdy Rogelja, wywołana przez podmajstrzego, zbliżyła się do stołu po odbiór nędznej tygodniówki, inżynier spojrzał na nią z zachwytem. Podmajstrzy, dostrzegłszy to, odwrócił się z uśmiechem ku towarzyszowi.

— Oto piętnaście lat dobrze użyte, nieprawdaż, don Mario?

— Jakto, piętnaście lat? — zawołał młodzieniec w najwyższym zdumieniu. A zwracając się do Rogelji, zapytał:

— Czy to prawda, mała, że masz lat piętnaście?

— Skończyłam w lutym — odparła oschle, nie patrząc na niego.

Zdziwiony inżynier przypatrywał jej się dłuższą chwilę.

— Niechże więc Bóg błogosławi twoje piętnaście lat, dziewczeczko, i niech ci zapewni w przyszłości lepszy los niż obecnie.

— Dziękuję bardzo — odpowiedziała obojętnie, i odwróciwszy się od niego, wyszła z kantoru.

Szybkim krokiem zbiegła do potoku, umyła ręce i twarz, osuszyła policzki chusteczką i skrzyła na ścieżkę. Ścieżka, obrzeżona leszczyną, kończyła się daleko, bo aż przy szosie na równinie.

Rogelja ociągała się rozmyślnie, tak aby pozostać wtyle i uniknąć odpowiedzi na nieznosne pytania ro-

---

<sup>1)</sup> *Duro* — moneta srebrna wartości pięciu pesetów. *Poset* — moneta hiszpańska, wartości około 70 groszy.



botnic. Mężczyźni już znikli. Była to sobota, więc śpieszyli do karczmy. Kilku starych górników, mijając ją, popatrzyło bezczelnie; cisnęli jakąś brutalną zaczepkę i odeszli śmiejąc się. Ona niewzruszona i dumna szła swoją drogą, nie zwracając na nich najmniejszej uwagi.

Wyszedłszy na szosę, nie skręciła w prawo, jak inni, lecz w lewo, na drogę wiodącą do Lady, gdzie mieszkała.

Parafja Lada znajduje się w bliskości Samy. Leży w głębi wąwozu, który łączy się z doliną Langreo, znacznie szerszą. Przez wąwóz wije się maleńki strumyk; pomiędzy jego łożyskiem a ścianą górską jest tylko tyle miejsca, aby przejść. Tu i tam wąwóz rozszerza się nieco, ukazując jaśniejsze w słońcu śliczne, jaskrawo zielone łączki.

Noc już zapadała. W tej północnej okolicy panował jeszcze upał; był bowiem sierpień, a wysokie wzgórza, otaczające dolinę, zatrzymywały chłodniejsze wiatry.

Przed zejściem z drogi i zapuszczeniem się w wąwóz dziewczyna przystanęła; rozejrzała się na wszystkie strony i poczęła przebiegać wzrokiem ścieżki, jakgdyby oczekiwała czyjegoś nadejścia. Stała tak kilka minut; wreszcie, zmęczona, siadła przy drodze na płaskim kamieniu muru, ogradzającego czyjąś posiadłość. Czekala cierpliwie.

Rogelja mieszkała o dwa kilometry dalej w chacie przy kościele parafjalnym razem z babką, która była jedyną jej krewną. Ojciec został zabity trzy lata temu w kopalni przez staczający się po pochyłości wózek górniczy. Matka umarła przed rokiem w szpitalu w Oviedo po ciężkiej operacji. Pozostały więc z babką same na świecie w zupełnej nędzy. Babka za lichą zapłatę, otrzymywaną od paru miejscowych wieśniaków, nosiła codziennie rano jarzyny na targ do Samy. Rogelja zaczęła pracować w ko-

palni, zarabiając początkowo dwa reale<sup>1)</sup>), a następnie peseta. Ledwie miały na życie, cóż dopiero mówić o odzieniu! Popołudniu starowina chodziła do lasu po chróst; pomagała też sąsiadom, otrzymując wzamian wynagrodzenie w naturze: bochenek chleba, dzbanek mleka, koszyk ziemniaków. Z wiekiem stała się nieznośna (nigdy zresztą słodka nie była). Sprzeczała się i kłóciła z wnuczką bezustanku. Szczęściem dziewczyna również miała charakter porwoczy i nieokiełznany; rosła i bardzo silna, zawojowała wkońcu babkę, która w przeciwnym razie byłaby ją dręczyła bez miłosierdzia. Niedawno, podczas utarczki słownej wnuczka, doprowadzona do rozpaczki brutalną obelgą, chwyciła babkę rękoma za gardło i omal nie udusiła. Stara zlekła się i odtąd obchodziła się z dziewczyną łagodniej.

Rogelja, siedząc na niskim murze, czekała jeszcze dłuższą chwilę. Ściemniło się zupełnie. Wreszcie oczy jej, nawykłe do mroku, dostrzegły wdali, wśród pól kukurydzy, zarys jakiejś postaci. Wstała żywo i postąpiła kilka kroków. Ale człowiek, który zbliżał się ku niej, zanim zeszedł na drogę, zatrzymał się chwilę.

Rogelja przywitała go gniewnie:

— Czemu się tak spóźniłeś, co?

Mężczyzna odsapnął ze złością.

— Ta świnią trzymała nas tam godzinę.

— Jaka świnią?

— Któżby, jak nie płatniczy? Zostawił mnie umyślnie na sam koniec. Powiedzieli mu pewno, że chodzę z tobą, a że mu wpadłaś w oko...

— Nie zauważyłam, aby mu coś w oku zawadzało — przerwała Rogelja bynajmniej nieułagodzona.

---

<sup>1)</sup> Moneta srebrna, wartości około 7 groszy.

— Owszem, miałby ci z pewnością coś do powiedzenia... oczywiście tylko dla zabawy... Ma niezły gust ten dudek! Odkąd jest w biurze, wszyscy go niecierpią.

— Jeżeli ma chęć bawić się, niech sobie kupi małpę... I ty także — dorzuciła obrażona.

— Moja kochana, nie zasłużyłem na takie słowa, zdaje mi się, odkąd rozmawiamy z sobą szczególnie — wyjąkał strapiony, spuszczać głowę.

— Ani szczególnie, ani ogólnie — rzekła ze śmiechem, już uspokojona. — Perico, jesteś osioł, nie wiesz, co gadasz. Mówmy o czem innem. Zobaczymy się jutro na odpuszcie, będę tam, choć babka nalega, abyśmy pomagały donnie Pepie, służącej proboszcza, rozrzucać siano... Ani myślę! Dosyć się namęczyłam przez cały tydzień.

Weszli w wąwóz; kasztany i dęby karłowate, które rosły na zboczach, rzucały gęsty cień na drogę, przysłaniając nikłe światło gwiazd. Jakiś czas trwało milczenie. Przerwała je wreszcie Rogelja, pytając:

— Czy dostałeś podwyżkę?

— Żadnej. W naszym warsztacie podwyższyli tylko Telesforowi z Carbayin... I to tylko dlatego że jest bratem służącego don Miguela, administratora.

Rogelja zamilkła. Po dłuższej przerwie rzekła z goryczą:

— Cóż, mój kochany! Jeżeli nie dostaniesz podwyżki, to nie możesz liczyć na mnie. Nato, aby głód cierpieć, nie potrzebuję porzucać babki.

On milczał zasmucony.

Perico był to ładny dwudziestoletni chłopiec, tęgi, różowy, bez zarostu, z wielkimi oczyma. Nosił niebieską kretonową bluzę i beret. Pracował również w fabryce w Felguera, w walcowni. Zarabiał mało, nie był bowiem biegłym w robocie i nie odznaczał się pilnością.

— Gdyby się ojciec zgodził — rzekł, wzdychając — przeszedłbym do kopalni. Tam dobrze płacą.

— Owszem, ale tym, co się nie boją pracy.

— A czyż ja się jej boję, Rogeljo?

— Nie widziałam... ale chyba boisz się bardzo, bo jesteś taki gruby.

Mówiąc to, śmiała się głośno. Perico, urażony, mruczał coś pod nosem.

— Słuchajno, Perico — powiedziała wreszcie — skoro już masz określony zawód, nie powinienes go rzucać. Mówią, że na jednym miejscu i kamień porośnie... Pozatem wolę, że jesteś w fabryce niż w kopalni. Ci górnicy — to gałgany. Mają brudne twarze i plugawe języki.

— O, w fabryce mamy też dobre numery! Niektórzy spędzają noce w karczmie, a gdy przyjdą do roboty, to zasypiają z nosem opartym o maszynę. Odkąd wiedzą, że z tobą przestają, docinają mi... mówią świństwa!...

— Nie zwracaj na to uwagi, nie odpowiadaj. Dla takiej hołoty najlepszą odpowiedzią jest pogarda.

— Umieją się doskonale ułożyć, gdy trzeba. Teraz chodzą przede mną na dwóch łapkach, bo chcą, abym wraz z paru innymi udał się w delegacji do dyrektora z prośbą o przyjęcie z powrotem trzech robotników, wydalonych w zeszłym tygodniu. Grożą, że zastrajkują, o ile dyrektor odmówi.

Rogelja nie odezwała się zaraz.

— Nie radzę ci chodzić do dyrektora — rzekła wreszcie. — Oni są sprytni! Chcieliby wyciągać kasztany z ognia cudzemi rękami. Jeżeli dyrektor rozniewa się, to ciebie pierwszego wydali. Zresztą wszystkie te strajki — to nowa moda, wymyślona przez próżniaków, co chcą dużych zarobków przy małej pracy. Cały ten harmider podnoszą wałkonie i łajdaki, najczęściej doprowadzając do tego, że w domu kobiety płaczą, a dzieci głodują. Widzia-

leś, czem się skończył strajk ostatni: wydano przeszło czterdziestu robotników. Jedni wyjechali do Buenos Ayres, drudzy wałęsają się tutaj, cierpią głód i żebrzą niemal o wsparcie.

— Nie masz pojęcia, Rogeljo, co się dzieje w warsztatach! Kto nie trzyma z kolegami, ten przepadł. Niech tam, zresztą — dodał, wzruszając niecierpliwie ramionami. — Niech robią, co chcą! Nie będę się mieszał do niczego. Tem bardziej, że wydalonym osobnikom powodzi się całkiem dobrze.

Szli obok siebie kamienistą szosą wśród zupełnych niemal ciemności. Znali jednak drogę tak dobrze, iż kroczyli, nie potykając się i nie potracając wzajemnie. Powrócili znów do rozmowy o odpuszczeniu. Rogelja opowiadała wesoło o nowych trzewikach, które miała włożyć po raz pierwszy, i o koralach, otrzymanych od służącej proboszcza.

— Czy będziesz tańczyła ze mną? — zapytał.

— Czemu nie?

— Tylko ze mną?

— To znów co innego.

Sprzeczali się chwilę, on uległy, starający się jej przypodobać, ona — roześmiana i zalotnie wyzywająca.

Gdy znaleźli się niedaleko kościoła w Lada, tak iż widać było dzwonnice wyłaniającą się z mroku, Rogelja przystanęła.

— Słyszałeś nowinę, Perico?

— Co takiego?

— Maks przyjeżdża jutro.

Chłopak zadrżał. Zwlekał czas jakiś z odpowiedzią, jakgdyby ta wieść zacisnęła mu gardło.

Wreszcie zapytał:

— Kto ci to powiedział?

Głos miał tak zmieniony, że Rogelja zwróciła ku niemu głowę, usiłując dojrzeć wyraz jego twarzy.

— Boisz się?

— Kto? Ja? — krzyknął, starając się nadać tym słowom brzmienie tłumionej groźby. — Mam także ręce nie od parady!

— Bó wyglądało, jakgdyby... Zresztą, to lepiej. Nie obawiam się wcale tego dzikiego kota, i gdybym była mężczyzną, dawno już nauczyłabym go moresu.

Perico był upokorzony. Mógł jedynie podziwiać nieustraszoną odwagę swojej towarzyszki. Starał się też zapanować nad sobą; wkońcu zapytał niby obojętnie:

— Skąd wiesz o tem?

— Od jego brata, a właściwie pośrednio od jednej kobieciny, która pracuje w kopalni.

— Wszyscy myśleli, że dostanie parę lat galier. Skoro wykręcił się tak tanim kosztem, to widocznie pieniądze zrobiły swoje...

— Pieniądze zrobiły swoje i strach również. Te głuptasy, co zasiadają w sądzie przysięgłych w Owiedo, są podszyci tchórzem.

Perico potwierdził to pomrukiem, wyrażającym oburzenie; był wszakże tak wstrząśnięty niemiłą nowiną, że nie zdobył się na słowo.

Zbliżyli się milcząc do domu Rogelji. Była to nędzna chata, sklecona ze źle spojonych, nietynkowanych kamieni; miała poczerńiałe, zwisające na zawiasach drzwi i małe, zaopatrzone w dwa pręty żelazne okienka.

Rogelja pchnęła drzwi, które się uchyliły, i zwracając się do Perica, rzekła ze zwykłą sobie szorstkością:

— A więc do jutra, mój chłopcze! Uważaj tylko po drodze, byś się nie natknął na Maksa.

— Jakaś ty niedobra, Rogeljo! — zawołał Perico urażony. — Wiesz zresztą, że nie boję się nikogo.



— A ty wiesz, żółtodziobie, że lubię się z tobą droczyć — odrzuciła ze śmiechem, kładąc mu czule dłoń na ramieniu... — Do jutra! A postaraj się przyjść wcześniej.

— Do jutra, Rogeljo! Nie podasz mi ręki?

— Ani ręki, ani nogi, osiołku! Raz, dwa, trzy, jazda spać!

I wybuchnąwszy śmiechem, zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

## II.

Na krótko przedtem, około godziny trzeciej popołudniu, do tej samej chaty podjechał jeździec na pięknym wierzchowcu. Cień drzew łagodził nieco skwar słoneczny.

Zeskoczył z konia, uwiązał go u żelaznego pręta przy oknie, zdjął duży filcowy kapelusz i usiadł na ławce przed chatą. Chustką, wyjętą z kieszeni, otarł pot z czoła i rozejrzał się badawczo.

Był to człowiek już niemłody, choć silny i zręczny: twarz miał smagłą, rysy prawidłowe, a włosy tak czarne, że były widocznie farbowane; oczy duże, gęste brwi, powierzchowność sympatyczną, lecz pospolitą. We wsi uchodził napewno za wzór wytworności; w mieście wyglądał nieco z wiejska. Był ubrany z przesadną, niemodną już elegancją. Miał na sobie białe obcisłe spodnie, wysokie lakierowane buty do konnej jazdy z dużemi złotemi ostrógami; długi wiązany krawat jedwabny, przytrzymany złotą obrączką, cienkie kozłowe rękawiczki. W rękę trzymał szpicrutę.

Posiedział chwilkę. Poczem wstał żywo i galką szpicruty zastukał kilkakrotnie do drzwi. Stara otworzyła niezwłocznie. Wytrzeszczyła oczy zdziwiona, a potem uśmiechnęła się pokornie.

— Pan tutaj, panie Henryku?

— Co się stało, matko Doroto? Odbywaliście drzemkę?

— Byłam zmęczona, panie Henryku, bardzo byłam zmęczona... Pracowałam cały ranek, a teraz położyłam się na minutę.

Z temi słowy wyszła za próg i gestem ręki zaprosiła jeźdźca, by usiadł na ławce, sama chcąc pójść za jego przykładem.

Lecz gość obejrzał się dokoła podejrzliwie i rzekł:

— Wejdźmy lepiej do środka, matko Doroto; muszę pomówić z wami w cztery oczy.

Wpobliżu nie było widać nikogo. Sąsiedzi pracowali w polu, domy były pozamykane. Na roli, przylegającej do kościoła, dziobały tylko kury.

Izba przedzielona była ścianą plecioną z gałęzi leszczyny. Po jednej stronie stał piec kuchenny; drugą, mniejszą, zajmowało łóżko, na którem sypiały razem babka z wnuczką. Umeblowanie pozatem składało się z komody, paru krzeseł i blaszanej konewki na wodę. Podłoga w pierwszej części izby była z ubitej ziemi, w drugiej — pokryta zgruba ściosanemi deskami.

Przybyły usiadł na stołku kuchennym; stara przez pokorę lub też dla wygody nie chciała zająć krzesła i przykucnęła na ziemi.

Pan Henryk przyglądał jej się badawczo i długo w milczeniu, a wzrok jego wyrażał litość. Wreszcie potrząsnął głową i rzekł zatroskanym głosem:

— Biedna matko Doroto! Ciężko jest w waszym wieku zarabiać na życie.

— Kiedy inaczej niepodobna, panie Henryku! Nie mamy ani kawałka ziemi. Umarł mój żywiciel, nie udało mi się otrzymać renty, jak niektórym... Jeszcze Bogu dzięki, że nie chorowałam, jak moja biedna córka, Robustjana. Dopóki jej nie zabrali do

szpitala, musiałam ją żywić i wyprzedalam ostatnie szmaty.

Przybyły milczał, jakgdyby nad czemś rozmyślając.

— Nie, tak być nie może, tak być nie powinno i nie będzie — rzekł wreszcie z przesadnem oburzeniem. — Dlatego właśnie, aby zaradzić tej biedzie, przybyłem dziś do was. Matka moja (niech w Bogu spoczywa) mawiała mi nieraz: „Nie opuszczaj Doroty, to bardzo zacna kobieta, ma niedobrego męża i może najniespodziewaniej w świecie popaść w nędzę“.

— A pan, panie Henryku — rzekła stara z wyrzutem — nie spełnił woli matki. Do dnia dzisiejszego nie wspomniął pan nawet imienia mojej patronki. A przecież, gdy mój biedny nieboszczyk był sześć miesięcy bez pracy, pisałem do pana do Oviedo. Nie odpowiedział mi pan ani słowem. Potem chodziłem kilka razy do Ciano, ale mnie nie wpuszczono. Gdy się pan ożenił, zrozumiałam, że wszystko dla mnie skończone, i moja noga nie postąpiła już w pańskim domu.

— Co do Oviedo, to niema w tem nic dziwnego — tłumaczył pan Henryk z niejakiem wahaniem. — Musicie przecież wiedzieć... wydawałem dużo... grałem w karty... doszedłem niemal do ruiny. Byłem tak zajęty, że nie odpowiadałem wogóle na listy. Co do innych spraw, to możecie mi wierzyć, że nikt mi nic nie mówił. Gdybym był wiedział, że przyszlście, byłbym was przyjął z największą przyjemnością i w miarę możliwości udzieliłbym wam pomocy.

Stara milczała. Nie uwierzyła, lecz potrafiła ukryć swoje wrażenie.

— Mój Boże! Jakże kochałam pańską matkę. Wstąpiłam do służby u niej, mając lat piętnaście. Pan się tylko co urodził. Kołysałam pana, śpiewałam panu do snu, zanosilałam pana do łóżka pani, do

karmienia... byłam sześć lat u państwa. Gdy szłam zamąż, pan się jeszcze nie uczył w szkole.

— Wiem, matko Doroto, wiem. Potem słyszałem w domu, że nie jesteście szczęśliwi w małżeństwie, że mąż wasz pije; podobno przez niego cierpieliście nędzę, bił was...

— Co to, to kłamstwo! Cierpiałam głód, to prawda. Ale tylko dwa razy podniósł na mnie rękę, a i wtedy nie tknął mnie prawie.

Tu stara poczęła rozwodzić się nudnie i szczegółowo nad dziejami swego małżeństwa, swoich trosk i kłopotów.

Henryk słuchał jej z tajoną niecierpliwością. Końcem szpicruty uderzał zlekka po lakierowanych butach, ocierał pot z czoła, pokasływał, wzdychał głośno...

— Dobrze, dobrze, matko Doroto, — przerwał jej wreszcie. — Prawda, że mieliście wiele zgryzot i że trwają one ciągle. Położę im jednak kres. Zobaczycie...

Zamilkł, popatrzył znów na starą złośliwie z czającym się we wzroku uśmiechem, odchylił się wtył, potem skłonił się naprzód, i kładąc jej rękę na ramieniu, rzekł ściszym głosem, akcentując dobitnie wyrazy:

— Wy, matko Doroto, nie powinniście cierpieć niedostatku, gdyż posiadacie skarb...

— Skarb? Gdzież on jest?

— Skarb ten jada i sypia z wami.

— Rogelja?

— Tak, Rogelja.

— Ach, mój Boże! Rogelja za cały dzień pracy w kopalni zarabia tylko jednego peseta. Nie mamy nawet co jeść, a jak pan widzi, nie mam się w co odziać.

— Ale jeżeli zechcecie, Rogelja będzie mogła zarobić dużo pieniędzy; może was wydobyć z biedy,

może sama żyć dostatnio, a nawet zbyt kownie, wy możecie spędzić resztę życia w spokoju i wygodzie.

Stara zrozumiała i opuściła głowę. Wstała w milczeniu, przystawiła garnuszek z zupą do ognia, rozdmuchala go i znów przykucnęła na podłodze. Pan Henryk patrzył na nią uporczywie, lecz ona nie podnosiła głowy.

— Gdy dziewczyna jest tak ładna jak wasza wnuczka, nie powinna marnować urody, ani tem mniej strzec jej dla jakiegoś usmolonego górnika — powiedział jowialnie, usiłując ukryć zmieszanie. — Nie powinna smarować twarzy na czarno, lecz przeciwnie pielęgnować ją jak cenny klejnot; powinna ubierać się elegancko i żyć jak dama.

— Żyć jak dama przez czas pewien, a potem zebrać, nieprawdaż, panie Henryku? — zapytała stara z drwiącym uśmiechem.

— Nie mówcie tak, Doroto. Będzie zawsze miała jeszcze dość czasu, by znaleźć jakiegoś górnika, któryby ją utrzymywał.

Zamilkli oboje. Wreszcie stara podniosła głowę.

— Mówmy szczerze, panie Henryku. Czego pan chce ode mnie?

— Narazie tylko tyle, byście wzięli te pięć durów.

Wyjął z kieszeni złotą monetę i podał ją kobiecie. Oczy starej rozbłysły zdziwieniem, pożądaniem i radością. Drżącą ręką wzięła pieniądz i ścisnęła go mocno.

— Następnie proszę, abyście w moim imieniu powiedzieli coś Rogelji. Powiedzcie jej mianowicie, że jestem w niej zakochany, jak wielu innych w Langreo, i błagam ją, aby nie szła do roboty w tym tygodniu, ponieważ dam jej sześć razy tyle, ile zarabia w kopalni.

— Powiem jej to, panie Henryku — rzekła pokornie kobieta zmienionym głosem.

— A potem powiedzcie jej jeszcze, że jest najładniejszą dziewczyną w całej „ria“<sup>1)</sup> Nalonu, że pragnę bardzo zobaczyć się z nią i pogawędzić. Któregoś dnia w przyszłym tygodniu wpadnę tu popołudniu.

— Tylko nie tutaj, panie Henryku! — zawołała stara wylekniona. — Plebanja tuż! Dom Lina de la Rebollada również. Jeśli kto zobaczy, że pan wchodzi do nas w czasie, gdy Rogelja jest w domu, będziemy zgubione.

Pan Henryk pomyślał chwilę, poczem rzekł:

— Dobrze. W takim razie powiedzcie jej, aby była tak dobra i przyszła w poniedziałek popołudniu do Samy do sklepu Regalada i zwróciła się do Karoliny. Ta zaprowadzi ją na piętro, gdzie będę oczekiwał.

Stara skinęła głową, nie mówiąc ani słowa. Pan Henryk zamilkł również. Wreszcie zerwał się szybko ze stołka, nałożył kapelusz, który trzymał w ręku, i gładząc szpicrutą po głowie swoją starą niańkę, rzekł serdecznym tonem:

— Tysiączne dzięki za wszystko, Doroto... Jak myślicie, czy Rogelja?...

Stara zwlekała z odpowiedzią, jakgdyby słowa więzły jej w gardle:

— Nie wiem, panie Henryku... chyba tak... Jest bardzo dumna, lecz lubi ładne suknie, kolczyki złote, naszyjniki, szale jedwabne.

— W takim razie — rzekł pan Henryk, śmiejąc się głośno — nie będzie z nią kłopotu. Niech tylko napewno przyjdzie w poniedziałek. Dowidzenia, kochana Doroto. Bądźcie zdrowi i liczcie na mnie.

Wyszedł z chaty, odwiązał konia, wskoczył na siodło i odjechał rozpromieniony.

---

1) *Ria*: szerokie ujście rzeczulek nadmorskich.



Don Enrique Sanfrechoso de las Matas mieszkał w rodzinnej wiosce Ciano pod Samą.

Ojciec wysłał go dzieckiem jeszcze do Valdedios, do kolegium klasztorного, niedaleko Villaviciosa, gdzie chłopiec przeszedł kurs szkoły średniej. Po jej ukończeniu udał się do Oviedo na studia prawnicze z myślą o adwokaturze. Gdy jednak stracił pierwszy rok na uniwersytecie, a ponadto pozwolił sobie na pewne wybryki, stary Sanfrechoso przywiózł go z powrotem do Ciano, zostawił mu tutaj całkowitą swobodę osobistą, lecz ograniczył ściśle jego wydatki. Stary żył długo. Po jego śmierci Henryk wyjechał do Oviedo i począł wieść życie hulaszcze. Gorliwie uczestniczył we wszystkich zabawach i obtańcowywał młode panny, choć liczył już około lat czterdziestu. Toteż ktoś go nazwał „*éternel masculin*“, i to przydomek przylgnęło do pana Henryka.

Ale był również i karciarzem. W pierwszych latach szczęście mu sprzyjało, później jednak odwróciło się od niego na stałe. Pan Henryk stopniowo sprzedawał folwark za folwarkiem, aż wreszcie, mając lat czterdzieści, był zupełnie zrujnowany. Nie posiadając żadnego zawodu, nie miał drogi do uczciwego zarobku. Wówczas, zgębiony widmem czekającej go nędzy, przypomniał sobie, że ma w Cangas de Onis kuzynkę, starą pannę, brzydką lecz bogatą. Zgłosił się do niej w zamiarach matrymonjalnych, a ponieważ był jeszcze przystojny, otrzymał z łatwością rękę krewnej, o dziesięć lat od niego starszej.

Zamieszkali we dworze w Ciano, stanowiącym resztkę dóbr jego. Mając znowu pieniądze, Henryk począł hulać jak dawniej. Biedna dona Róża znosiła męczarnie, oplakując dniem i nocą sukcesy swego niewiernego małżonka. Liczył już zgórą lat pięćdziesiąt, kiedy przybył do Lady dla dobicia niecnego targu o Rogelję.

Gdy dziewczyna, pożegnawszy Perica, weszła do izby, poczuła smakowity zapach gotujących się potraw. Otworzyła szeroko oczy, widząc na płycie kuchennej zamiast codziennej stawy patelnię pełną pokrajanej szynki. Na jednym stolku leżał ser, na drugim stała butelka wina, a obok widniał dwufuntowy bochenek białego chleba.

— Co się tu dzieje, babko?

— A widzisz! Dom nasz nawiedziła Opatrzność w postaci pięknego pana, którego znasz — odparła stara tonem przesadnie słodkim.

— Którego znam? ja?

— Tak, don Enrique, pan de Sanfrechoso. Dał mi trochę pieniędzy, toteż chcę, abyśmy dziś obie zjadły „po pańsku“.

Rogelja milczała chwilę.

— A za co pan Henryk dał ci te pieniądze?

— Czyż nie wiesz, roztrzepańcze, że służyłam u nich, gdy był maleńki, że piastowałam go i często śpiewałam mu do snu, że byłam jego niańką, a odeszłam, gdy miał już sześć latek?

— Jakoś do tej pory nie troszczył się nawet o to, czy żyjesz na świecie.

— Bo jego służba nie chce, by mi pomagał. Ile razy tam poszłam, tylekroć mi mówili, że wyjechał, że jest w Oviedo, w Gijon, w Laviana, choć tak nie było.

Znów zapanowało milczenie. Stara wahająco, głosem zlekka zmienionym poczęła wychwalać Henryka. Co za pan w każdym calu! Jaki przystojny! jaki bogaty! a hojny!

Rogelja słuchała poważnie, nie przerywając starej. Wreszcie Dorota przestała śpiewać hymny pochwalne na cześć swego dawnego pana. W chacie zapanowała cisza. Nie trwała długo, gdyż stara odezwała się pierwsza z udaną obojętnością, lecz drżącym nieco głosem:

— Pan Henryk zna cię z widzenia, choć nie rozmawiał z tobą nigdy. Chryste Panie! Czegoż on nie opowiada o twojej urodzie! Według niego żadna dziewczyna w całym Langreo nie może się równać z tobą... Chciałby z tobą pomówić. Bardzo mu przykro, że pracujesz w kopalni jak wół...

Rogelja nie odzywała się wcale.

— Powiedział też, — ciągnęła, ścisząc głos do szeptu — że gdybyś poszła do Samy w poniedziałek, w dzień targowy, mógłby się z tobą zobaczyć i porozmawiać u Regalada.

Nagle Rogelja zrozumiała; oczy jej rozbliły się gniewem.

— Co mówisz, babko?

— Nic, moje dziecko!... To tylko, co kazał ci powiedzieć.

— Bardzo źle, że mi to powtarzasz. Jak ci nie wstydy!

— Czemu się tak odrazu unosisz, Rogeljo?

— Bo ten pan de Sanfrechoso jest obrzydliwiec, a widzę, że i ty jesteś niewiele warta.

— Ubliżasz mi, Rogeljo! — krzyknęła stara, zrywając się z miejsca.

— Ty ubliżyłaś mi jeszcze bardziej, radząc mi iść do tego starego rozpustnika. Przecież to łotr skończony, wszyscy o tem wiedzą.

— Bardzo pięknie; nie chcesz iść — nie chodź, ale mi nie ubliżaj.

Rogelja umilkła.

Po chwili poszła do drugiej izby, umyła się, zmieniła koszulę, przyglądała trochę włosy, poczem zasiadła znowu przy ognisku.

Stara tymczasem trzęsła się z bezsilnego gniewu, mamrocząc jakieś wymysły. Rogelja nie odzywała się wcale i była napozór spokojna, choć drżały jej ręce i usta. Dorota uspokoiła się wreszcie. Przyszło jej zapewne do głowy, że gniewem nic nie wskóra

z tem dzikiem zwierzątkiem. Wkońcu rzekła półgłosem, jakby sama do siebie:

— Mamy na świecie zawsze to, na co zasłużymy. Gdy nastrecza się sposobność, nie umiemy z niej skorzystać... Przez całe życie odmawiać sobie wszystkiego, przymierać głodem, chodzić nago i bosso, a w dodatku harować jak wół...

— Zamilcz, babko! Wolę harować jak wół, niż być jak wół sprzedaną. Rozumiesz, tak czy nie?

— Dobrze, dobrze... to twoja rzecz... Ale pan Henryk...

— Cicho! — krzyknęła Rogelja, porywając się z miejsca. — Milcz, bo nie odpowiadam za siebie!

Stara, zgnębiona, nie otworzyła już ust. Obie kobiety siedziały długo w milczeniu.

Na patelni skwierczał tłuszcz, smażyła się szynka. Gdy była gotowa, matka Dorota zdjęła ją ostrożnie z ognia i rozdzieliła na dwa talerze. Potem, pokornie, podała wnuczce talerz z mięsem i bułkę. Rogelja porwała ze złością talerz, podeszła do drzwi, otworzyła je i wyrzuciła jedzenie na ulicę, poczem wróciła na poprzednie miejsce i pograżyła się w gniewnem milczeniu.

Stara, przerażona, nie śmiała się odezwać. Rogelja wstała wreszcie, otworzyła szafę, wyjęła z niej bochenek *borony*<sup>1)</sup>, ukrajała skibkę i zasiadłszy na stołku, poczęła jeść z pozornym spokojem.

Po takiej to wieczerzy owego dnia piękna Rogelja udała się na spoczynek.

### III.

Łąka, na której odbywał się kiermasz, zwana łąką Nalonu, leżała nad rzeczulką tejże nazwy, niedaleko Samy, lecz bliżej Ciano. Od rzeki dzielił ją

---

<sup>1)</sup> Tak nazywają w niektórych prowincjach hiszpańskich chleb z kukurydzy.

wąski pas leszczyny; od strony szosy była ogrodzona niskim, luźno spojenym murem kamiennym. Miejsce było dość równe i przestronne.

O czwartej popołudniu zebrało się tam już sporo ludzi. Byli to przeważnie wieśniacy okoliczni z Ciano, z Santa Ana, z Entrego, z Sotrondio i pobliskich górskich wiosek. Mieszczanie z Samy nie przybyli, brakowało również wielu robotników z Felguera. W brudnych namiotach sprzedawano napoje. Na stołach, skleconych z desek i pniaków, stało kilka bukłaków nabrzmiałych winem, dzbany i szklanki; na ziemi leżały beczułki z jabłecznikiem. W odległym rogu łąki widniały kosze owoców, a sprzedające je wieśniaczki zachwalały głośno swój towar. Kramy, na których piętrzyły się stosy twardych jak kamień cukierków, zajmowały część łąki, przylegającą do gościńca.

Słońce prażyło; trawa, przepalona żarem, poczynęła już żółknąć. Pośrodku polany tłum ludzi otaczał miejsce, gdzie tańczono.

Pojękiwała kobza, warczał bęben; dziesięć lub dwanaście par, ustawionych jedna za drugą, tańczyło coś w rodzaju *joty*<sup>1)</sup>, która zachowała się w wioskach asturyjskich: mężczyźni podskakiwali z rękoma wzniesionymi nad głową, kobiety powściągliwsze dreptały, przycisnąwszy łokcie do boków, z opuszczonemi oczyma.

Wszystkie miały na głowach jedwabne barwne szale; nadto większość okryła ramiona sporemi perkalowemi chustkami, związanemi stylu po miejsku. Było tam jednak też parę wieśniaczek z gór, ubranych w klasyczną *dengue*<sup>2)</sup>, krótką wełnianą spódnicę, koszulę z grubego płótna i mały atlasowy fartuszek. Mężczyźni przestali już nosić staroświeckie

<sup>1)</sup> Ludowy taniec hiszpański.

<sup>2)</sup> Rodzaj króciutkiej peleryny.

zielone kamizele ze srebrnemi guzami, krótkie spodnie i *montery*<sup>1)</sup>). Ubierali się teraz w długie spodnie, granatowe kurtki i berety.

Perico wraz z paru chłopcami chodził po łące, szukając Rogelji.

— Jest, jest! — zawołał jeden z nich.

— Gdzie? — skwapliwie zapytał zakochany młodzieniec.

— Tam, pod leszczyną. Razem z Dolores, tą z piekarni w Samie, i z drugą dziewczyną z Felguera.

Ukryły się w takim gąszczu krzewów za kobietami, sprzedającymi owoce, iż trudno było je dostrzec. Chłopcy puścili się pędem w ich stronę. Perico zatrzymał ich, prosząc, by zaczekali chwilę, gdyż chciał kupić orzechów dla dziewcząt; następnie z pełną czapką, dumny i uśmiechnięty podszedł do panien. Przyjęły dar z wdzięcznością, rozłupując orzechy zębami. Przez chwilę krzyżowały się żarty i śmiechy. A to się dopiero dobrze schowały! Perico obszedł łąkę cztery razy i nie dostrzegł ich wcale.

— I gdyby nie Amalio, nie byłbyś mnie nigdy znalazł, gawronie! Widzisz tylko mięso na talerzu! — mówiła Rogelja do zalotnika.

Ów bronił się, twierdząc, że Rogelja musiała kryć się umyślnie za którąś kobietą, ilekroć przechodził.

— Jeżeli chcesz się przekonać, że nie jestem takim gawronem, za jakiego mnie masz — rzekł wreszcie — pójdź potańczyć ze mną.

— Chodźmy! — zgodziła się dziewczyna, powstając żywo z ziemi.

Towarzyszki poszły za jej przykładem. Wmieszały się wraz z Perico w koło tańczących i poczęły płaść w takt rytmicznej muzyki kobzy i bębna.

<sup>1)</sup> *Montera*: czapka skórzana.



Po niejakiem czasie wszyscy czworo wycofali się zmęczeni, oblani potem.

Perico zaprowadził dziewczęta do kramu z cukierkami i w porywie hojności kupił im marcepanów i obwarzanków. Prócz tego poczęstował je lekkimi ciasteczkami, zwanymi *azucarillo*, które popijały wodą, a nawet postawił im wódkę. Rogelja uważała, że to zbyt. Perico jednak, trawiony żądzą wielkości, nie zwrócił uwagi na jej słowa i wyciągał raz po raz z kieszeni garście miedziaków i pojedyncze srebrne monety, fundując dalej.

W namiocie, gdzie sprzedawano wino, siedział przy stole Maks, ów osławiony górnik, wypuszczony rankiem z więzienia w Oviedo. Był niskiego wzrostu, miał szerokie bary, rysy prawidłowe, oczy czarne i wyzywające spojrzenie. Twarz, niepozabawioną wdzięku, szpeciła blizna, która przecinała mu usta. Był w towarzystwie trzech przyjaciół, z którymi rozmawiał i żartował. Co czas pewien sięgał ręką po stojący przed nim dzban i napełniał szklanki słynnym winem z Toro, czarnem jak atrament.

Perico i jego towarzysze wraz z dziewczętami okrążyli plac jarmarczny i, mijając namiot, gdzie pił Maksym, przeszli tuż obok. Perico dostrzegł go od razu i czempredziej odwrócił oczy, usiłując oddalić się corychlej wraz z dziewczętami. Lecz Maks dojrzał go, wstał i zawołał głośno:

— Perico! Perico!

Perico udał, że nie słyszy, i starał się odciągnąć jaknajdalej swoich towarzyszków.

— Perico! Perico! — zawołał ponownie Maks.

Chłopak udawał dalej głuchego, ale jedna z dziewczyn trąciła go łokciem.

— Ktoś cię woła, Perico.

— Mnie? — zapytał zdziwiony.

— Tak, ciebie; czyś nie słyszał? Zdaje mi się, że to ten górnik, co chciał zabić podmajstrzego.

Nie było rady. Perico zawrócił, odłączył się od gromadki i zdążył powolnym krokiem do kramu z winem, trwożny i zasmucony.

— Dobrywieczór, Perico, dobrywieczór, mój drogi! Nie poznajesz przyjaciół? A przecież byłem zaledwie pięć miesięcy w podróży — rzekł Maks na wstępie.

— Nie widziałem cię, Maksie. Bardzo się cieszę, że cię tu spotykam.

— Nie wątpię, Perico. Wiem, że mnie szanujesz. Ja uważam cię za najpiękniejszego i najdzielniejszego w całym Langreo. Masz, wypij szklaneczkę, i bądźmy zawsze przyjaciółmi.

Podał mu szklanę wina. W przesadnych pochwałach i w udanej serdeczności można było wyczuć drwiny i pogardę. Perico rozumiał to dobrze. Przyjaciele Maksa spostrzegli to również, przyglądali się więc chłopcu bacznie, ze znaczącym uśmiechem na ustach.

Przyjaciele ci stanowili zwykłą świętą groźnego górnika. Siła znajdzie wszędzie pochlebców, nawet wówczas, gdy wiedzie do zła i zbrodni.

Perico wypił, i aby ukryć niepokój, odparł z udaną serdecznością:

— Przyjechałeś rano; dowiedziałem się wczoraj, że masz tu dziś przybyć.

— Kto ci powiedział o tem?

— Słyszałem w fabryce.

— Musieli się cieszyć, co? Zdaje mi się, że wszyscy w Langreo są zachwyceni moim powrotem.

Z temi słowy Maks wybuchnął grubiańskim, drwiącym śmiechem, podchwyconym skwapliwie przez jego przyjaciół.

— Ale siadaj, Perico. Jesteś i tak dorodnym chłopcem, nie potrzebujesz już rosnąć.

Perico usiadł zmieszany. Maks przestał się nim zajmować; począł gawędzić z towarzyszami, opowia-

dając im o więzieniu w Oviedo. Wreszcie Perico po długim wahaniu postanowił odejść i wstał od stołu. Maks zwrócił się do niego z poważną miną.

— Już odchodzisz, Perico? Przypuszczam, że idziesz pożegnać swoją czarnuszkę.

— Pożegnać?

— Tak, pożegnać, gdyż od dziś nie odezwiesz się już do niej.

Mówiąc to, patrzył tak ponuro i groźnie, że chłopak zbladł, a potem oblał się rumieńcem.

— Dobrze. Dowidzenia... — wyszeptał wreszcie, odchodząc.

Zaledwie uszedł parę kroków, Maks zawołał za nim:

— Bądź spokojny! Zobaczysz ją w niebie, o ile tam przyjmują pyszałków i zarozumiałców.

Przyjaciele Maksa zawtórowali mu głośnym śmiechem. Perico znikł. Uszy miał czerwone, a serce przepelnione bezsilnym gniewem.

Zabawa trwała w najlepsze.

Tańczących było teraz więcej. Korowód wydłużył się, i młodzież płaśała aż miło przy rytmie bębna.

Na krańcu łąki jakiś niewidomy grał na skrzypcach, drugi niewidomy wtórował mu na gitarze. Mieszkanki Samy i Ciano, które nadeszły tymczasem, otoczyły go i poczęły z wytwornemi minami tańczyć polkę i *habanere*<sup>1)</sup>. Były to dziewczęta z ludu, wystrojone odświętnie w najlepsze suknie i w fałszywe klejnoty. Nie miały chustek na głowie jak robotnice, ani też kapeluszy jak panie. Były tylko starannie uczesane na tę uroczystość. Niektóre odznaczały się urodą. Młodzieńcy, niżsi urzędnicy fabryczni, sprzedawcy sklepowi, albo synowie drobnych właścicieli ziemskich, przybyli w jasnych marynarkowych ubraniach, w sztywnych gorsach u ko-

---

<sup>1)</sup> *Habanera*: taniec z Havany.

szul, zdobnych w jaskrawe krawaty, prosto z igły, wyświeżeni jakgdyby specjalnie na tę zabawę.

Dokoła tej grupy arystokratycznej zebrała się liczna gromada młodych robotnic i wieśniaczek, przypatrujących się z zachwytem wytwornym tańcom.

Zbliżyła się tam również Rogelja z towarzyszkami i z przyjaciółmi Perica; ci bowiem po odwołaniu chłopca przez Maksa poszli dalej, sądząc, że Perico dogoni ich niebawem.

Rogelja nie podzielała zachwyty swych przyjaciółek. Dumnym wzrokiem z wyraźną obojętnością śledziła ruchy „dam“ i „kawalerów“. Co czas pewien wyjmowała z kieszeni orzech i rozgryzała go drobnymi białymi zębami. Dziewczyna jaśniała urodą. Głowę miała owiazaną czerwonym jedwabnym szalem, spod którego na skroniach wymykały się puki czarnych niemal włosów; kwiecista chustka, związana styłu w pasie, odsłaniała dziewczęcą szyję, otoczoną sznurem czerwonych koralik; spod merynosowej spódnicy, spadającej do kostek, widniały białe pończochy i trzewiki z barwnej skóry. Całość była bardzo skromna, prawie uboga, lecz wytworna w porównaniu z ubraniem, jakie nosiła na codzień. Jej niezwykła uroda i bez stroju przykuwała uwagę. Łagodny owal twarzy o subtelnych rysach i świeżej, zlekką różowej cerze, oczy czarne, szczere i spokojne musiały być zawsze piękne, bez względu na strój.

Rogelja, wodząc roztargnionym wzrokiem po placu jarmarcznym, dostrzegła pana Henryka Sanfrechoso, który w towarzystwie znajomych zdążył ku niej. Zmarszczyła piękne czoło i wydeła pogardliwie usta.

Tego dnia pan Sanfrechoso de las Matas zgromadził na śniadaniu w swym domu dwunastu conajmniej znajomych. Przyjętym od lat kilku zwyczajem zapraszał na kiermasz w Nalonie znajomych z Samy, z Laviany, a także z Oviedo. Zastawiano

wówczas stół w starym obszernym salonie starożytnego dworu. Wszystko tam było staroświeckie i przysypane kurzem, gdyż dona Róza, stara małżonka Sanfrechosa, jako urodzona i wychowana na wsi, nie troszczyła się ani o meble ani o pył w przeciwieństwie do pań z Oviedo i Gijonu. Podłoga z szerokich desek kasztanowych była w wielu miejscach stoczona przez robaki, szyby brudne, a spod jedwabnego zielonego adamaszku, którym pokryte były kanapy i fotele, przeświecało wskutek przetarcia materji białe tło podszewki.

Don Enrique, aczkolwiek nieco bardziej wymagający, gdyż długie lata mieszkał w mieście, nie dbał również o czystość i wygląd mieszkania. Wystarczał mu jego własny pokój sypialny, urządzony nowocześnie z niejaką elegancją.

Zato stół był nakryty wspaniale. Adamaszkowy obrus i serwety ozdobione koronką, lśniąca kryształ, staroświecka, cenna zastawa i sztucce. Gospodarze domu opróżniali szafy i skrzynie i umieli pokazać, na co ich stać. Liczba potraw na takim przyjęciu była wprost niesłychana. Goście mawiali, że przez rok cały nie będą mogli jeść ani pić.

Wszyscy prawie goście pana Henryka, z wyjątkiem dwóch inżynierów, byli mniej więcej w jego wieku. Niektórzy kolegowali z nim jeszcze w szkole, inni bawili się razem z nim w Oviedo. Mówili sobie po imieniu, żartowali z siebie wzajemnie, a niekiedy w porywie poufałości przemawiali do siebie zgoła niedelikatnie.

— Słuchaj, Henryku — mówił don Benedykt, ziemianin z San Martin — powinienbyś zebrać swoje dzieci przynajmniej raz na rok i wydać dla nich taki bankiet.

— Nie pomieściłyby się w salonie — zauważył don Telesfor, notariusz z Laviany.

Po tych słowach wybuchnął rubasznym śmiechem, ogromny brzuch trząsł mu się jak galareta.

— Ale czy pan de Sanfrechoso ma dzieci?... Słyszałem, że... — zaczął młody inżynier Mario Oliva, który przed miesiącem dopiero przybył do Samy.

— A to pytanie! — zawołał don Benedykt. — Czy ma dzieci? Widzisz te wszystkie wsie rozsiane na zboczu górskim? Otóż w każdej z nich jest jakiś Henryk lub Henryka.

— Że noszą jego imię, to jeszcze nie dowód, by miał być ich ojcem — zaśmiał się inżynier.

— To prawda — dodał ziemianin z San Martin — bo don Pedro, proboszcz naszej parafji, skoro tylko podejrzewa, że dziecko, przyniesione do chrztu, jest dzieckiem naszego przyjaciela, nadaje mu bez względu na życzenie rodziców chrzestnych imię Henryka lub Henryki.

— To doskonałe! Ależ to okrucieństwo! — zawołał Oliva, wybuchając śmiechem.

Sanfrechoso zachmurzył się nagle; w oczach zabłysnął mu gniew i oburzenie. Żart rozzłościł go na dobre.

— Nasz przyjaciel czyni dla ojczyzny, co może — zauważył jeden z gości.

— Toteż rząd powinienby mu przyznać medal za stałość — dodał inny.

— Raczej za niestałość — dorzucił inżynier.

— Ale czyż właściwie mamy rząd w Hiszpanji? — zapytał z patosem don Juan de la Rosa, szlachcic z Laviany, karlista, wiecznie niezadowolony i zgorzkniały, który dwukrotnie był więziony za udział w spisku.

Rozmowa zeszyła na politykę. Goście poczęli jak zwykle podrwiwać z karlisty, wyciągać go na słowa, doprowadzając do gniewu.

Przy kawie wychylono po kilka kieliszków konjaku. Goście w dobrych humorach wstali od stołu,



aby zwyczajem lat poprzednich przejść się po jarmarku. Wolnym krokiem, pociągając aromatyczne cygara z Hawany, rozgrzani alkoholem, udali się szosą ku łące, gdzie odbywała się zabawa, i przybyli przed samem jej zakończeniem.

Słońce znikło przed chwilą za pagórkami. Zachodzi ono szybko w tej dolinie, choć zmrok nieprędko zapada. Mimo to kobza i bęben dudniły niezmordowanie, a przekupki wiejskie zachęcały do kupna jeszcze głośniej. Tańczono również przy dźwiękach skrzypiec i gitary. Ludzie jednak, zamieszkali dalej, poczęli się już rozchodzić. Pan Henryk i jego goście podeszli do tańczących panien.

Sanfrechoso krokiem miarowym, z oczyma błyszczącemi złośliwością, uśmiechnięty, słodki jak miód, zbliżył się do Rogelji.

— Dobrywieczór, Rogeljo, jak się masz, ślicznotko?

Dziewczyna popatrzyła na niego przez chwilę. Potem przyjrzała się ciekawie jego towarzyszom i szepnęła, zwracając się do przyjaciółek:

— Obrzydliwość! Wszyscy są pijani.

Sanfrechoso dosłyszał te słowa.

— Któż nie jest upojony, gdy spojrzy na ciebie? Możesz zawrócić głowę najpoważniejszym mężom. Ja już oddawna straciłem głowę dla ciebie, cudna dziewczyno. Zostaniemy niebawem przyjaciółmi, nieprawdaż, moje kochanie?

Dziewczyna przyglądała mu się dalej w milczeniu, jak rzadkiemu okazowi.

— Zawrzemy zażyłą przyjaźń, prawda? Jutro przypieczetujemy ją na zawsze. Ale dziś jesteś tak piękna, że pragnąłbym uszczknąć coś na zadatek... Pozwól mi pokosztować kropelki miodu z ust twoich...

I pochyliwszy się szybko ku dziewczynie, śmiało wycisnął pocałunek na jej twarzy.

Rogelja odskoczyła wstecz, podniosła rękę i wymierzyła mu tęgi policzek. Pan Henryk zachwiał się i byłby upadł, gdyby nie towarzysze, którzy go podtrzymali.

Mężczyźni śmieli się ukradkiem; kobiety z zapalem klasnęły w dłonie, przez chwilę w grupie tanecznej powstało zamieszanie. Wreszcie przyjaciele pana Henryka oddalili się, uprowadzając go z sobą.

Szli w milczeniu; uśmiechając się, rzucali spod oka drwiące spojrzenia na starego uwodziciela, chmurnego jak noc.

Chytry kontroler przerwał wreszcie milczenie poważnemi słowy:

— Wiesz, co ci powiem, Henryku? Otóż wedle mojego skromnego zdania ten podbój niebardzo ci się udał.

Szlachcic, coraz bardziej zasepiony, mruknął:

— Cóż na to poradzić? Oberwało mi się coś z reszty.

— Niezupełnie, bo ty dałeś dziewczynie całusa, a ona ofiarowała ci zgoła coś innego.

Rogelja niezadowolona, że zwróciła na siebie uwagę, odeszła również, pociągając za sobą towarzyszek. Dziewczęta rozmawiały o zajściu i zaśmiewały się z przygody dziedzica z Ciano. Rogelja była poważna i milcząca.

Zbliżyły się do grupy tańczących po wiejsku; ludzi było tu już mniej. Rogelja ogarnęła wzrokiem zebranych; potem rozejrzała się w prawo i w lewo. Zdziwiła ją nieobecność Perica. Jeden z towarzyszących dziewczętom chłopców zaproponował przyłączyć się do tańczących. Ale Rogelja wymówiła się zmęczeniem, a przyjaciółki poszły za jej przykładem.

Postanowili tedy obejść dokoła plac zabawowy. Gdy mijali kram z cukierkami, Rogelja oświadczyła, że jest spragniona. Jeden z chłopców pośpieszył ofiarować jej szklanekę wody z *azucarillo*. Kończyła

właśnie pić, gdy do dziewcząt podeszła jakaś pani siwowłosa w towarzystwie drugiej, również starszej damy.

— Czy to ty, mała, dałaś w twarz memu mężowi?  
— zagadnęła Rogelję z zachęcającym uśmiechem.

Ta nie odpowiedziała, jakgdyby nie słysząc pytania, i spojrzała na nieznajomą z wielką ciekawością. Lecz jej towarzyszki poczęły się śmiać, czem potwierdziły domysł starszej pani.

— Dobrze zrobiłaś, moje dziecko, bardzo dobrze zrobiłaś; weź tę torebkę cukierków, zasłużyłaś na to.

Chciała jej dać słodycze. Lecz Rogelja zmierzyła ją wzrokiem od stóp do głowy, a wreszcie rzekła z pogardą, odwracając się od niej plecami:

— Nie jestem łakoma. Niech pani to da swojemu mężowi, aby mu osłodzić gorzką pigułkę.

Dona Róza, nieszczęśliwa małżonka niewiernego Sanfrechosa, zmieszana wybuchem śmiechu, jaki wywołała odpowiedź Rogelji, odeszła zła, oświadczając, że ci wszyscy wieśniacy, to prawdziwe dzikusy.

Był już czas wracać do domu. Zmrok zapadał, a Rogelja mieszkała dalej niż inne dziewczęta. Musiała wracać do Samy, a stamtąd iść aż do Lady! Rozglądała się ciągle, czy nie dojrzy gdzie Perica: ale nie było go nigdzie widać.

Towarzyszący jej chłopcy i dziewczęta zauważyli jej niepokój; rozumieli doskonale, co się święci, nie odzywali się jednak ani słówkiem. Uśmiechali się tylko i mrugali do siebie porozumiewawczo za plecami Rogelji.

Ona również domyślała się prawdy, lecz nie chciała dać tego poznać. Szli razem, rozmawiając o czem innym, zwłaszcza o gorszących przygodach pana Henryka de Sanfrechoso, a po przybyciu do Samy pożegnali się i rozeszli, nie wspominając imienia Perica: zapomnieli o nim zupełnie.

Nie zapomniała jednak o nim porywcza dziewczyna. Domyśliła się, co zaszło. Maks nastraszył go, podobnie jak wielu innych. Sądziła jednak, że spotka go jeszcze na zakręcie drogi do Lady, jak to dawniej bywało. Tam przynajmniej nie będzie się miał czego lękać, ponieważ górnik go nie zobaczy. Doszła do zakrętu, gdy noc już zapadła, ale Perica nie było. Zatrzymała się kilka minut jak zazwyczaj, lecz napróżno.

Przekonana wreszcie, że jej domysły odpowiadają prawdzie, uczuła wzbierającą w duszy falę oburzenia; oczy jej zaskrzyły groźnie w ciemności, a gniew wyrwał jej z ust potok obelg.

— Podły! Podły tchórz! — wołała, idąc śpiesznym krokiem w stronę domu... — Osiół! Zając! Kundel! Zmokła kura!...

Porównywała go z najmniej wojowniczymi stworzeniami na świecie, jakie знаła. I łzy oburzenia i rozpacz pływały jej z pięknych oczu.

#### IV.

Minęło gorące popołudnie. Dolina Langreo, zamknięta ze wszystkich stron pierścieniem wzgórz wysokich, płonąca ogniskami fabryk i hut, sama podobna była do wielkiego pieca, który przetrawiał życie robotników i chłopów. Mieszkańcy Samy chronili się do domów lub też do dwóch skromnych wiejskich kawiarenek, gdzie rozgrywali długotrwałe partje bilardu i domina. Z głośnym śmiechem i krzykiem opowiadano tam o policzku, wymierzonym panu Sanfrechoso.

Rogelja natomiast zapomniała już prawie o tej przygodzie. Jedyłą rzeczą, jaka zajmowała ją owego dnia przy pracy, była nikczemność Perica, jego podłe tchórzostwo; pragnęła go spotkać, aby mu blu-

znać w twarz obelgami, których nie szczędziła, znalazłszy się sama.

Po pracy obmywszy się w strumyku, już o zmroku poszła do domu. Na zakręcie drogi do Lady zatrzymała się chwilę, jak zwykle. Lecz opamiętała się zaraz, wydeła pogardliwie usta i zesła w wąski jar, gdzie było już ciemnawo. Aby przekonać samą siebie, że zawód, jaki jej sprawił Perico, nie smuci jej wcale, zaczęła śpiewać głośno wesołą piosenkę wiejską, nuconą w owym czasie przez całą młodzież okoliczną. Szła tak rozśpiewana, oderwana sercem od trosk i od wszelkiej świadomej myśli, gdy nagle ujrzała przed sobą ciemną sylwetkę mężczyzny. Stała zdziwiona, lecz nie przestraszyła się wcale; nie bała się nigdy nikogo ani niczego.

— Hej! Kto tam? — zapytała spokojnie, lecz stanowczo.

Człowiek postąpił krok naprzód.

— To ja, Maks. Nie bój się, Rogeljo.

— Nie boję się — odrzekła dumnie. — Ale czego chcesz, Maksie? Poco tu przyszedłeś?

— Możesz się chyba tego domyślić, Rogeljo... Chcę cię zobaczyć, chcę pomówić z tobą. Nieraz mnie odtrącałaś, ale ja wracam zawsze do ciebie, jak wierny pies, co liże rękę, która go bije.

Dziewczyna nie odpowiedziała nic na te płomienne słowa. Jakgdyby go nie było, szła spokojnie dalej.

— Nie wiesz, Rogeljo, jak marzyłem o tobie przez te pięć miesięcy. W więzieniu, we śnie czy na jawie, stałaś mi ciągle przed oczyma, jakgdybym cię widział naprawdę. Drżałem z wściekłości i ze zgryzoty na myśl, że ktoś inny może się do ciebie zalecać, że pokochać możesz innego.

Dziewczyna milczała. Szła tak dalej. Maks odezwał się znowu:

— Gdybyś mnie lubiła, Rogeljo, choć trochę, troszeczkę... Jestem pewien, że szcześnie polubiłabyś

mnie znacznie więcej. Bo mojem jedynem pragnieniem jest uszczęśliwić ciebie. Byłbym twoim sługą. Nie potrzebowałabyś pracować w kopalni, ani brudzić białych rączek i różowej twarzyczki. Zarabiam tyle, że nie będziesz potrzebowała pracować; starczy mi na to, aby cię stroić: będziesz ubrana jak najbogatsze panny w Samie.

Milczenie. Rogelja szła naprzód bez słowa. Po kilku minutach Maks począł błagać znowu:

— Wiem, że mi tu źle życzą; musiano ci naopowiadać wiele plotek o mnie. Owszem, jestem popędliwy, gorąca krew uderza mi szybko do głowy; ale to dlatego, że czasami wypiję za dużo, a wtedy nie wiem, co robię. Gdybyś mnie polubiła, Rogeljo, noga moja nie postałaby już w karczmie, byłbym najpoważniejszym człowiekiem w całym Langreo...

Rogelja i na to nie raczyła mu odpowiedzieć. Mężczyzna szedł obok niej zasmucony. Trwało to dłuższą chwilę. Wreszcie, gdy na ciemnem niebie zarysował się cień dzwonnicy kościelnej i dach chaty matki Doroty, Rogelja zatrzymała się, stała chwilę bez ruchu, popatrzyła w twarz górnika, aż wkońcu rzekła poważnie:

— Dobrze. Nie jesteś dobry, ale przynajmniej nie jesteś tchórzem jak inni. Mam wstręt do tchórzów.

Górnik nie posiadał się z radości.

— Czy pozwolisz mi przychodzić porozmawiać z sobą o tej porze, po pracy?

— Tak, możesz przychodzić — odrzekła oschle.

Oddaliła się szybko, biegnąc ku domowi, otworzyła drzwi, weszła i zatrzęsnęła je gwałtownie za sobą.

Maks szalał z uciechy; czuł się, jak w letniej rannej kąpeli. Powiedział szczerą prawdę: namiętność mąciła mu rozum. Żądza posiadania pięknej dziewczyny opanowała go zupełnie. Było jednak możliwe, a nawet prawdopodobne, że gdyby Rogelja go od-



rzuciła, natenczas dziki i porywczy górnik byłby się dopuścił w Langreo nowej zbrodni. Tego właśnie obawiały się przyjaciółki dziewczyny zarówno w fabryce jak i w Samie. Ona wszakże nie zdawała sobie sprawy z niebezpieczeństwa, a gdyby je nawet rozumiała, była zbyt dumna i zbyt stanowcza, aby dlatego zmieniać swoje postępowanie. Na zmianę jej postanowienia wpłynął jedynie doznany zawód, gwałtowna chęć wymierzenia policzka tchórzliwemu zalotnikowi.

Maks stał na tem samem miejscu, spoglądając pożądlivym wzrokiem na drzwi, za któremi zniknęła Rogelja. Przeżywał rozkoszne wzruszenie. Gdy wreszcie zdecydował się odejść, postąpił parę kroków, chwiejąc się na nogach jak pijany. Szedł przed siebie, nie wiedząc, że idzie, oszołomiony, uniesiony szczęściem; był w siódmym niebie. Ściemniło się już zupełnie, cisza panowała niezmaczona. Słysać było tylko lekki szmer strumyka, który płynął przy drodze.

Nagle do jego uszu dobiegł tętent konia. Nie był to odgłos kopyt osła ani mufa; doświadczonem uchem rozpoznawał tętent wierzchowca. Przystanął na chwilę, a ponieważ jeździec zbliżał się coraz bardziej, zszedł na bok i ukrył się za drzewem. Wzrokiem oswojonym z ciemnością zbadał drogę, gdzie powinien ukazać się koń z jeźdźcem. Istotnie po chwili wynurzył się z mroku. Był to don Enrique de Sanfrechoso na swym wierzchowcu andaluzyjskim.

Sanfrechoso po otrzymanym wczoraj policzku doznał uczucia wstydu i gwałtownego gniewu. Żarty towarzyszków nie przyczyniły się do jego uspokojenia, toteż w przystępie złości przeklinał chwilę, w której przyszło mu do głowy uwieść tę niemądrą, zuchwałą i nieokrzesaną dziewczynę. W duszy nie szczędził jej najbrutalniejszych wyzwisk. Skoro się jednak uspokoił, wrócił do domu i udał na spoczynek, obraz Rogelji zjawił się przed nim znowu ponętniejszy niż

kiedykolwiek. Policzek, który rozplomieniał mu twarz, w jakiś niepojęty sposób zapalił pożądaniem jego serce. I dopóki sen nie zamknął mu powiek, widział ciągle przed sobą piękną dziewczynę z Lady, silną, wyniosłą i niesłychanie ponętną.

Zbudziwszy się nazajutrz, widział ją w wyobraźni znowu; był tak oczarowany, tak podbity przez uroczą wizję, że gniew jego stał jak śnieg, a w sercu pozostał tylko żar pokornej i gorącej miłości. Postanowił zobaczyć się z nią, choćby nawet miała go obсыпать gradem policzków.

Jako człowiek doświadczony ułożył sobie plan kampanji. Za dnia, i w dodatku w niedzielę, jak to było wczoraj, bezcelową i niebezpieczną było rzeczą szukać z nią spotkania; ale wieczorem, u niej w domu, przy życzliwej pomocy babki, którą sobie zjednał, uda mu się może okiełznać to śliczne dzikie zwierzątko. Ubrał się więc jaknajstaranniej i nakupił w Samie przeróżnych błyskotek: kolczyki złoczone, broszkę do spięcia szala, pudełeczko na szpilki, wstążkę jedwabną, wszystko zresztą bardzo tanie, Sanfrechoso bowiem nie ceremonjował się zbyt z kobietami; w bezdennej zarozumiałości polegał bardziej na swych zaletach osobistych niż na podarkach. Miał u siebie na komodzie całą kolekcję mosiężnych złoczonych pierścionków ze szklanemi kamykami, które w żartach nazywał „pierścieniami uwodzicielskiemi“. Niewiele piękności wiejskich oparło się ich pokusie. Następnie udał się do cukierni; kupił tekturowe pudełko z obrazkiem i polecił napęlnić je karmelkami. Zaopatrzony w taką broń śmiertcioną, z nadejściem wieczora kazał osiodłać wierzchowca, doglądając osobiście tej ważnej czynności; następnie wskoczył na siodło i pojechał stępa do Samy, a stamtąd do Lady.

Maks jednym skokiem znalazł się na drodze: chwycił za wodze i osadził w miejscu konia, który

próbował stanąć dęba; silna dłoń górnika powstrzymała go momentalnie.

— Dobrywieczór, don Enrique!

— Hola! Kto tam? — zawołał Sanfrechoso.

— To ja, don Enrique, niech się pan nie obawia. To ja, Maks, górnik kastylski, pracuję w kopalni fabrycznej.

Wszystka krew spłynęła szlachcicowi do serca. Znał Maksa z opinji i z widzenia, jak znała go cała okolica. Ponadto wiedział (mówiono bowiem o wszystkim w sklepie Regalada w Samie), że groźny górnik oddawna prześladował Rogelję zalotami. Dostrzegł w ciemności błysk noża i poczuł w sercu chłód śmierci. Zdrętwiał ze strachu i nie mógł przemówić słowa.

— Zatrzymałem pana, don Enrique, aby ostrzec go o niebezpieczeństwie. Tam dalej na drodze osunęła się ziemia; ponieważ nie wie pan o tem, może pan stoczyć się z koniem do rzeki. Sądzę, że powinien pan zawrócić.

— Zawrócę, Maksie, zawrócę — rzekł skwapliwie szlachcic, widząc, że niebezpieczeństwo śmierci zostało narazie zażegnane. — Dziękuję bardzo, dziękuję bardzo.

— Niema za co. Jest pan człowiekiem godnym i szanowanym. Wszyscy martwiliby się bardzo, gdyby pana spotkało jakie nieszczęście.

— Dobrze, Maksie, dziękuję ci za ostrzeżenie. Dobranoc.

— Dowidzenia, don Enrique.

Gdy Sanfrechoso ściągnął wodze, aby zawrócić konia, zwierzę skoczyło gwałtownie wstecz. Maks wybuchnął śmiechem.

— Pański koń ma jeszcze większą chęć zawrócić niż pan. Napewno przeczuł niebezpieczeństwo.

— Żegnaj cię, Maksie, dziękuję bardzo — powtórzył na odjeździe miódowym tonem szlachcic.

Przejechał szybko pierwszą część drogi; lecz niewiadomo z jakiej przyczyny koń począł słabnąć. Sanfrechoso, który pragnął jaknajrychlej oddalić się od miejsca, gdzie napotkał górnika, bódł go ostrogami. Nie udało mu się popędzić konia nawet truchtem, co dziwiło go wielce, gdyż rumak był żywy i gorący.

Niedaleko Samy koń upadł, pociągając jeźdźca za sobą. Don Enrique powstał szybko. Nie poniósł żadnego szwanku, lecz dziwił się coraz bardziej. Co się stało? Czy koń potknął się o jaką przeszkodę? Czy stąpnął w jaką wyrwę na drodze?

Ale zwierzę nie poruszało się wcale, co wprawiło Sanfrechosa w jeszcze większe zdumienie. Zaświecił zapalkę i ujrzał na ziemi kałużę krwi; krew ta płynęła z wielkiej rany w brzuchu konia. Biedne zwierzę nie ruszało się już i dyszało ciężko, stękając żałościennie. Don Enrique nie mógł zrozumieć zrazu, co to znaczy, lecz nagle rozjaśniło mu się w umyśle. Nieprzytomny z gniewu, krzyknął:

— Ach, nikczemniku! Ach, złodzieju! Przeklęta niech będzie matka, która cię urodziła, psie niegodziwy!

W chwili, gdy odjeżdżał, Maks zatopił nóż w brzuchu biednego konia.

Przez dłuższą chwilę zdumienie przykuło Sanfrechosa na miejscu. Tyle pieniędzy kosztowało go to piękne zwierzę, przedmiot zazdrości ze strony okolicznych obywateli. Tak długo o niem marzył, nim je nabył. A teraz w jednej chwili — kona!

Silna żądza zemsty ogarnęła duszę szlachcica z Ciano. Przyszło mu na myśl, aby dać znać do pobliskiego posterunku żandarmerji. Ale jak tego dowieść? Nie było świadka wypadku. Zresztą wszyscy w Samie, w Felguera, a nawet w Ciano domyśliliby się odrazu, co go sprowadziło do Lady o tak późnej porze. Ludzie śmieliby się z niego; sędzia pozostałby bandytę na wolności, a ten zemściłby się na

nim przy pierwszej nadarzonej okazji. Potem przyszło mu do głowy, aby wziąć strzelbę, zacząć się na górnika w pobliżu jego mieszkania i wpakować mu kulę w głowę. Zrozumiał jednak, że czyn taki miałby dla niego samego fatalne następstwa. Za śmierć owego groźnego bandyty kazano mu odpokutować tak, jakgdyby zabił najzaciejszego człowieka: może nawet dożywotniemi więzieniem. Po namyśle, nieco już spokojniejszy, pobiegł do Samy, której domy widać już było w pobliżu, i zapukał do Gratiana; był to podmajstry, który zamłodu służył u Sanfrechosa. Opowiedział mu szybko o tem, co zaszło. Gratiano wyszedł z latarnią. Zbliżywszy się do konia, przekonali się obaj, że niepodobna go uratować z powodu wielkiego upływu krwi. Zdjęli tylko siodło i uprząż.

— Niech pan już o tem nie myśli — rzekł Gratiano na pożegnanie. — Dopóki ten bandyta nie opuści Langreo, nie będziemy mieli spokoju.

Sanfrechoso wracał pieszo, mruczając straszne wyzwiska i przekleństwa. Położył się spać o wiele bardziej zgnębiony niż ubiegłego wieczoru.

## V.

Nazajutrz rano Rogelja, przebudziwszy się, pomyślała, iż popełniła wielką niedorzeczność. Górnik nie podobał jej się, przeciwnie, odczuwała do niego wstręt prawdziwy. Czemu więc przyjęła jego oświadczenia? Musiała w duszy przyznać, że jedynie złość skłoniła ją do tego kroku. Ale już się stało. Cofać się, jej zdaniem, było czemś niegodnem. Wrodzona prawość i duma nie pozwalały na to. Przystała więc, aby Maks po skończonej pracy towarzyszył jej do Lady. Słuchała jego płomiennych wynurzeń zrazu z pogardą, potem z obojętnością, a wkońcu — z pewną satysfakcją. Każde serce ludzkie jest wrażli-

liwe na pochwały. Zresztą miłość górnika była tak szczerą i tak gorącą, że niekiedy zdobywał się na słowa piękne i przekonywające.

Od samego początku Maks mówił o małżeństwie; ona jednak odrzucała tę myśl, tłumacząc się swoim młodym wiekiem. Lepiej zaczekać, aż skończy lat szesnaście. Tymczasem poznają się i zbliżą. Z konieczności musiał ustąpić. Rozumiał, że jego gorzące życie mogło odstraszać dziewczynę. Postarał się tedy zatrzeć to wrażenie i w tym celu zmienił całkowicie postępowanie. Zwróciło to uwagę ludzi w kopalni, toteż wszyscy winszowali zarówno jemu jak Rogelji.

— Moja droga, odniosłaś wielkie zwycięstwo. Uwolniłaś Langreo od niebezpiecznego zwierzęcia. Masz zasługę... Niech cię Bóg wynagrodzi.

Pod wpływem nieustannych pochlebstw oraz radykalnej zmiany, jaką wszyscy jednogłośnie stwierdzali w postępowaniu Maksa, w Rogelji szcześnie zmieniło się — nie przywiązanie może — lecz przynajmniej uczucie sympatji. Słuchała go z przyjemnością, uśmiechała się do niego, pozwalała mu zatrzymywać się przed drzwiami chaty i porozmawiać chwilę wieczorem, przed rozstaniem.

Tak minęło trzy miesiące. W tym czasie umarła matka Dorota. Razu pewnego wyszła po chróst do lasu i nie wróciła. Wieczorem po powrocie od pracy Rogelja zastała dom pusty. Widać od rana nie było tam nikogo: kuchnia czysto zamieciona, jak zazwyczaj robiły to wieczorem, łóżko — niezasłane, miski i talerze — niezmyte... Dziewczyna wybiegła przed dom i poczęła głośno wołać Maksa, który nie mógł jeszcze odejść daleko. Zdziwiony i podobnie jak ona przeczuwający nieszczęście, zastukał do sąsiadów, by zapytać o starą. Nie umieli powiedzieć, co się z nią stało, udał się więc na plebanję, jednak i tam Doroty nikt nie widział.



Wówczas zaopatrzeni w latarkę, użyczoną przez proboszcza, Maks i Rogelja w towarzystwie paru sąsiadów wyruszyli do lasu, skąd matka Dorota zazwyczaj przynosiła chróst na rozpałkę. Weszli na stok wzgórza, przebiegli ścieżki: bez skutku. Lecz gdy, utraciwszy już nadzieję odnalezienia zaginionej, wracali drogą, wiodącą z kościoła do wioski, ujrzeni starowinę martwą, leżącą pośrodku gościńca. Rogelja objęła ją ramiony i krzycząc poczęła obsypywać pocałunkami. Głos krwi odezwał się w niej: wszak to była matka jej matki, kobieta, która przygarneła ją i opiekowała się nią, sierotą. Zapomniała o jej opryskliwości i zrzędzeniu: pamiętała tylko, że sama odpowiadała jej szorstko, i całując, błagała zmarłą o przebaczenie.

Wreszcie Maksowi i sąsiadom udało się oderwać zrozpaczoną dziewczynę od zwłok. Maks wziął ciało na ręce i zniósł je nadół, do chaty, nie okazując najmniejszego zmęczenia. Przechodząc koło plebanji, uwiadomili o wypadku proboszcza, który udał się niebawem za nimi. Ułożyli nieboszczkę w kuchni na rozłożonem prześcieradle, poklękali dokoła, a ksiądz odmówił przepisane modlitwy. Ludzie, którzy przybiegli na wieść o nieszczęściu, odpowiadali księdzu chórem. Wreszcie mężczyźni odeszli wraz z Maksem, a kobiety pozostały z Rogelją, aby czuwać przy zmarłej.

Ów nieszczęśliwy wypadek zmienił postanowienie Rogelji. Została sama na świecie; uczuła potrzebę towarzystwa i opieki. Dobroć i dzielność Maksa, który niósł ciało babki na rękę, wpłynęły na nią ostatecznie.

W miesiąc po owym wypadku wzięli ślub w Ładzie. Stary proboszcz pobłogosławił ich związek, a potem miał do nich przemowę. Powinszował Maksowi wyboru młodej dziewczyny, dziecka prawie, niewinnej i cnotliwej; powinszował również Rogelji

opieki silnego i pracowitego mężczyzny, który potrafi jej bronić, udzielić rady, być w życiu podporą.

Z początku byli szczęśliwi. Maks był nadzwyczaj czuły i zakochany. Za pieniądze, które posiadał, a częściowo dokończył, doprowadził do porządku i upiększył znacznie chatę matki Doroty. Dał podłogę w kuchni, którą zamieniono na bawialnię, dodał wspartą o dom przybudówkę, gdzie postawiono piec i płytę kuchenną; wszystko otynkował, pomalował na nowo, kupił trochę sprzętów: całość stanowiła gniazdko miłe i schludne. Rogelja była panią tego domu; jedyną jej pracą było utrzymanie porządku i przyrządzenie posiłku. Dotrzymał również ucynionej dumnie obietnicy: ustroił żonę odpowiednio do jej stanowiska, zbytkownie nawet. Rogelja nosiła koszule i spódnice z cienkiego płótna, duży szal w kwiaty, chustki i fartuchy jedwabne, grzebienie do włosów z masy perłowej, gemzowe buciki na niedzielę. Gdy tak pięknie ubrana szła na mszę, trzymając w ręku książkę do nabożeństwa o złożonych brzegach, jak pani Józefowa, gospodyni proboszcza, — była przedmiotem ogólnego zaciekawienia i zazdrości sąsiadek.

Lecz niestety, piękna sielanka trwała krótko. Po zaspokojeniu brutalnej namiętności górnik zaczął ukazywać swoje prawdziwe oblicze: stał się zuchwały, wyzywający, despotyczny. Złościł się, krzyczał za łada powodem, kłął i bluźnił ohydnie. Rogelja, zdziwiona i zasmucona, zaczęła rozumieć, że popełniła straszną omyłkę. Wszakże z właściwą sobie siłą charakteru postanowiła stawić mężnie czoło tej ciężkiej sytuacji. Wobec wyzywającej postawy, klątw i bluźnierstw męża zachowywała zimną wyniosłość i pogardliwe milczenie. Zachowanie to, które zrazu zaimponowało Maksowi, poczęło go wkrótce drażnić; pewnego dnia pod błahym pretekstem zaczął krzyczeć i kłąć, a wreszcie uderzył ją w twarz. Zapom-

niał jednak o rezolucyjności i sile fizycznej swojej żony. Rogelja rzuciła się na niego jak lwica. Walczyli długo i bili się z prawdziwą furją. Padli na ziemię: mężczyzna oczywiście wziął górę, mimo to jednak nie wyszedł bez szwanku. Gdy Rogelja podniosła się wreszcie z zakrwawioną twarzą i płonącymi oczyma, krzyknęła rozwścieczona:

— Zapamiętaj sobie, co ci powiem: jeśli raz jeszcze podniesiesz na mnie rękę, wbiję ci podczas snu nóż w gardło.

Maks był odważny; ale zapalczywość przeważała w nim nad odwagą. Myśl, iż może być zarżnięty jak wieprz, nie uśmiechała mu się wcale. I odtąd nie tknął Rogelji. Natomiast nie szczędził jej drwin i zniewag. Młoda kobieta wysłuchiwała wszystkiego z godną podziwu niewzruszonością, patrzyła na niego wyzywająco i wyniośle, pewna teraz, że nowa bójka byłaby zarazem ostatnią.

Górnikowi obmierzła przymusowa powściągliwość w domu, powrócił więc do dawnego trybu życia; chodził po karczmach, budząc powszechny strach i odrazę. W karczmie Fructuosa, w Samie, gdzie miał zwyczaj spędzać wieczory po wyjściu z kopalni, pił i krzyczał pośród kamratów. Ci ustępowali mu we wszystkim, ponieważ wzamian znajdowali skuteczne poparcie Maksa, ilekroć chcieli załatwić porachunki z kolegą, któremu z jakiegokolwiek bądź powodu zażyli.

Pewnego wieczoru Perico, dawny konkurent Rogelji, w towarzystwie dwóch kolegów wszedł do gospody. Nie zauważył zrazu, że siedzi tam Maks: byłby zawrócił od progu, ale nie chciał okazywać strachu wobec przyjaciół. Usiadł wraz z nimi przy brudnym stoliku i zamówił parę kieliszków wina. Maks nie znosił Perica i pogardzał nim zawsze. Za to samo, że ów niegdyś ubiegał się o rękę Rogelji, Maks zachował względem niego szczególnie głęboką niena-

wić. Przypatrywał mu się czas jakiś zukosa; poczem wstał, podszedł do młodzieńca i położył mu poufale rękę na ramieniu.

— Nasze oczy są olśnione twoim widokiem, Perico. Jakże każesz czekać na siebie, o kwiecie grochowy! Wszyscy tu niepokoją się zawsze o Perica. Gdzie jest Perico? Gdzie piękny młodzian? Ilu kobietom zawróciłeś głowę, odkądśmy się nie widzieli?...

— Nikomu głowy nie zawracam — odparł Perico kwaśno, nie patrząc na Maksa.

— Owszem, wszyscy wiedzą, że dziewczęta topnieją z rozkoszy, gdy im szepcesz miłe słówka. Cieszyć się będziesz niebawem takim samym rozgłosem, jak don Enrique Sanfrechoso.

— Słuchajno, Maks! — zawołał jeden z jego przyjaciół — czy wiesz, że pan Sanfrechoso kupił na jarmarku wspaniałego konia?

— Zobaczymy — rzekł drugi — czy zdechnie na atak sercowy jak tamten.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, wiedzieli bowiem, jak zresztą całe Langreo, że konia zabił Maks. Ten przeczył, ale śmiał się przytem.

Górnik powrócił do grona swych towarzyszków, dopytując się o owego konia, kupionego na miejsce nieszczęsnego wierzchowca, którego dźgnął nożem. Potem zaczęli drwić ze starego uwodziciela i opowiadać śmieszne historie, których był bohaterem, częściowo prawdziwe, częściowo zmyślane.

Maks jednak wrócił wkrótce do stolika, przy którym siedział Perico. Nie mógł wprost wytrzymać, aby jeszcze bardziej nie upokorzyć biedaka. Położył mu znowu dłoń na ramieniu.

— Słuchaj, Perico, czy wiesz, co gadają ci chłopcy? Oto powiadają, że pewnej ciemnej nocy, gdy rozmawiałeś na progu domu z jakąś dziewczyną,

upuściłeś niechcący kawałek *borony*<sup>1)</sup>, który miałeś w kieszeni, i podniosłeś go co tchu, mówiąc, że to rewolwer ci upadł.

— Skoro tak powiadają, to widać prawda — mruknął chłopak, nie odwracając się, coraz bardziej zirytowany — ale nie chowałem się na boronie i nie jadam jej nigdy.

— No, to dziwne, że jej nie jesz; bo wszyscy utrzymują, że jesteś pasibrzuch.

Posypały się obelgi. Perico nie odpowiadał. Jego towarzysze, podobnie jak on stropieni, nie puszczali pary z ust.

— Maks! — zawołała od szynkwasu Asuncion, córka karczmarza — wypileś już pięć kieliszków, nieprawdaż?

— Nie więcej niż cztery, mój skarbie — odparł zapytany, podchodząc do niej.

Towarzysze Perica, korzystając z chwili, powstali z krzesel.

— Chodźmy stąd, Perico, coprędzej, bo ta kanalja szuka zwady, jak zawsze.

Perico wstał śpiesznie i wraz z jednym z przyjaciół ruszył w stronę drzwi: drugi zatrzymał się, by zapłacić rachunek.

Maks, odwróciwszy głowę, spostrzegł, że ofiara wymyka mu się z rąk.

— Słuchajno, Perico, czy to prawda, że co rano matka naciera cię masłem, abyś był gładki?...

— Ciebie natarłbym chętnie, ale czem innem...

Oczy górnika zapłonęły ponurym blaskiem. Wsunął rękę do kieszeni, wyciągnął nóż i zbliżał się do chłopca ze straszhwym spokojem, mówiąc:

— Nie potrafisz uciekać, Perico? Dobrze, to dziś się tego nauczysz.

---

<sup>1)</sup> *Borona*: chleb z kukurydzy, wypiekany w niektórych prowincjach.

Istotnie Perico jednym susem znalazł się za drzwiami i począł zmykać, co sił.

Maks gonił go przez krótką chwilę, poczem wrócił do karczmy, gdzie oczekiwali go przyjaciele. Towarzysze Perica znikli. Śmiechu było z tego coniemiarą.

## VI.

Perico pozostał sam w ciemności i zatrzymał się, widząc, że nieprzyjaciel go nie ściga. Czuł wzbierającą w nim falę gniewu, która dławiała go w gardle. Ten bandyta nie tylko zabrał mu ukochaną kobietę, lecz korzystał z każdej sposobności, aby z niego szydzić i upokarzać go.

Jak skra w umyśle jego błysnęła myśl o zbrodni. Tak, zabić tego potępieńca, zabić, choćby sam miał potem spędzić resztę życia w więzieniu...

Szalone pragnienie, żądza zemsty owładnęły jego istotą. Machinalnie obrał drogę, wiodącą do Samy, i dążył szybko, świadom jednej tylko rzeczy: zabije. Znalazłszy się daleko od wioski, zdołał ułożyć kłębiące się myśli w jakiś plan, zeszedł z gościńca, położył się na łące i czekał. Maks, wracając do domu, musiał tedy przechodzić. Po kilku wszakże minutach gniew ustąpił przed strachem. Zanim zdąży wykonać swój zamiar, Maks może dostrzec jego obecność, a wówczas prawdopodobnie położy go trupem. Perico wstał i poszedł dalej, szukając odpowiedniejszego miejsca. Był już w bliskości Lady. Stojące przy szosie grube drzewo uznał za doskonale miejsce zasadzki: ukryje się za pniem, a skoro górnik będzie przechodził (nie mógł wracać inną drogą), zada mu cios w plecy. Aczkolwiek zajmował dogodne stanowisko, obawiał się jeszcze. Wówczas to przyszła mu do głowy myśl nowa. Miał w kieszeni kłębek sznurka, który kupił dziś właśnie dla matki.



Udał się więc jeszcze dalej, aż doszedł do wąskiego przejścia, gdzie dwa drzewa stały naprzeciwko siebie. Złożył podwójnie sznurek, przywiązał go do obydwu drzew w odległości kilku centymetrów nad ziemią, ukrył się, jak mógł najlepiej, i czekał... Czekał pół godziny przeszło, trzymając nóż wpogotowiu. Serce tłukło mu się w piersi, lecz był zdecydowany skończyć ze swym prześladowcą.

Wreszcie usłyszał odgłos kroków i niebawem dostrzegł sylwetkę górnika, który szybko podążał do domu. Wówczas uspokoił się zupełnie, a nawet uczuł radość. Nienawiść, tłumiona w sercu, znajdzie nareszcie ujście i zostanie zaspokojona.

Maks potknął się o sznurek i padł twarzą na ziemię. Perico skoczył i z zawrotną szybkością zadał jeden, dwa, trzy ciosy nożem. Lecz w tejże chwili rozległ się odgłos czyichś kroków, a Maks krzyknął:

— Mordują mnie!

Perico podniósł głowę. Ujrzał idącego naprzeciw człowieka, skoczył na równe nogi i zniknął, biegnąc co tchu. Tym, który go spłoszył, był stary Pacho de la Riega, zakrystjan parafjalny i rolnik.

— Co się tu dzieje? — zapytał zbliżając się szybko.

— Zabili mnie, ojcie Pacho, zabili mnie!

Stary uniósł go z trudem.

— Kto cię zabił?

— Nie wiem.

— Ale ja wiem.

— To milcz, milcz, jeśli ci życie miłe.. Spróbuj, czy zdołasz mnie podnieść.

— Czy chcesz, abym poszedł do twego domu i uprzedził Rogelję?

— Nie, zdaje mi się, że dojdę o własnych siłach.

Zakrystjan dźwignął go wreszcie, a spostrzegłszy sznurek, o który potknął się górnik, zawołał:

— To nieźle obmyśłone. Boją się ciebie bardzo, mój chłopcze. Czy możesz iść?

— Zdaje mi się, że tak.

— To wesprzyj się na mnie.

Krok za krokiem, unosząc go prawie, zakrystjan szedł z rannym w stronę zabudowań miejskich. Lecz gdy dom górnika zamajaczył już w cieniu, Maks osłabł i zemdlony padł na ziemię, zanim stary Pacho zdołał go podtrzymać. Zakrystjan począł wtedy wołać, ile tchu w piersiach:

— Rogeljo! Rogeljo!

Nikt nie odpowiedział.

— Rogeljo! Rogeljo! — krzyczał.

Rogelja nie wyszła. Zjawił się natomiast syn sąsiada jej Lina de la Rebollada, wyrostek.

— Biegnij po Rogelję. Zabili jej męża.

Przybyła wreszcie zgnębiona Rogelja, myśląc, że Maks nie żyje. Drżąca i przerażona dźwignęła go z ziemi w silnych ramionach. Z pomocą zakrystjana przeniosła go do domu i ułożyła na łóżku. Maks nie odzyskał przytomności. Syn Lina pobiegł dać znać swoim. Niebawem dom Rogelji zappełnił się ludźmi z sąsiedztwa, którzy omawiali wypadek, lecz niezbyt nad nim bolejąc. Przyszedł proboszcz. Zwilżono octem nos i skronie rannego, który niebawem odzyskał przytomność i począł się skarżyć na silny ból w piersiach. Rogelja, usłyszawszy jego jęk, rzekła do jednego z sąsiadów, stojących przy drzwiach:

— Ojcie Rafale, chodźcie ze mną; zawezwiemy lekarza i uprzedzimy sędziego.

Sąsiad ruszył za nią; szybkim krokiem podążyli do Samy.

— Czy wiesz, kto go ugodził nożem, Rogeljo? — zapytał po dłuższej chwili milczenia ojciec Rafał.

— Nie — odparła oschle kobieta.

— No, to Pacho, zakrystjan, musi wiedzieć, bo zdaje się, że widział, jak Maks padał.

— Jeżeli wie, to powie sędziemu — odrzekła równie oschle.

Gdy weszli w dolinę, Rogelja zatrzymała się.

— Dobrze; teraz, ojcze Rafale, pójdziecie do Samy i zawiadomicie don Florentyna. Jeżeli go nie zastaniecie w domu, udajcie się do kawiarni. Ja idę do Felguera po lekarza fabrycznego.

Poszła bez wahania do Felguera ścieżką, wiodącą naprzelaj przez pola kukurydzy, jak ktoś, kto zna doskonale drogę.

Doszła do sklepiku Daniela. Lampa naftowa zawieszona u sufitu, oświećlała izbę. Za ladą sklepową stała właścicielka Marcjalo, młoda, otyła kobieta o wydętych policzkach i małych oczach: zmywała filizanki. Na ławie opodal drzwi siedziało dwóch mężczyzn. Sądząc po ubraniu, nie byli to robotnicy, lecz mieszczanie.

Rogelja poznała w nich pracowników z kantoru fabryki.

Weszła do sklepu i, zwracając się do właścicielki, rzekła z widocznem podnieceniem:

— Dobrywieczór, pani Marcjalo. Czy don Fernando jest w domu?

Sklepiakarka spoglądała chwilę na przybyłą w milczeniu i odrzekła flegmatycznie:

— Dobrywieczór, Rogeljo. Czy zachorował kto u ciebie?

Choć była młoda i doniedawna pracowała w fabryce jako robotnica, mówiła Rogelji po imieniu, zaznaczając w ten sposób wyższość swego społecznego stanowiska.

— Tak, ktoś pokłuł nożem Maksa.

— Wielki Boże! Więc ktoś pokłuł nożem twego męża? A czy bardzo?

Uśmiech sklepiakarki, obojętny, zlekka drwiący ton pytania dotknął Rogelję do głębi.

— Nie wiem — odparła porywczo. — Czy don Fernando w domu?

— A co się stało? — zapytał jeden z gości.

— Nic — odrzekła Marcjale. — Pokłuto nożem Maksa, męża tej małej.

— Maksa? Górnika z Kastylji, który pracuje w kopalniach, należących do fabryki?

— Tak, jego.

Gość uśmiechnął się i szepnął coś do ucha towarzyszowi, który roześmiał się również.

Rogelja zapłonęła oburzeniem. Wiedziała, że nikt dobrze o jej mężu nie trzymał, lecz śmiać się z niego w jej obecności — było to coś więcej niż brak miłości bliźniego: poprostu niegodziwość.

— Proszę odpowiedzieć, czy lekarz jest, czy go няма? — zapytała znowu z irytacją.

— Zdaje mi się, że jest nagórze — odrzekła sklepikarka z impertynenckim spokojem.

— Więc proszę być tak uprzejmą i uprzedzić go, że czekam.

— Danielu! Danielu! — zawołała Marcjale, odwracając zlekka głowę.

Mąż, który był w izbie za sklepem, odezwał się na wołanie.

— Idź nagórę i powiedz don Fernandowi, że jest tu kobieta, która chce się z nim widzieć.

— Ach, to ty, Rogeljo — zagadnął sklepikarz, który ją znał od dzieciństwa — co się u was stało?

Żona jego wyręczyła Rogelję:

— Podobno ktoś pokłut nożem jej męża, Maksa.

— Co, Maksa? Chyba Maks pokłut kogoś?

— Nie, nie — odpowiedziała Marcjale z uśmiechem — to jego pokłuto.

— *Ave Maria purissima!* — zawołał Daniel, zegnając się z miną tak komiczną, że goście w karczmie poczęli się śmiać hałaśliwie. Rogelja miała już wybuchnąć, nie mogąc znieść tych ordynarnych żar-

tów, lecz Daniel wyczytał to w jej spojrzeniu, spoważniał więc odrazu i rzekł uprzejmie:

— Zaczekaj chwilę, moja droga, idę uprzedzić don Fernanda.

Wszedł po schodach nagórę.

Tymczasem goście i sklepikarka poczęli rozmawiać o czem innem, jakgdyby nieszczęście Rogelji nie obchodziło ich wcale.

— Wejdz, Rogeljo, wejdz — zawołał Daniel, stając we drzwiach, wiodących na schody.

Młoda kobieta weszła wślad za sklepikarzem. Przepuścił ją przez drzwi do mieszkania lekarza, mówiąc:

— Don Fernando, oto kobieta, która chce z panem pomówić.

Doktor Vilches, lekarz fabryczny, był już ubrany, jakgdyby gotów na przyjęcie wizyty. Był to młody, szczupły blondyn, niebieskooki, blady, o regularnych rysach twarzy. Wygląd miał wąty i chorowity.

Lekarz oraz inżynier Oliva, który zajmował drugą pokój z alkową od podwórza, byli jedynymi lokatorami Daniela. Don Fernando umeblował własnym kosztem salonik i sypialnię i mieszkał tam od czasu przybycia do Langreo, to jest od dwóch lat. Z poważną miną, ze ściągniętymi brwiami spoglądał ku drzwiom, przez które miała wejść Rogelja. Był niewątpliwie uprzedzony przez swego gospodarza, Daniela. Ów Maks, do którego wzywano go obecnie, był to łotr wierutny; zranił bardzo ciężko prawie rok temu podmajstrzego fabryki. Doktor Vilches go leczył.

Gdy wszakże Rogelja weszła do pokoju, wyraz twarzy doktora zmienił się natychmiast. Przyglądał się jej czas jakiś napół z ciekawością, napół z podziwem, i zapytał poufale uprzejmym głosem:

— Do kogo mnie wzywasz, mała?

— Do męża.

— Kto jest twoim mężem?

— Górnik Maks.

— Ach, tak! Górnik, który nie pochodzi z Asturji, lecz przybył z Kastylji? — rzekł nieszczerze, jakgdyby teraz dopiero domyślił się, kto to jest Maks.

— Tak, panie.

— Cóż mu się stało?

— Ktoś pokłuł go nożem.

— Gdzie mieszkacie?

— W Ladzie.

— W takim razie nie mogę do was jechać. Posłałem konia wczoraj do Oviedo, do weterynarza; przyprowadzą mi go dopiero rano.

Rogelja stała zmartwiona. Milczała chwilę, a potem rzekła trwożliwie, z pokorą:

— Poszłabym po konia do Samy...

Lekarz zawahał się, popatrzył na nią, a widząc jej szczerzy smutek, powiedział wreszcie:

— Dobrze, mogę pójść pieszo; tyle tylko, że jest noc, a drogi złe.

— Niech się pan nie obawia, panie doktorze, drogę znam dobrze; ze mną pan się nie potknie.

Lekarz uśmiechnął się i spojrzał znów na nią; podobała mu się bardzo.

— Dobrze. Zabiorę lekarstwa i środki opatrunkowe. Idziemy zaraz.

Wyjął z szafy narzędzia, wateę, bandażę i kilka flaszeczek, zamknął wszystko w małej skórzanej walizce, którą podał Rogelji.

— Masz, poniesiesz to, dobrze?

Wyszedł następnie do swego pokoju, skąd wrócił niebawem w grubej pelerynie. Na głowie miał duży filcowy kapelusz, w ręku potężną laskę.

— Powódrujemy.

Zeszli ze schodów. W sklepie wszyscy byli zdziwieni, że doktor zgodził się iść pieszo o tak późnej



porze i w niepewną pogodę. Nikt się jednak nie odezwał: popatrzono tylko na nich znacząco.

Doktór odczuł ich zdziwienie. Wzruszył ramionami i rzekł z uśmiechem do Marcjali:

— Brzydka pogoda! Ale cóż zrobić? Trzeba służyć ludzkości.

Sklepikarka odpowiedziała tylko z powagą:

— Dowidzenia, don Fernando.

Pozostali pożegnali go również. Gdy się znaleźli za progiem, Rogelja usłyszała wypowiedziane dość głośno słowa Marcjali:

— Szkoda trudu dla takiego łotra.

Noc była ciemna i chłodna. Zanosiło się na deszcz. Przecięli tor kolejki górniczej, przebyli most i ścieżkami przez pola i łąki wyszli na drogę do Lady. Szli chwilami razem, to znów Rogelja wyprzedzała lekarza. Nie odzywali się do siebie. Dochożąc wszakże do kamienistej szosy, doktor potknął się, omal że nie upadł i zaklął ścicha.

Rogelja przestraszona i zmieszana, czując, że była przyczyną wypadku, zapytała niespokojnie:

— Czy pan się uderzył o co? Może mi pan poda rękę. Ja znam na tej drodze każdy kamień i jestem pewna, że się pan już więcej nie potknie.

— Dziękuję, dziecko; podam ci chętnie rękę, gdyż inaczej skręcę kark tutaj.

Istotnie wsparł się na jej ramieniu; szli chwilę; lekarz uśmiechał się pod wąsem.

Przyszło mu na myśl, jak ciekawy muszą przedstawiać widok: młody i zdrowy mężczyzna, wsparty na ramieniu kobiety.

Opierał się teraz na niej silnie, gdyż droga była ciężka, a poza tem prawdę powiedziawszy, miły mu był uścisk tego silnego ramienia, które niekiedy unosiło go prawie nad ziemią.

— Musisz chyba dobrze znać te kamyki, prawda? — zapytał, aby rozproszyć milczenie.

— Jakże mogłabym ich nie znać? Chodziłam po nich całe życie... a często i w nocy, jak teraz.

— W nocy?

— Oczywiście.

— I nie boisz się?

— Wcale. Choć, coprawda, kłamię: boję się umarłych.

— Ja zato nie boję się umarłych ani trochę. Troszczę się tylko o żywych.

— Ach, proszę pana, umarłabym chyba ze strachu, gdyby ukazała mi się *Huestia*, jak ojcu Rafałowi, gdy szedł raz wieczorem po lekarstwo do Samy.

— A cóż to takiego owa *Huestia*? — zagadnął doktor zdziwiony.

Rogelja nie potrafiła tego wytłumaczyć; zaplatała się w mglistych wyjaśnieniach, z których doktor nie mógł nic konkretnego zrozumieć.

*Huestia* była jakimś stworem bardzo brzydkim — o przeraźliwym głosie; raz była ogromna, kiedy indziej — maleńka, zawisała na drzewach, wskakiwała na mury...

— Bardzo pięknie. Otóż wiesz, co ci powiem? Gdyby mi się pokazała pani *Huestia*, nie przestraszyłbym się wcale; ale gdybym ujrzał znieczeka złodzieja z nastawionym nożem, dostałbym z pewnością gorączki... A nie przytrafiło ci się nigdy nic złego, gdy wracałaś nocą?

— Cóżby mi się mogło przytrafić? Raz tylko, gdy wracałam z odpustu na św. Wawrzyńca, pewien niepoń z Riano, z którym tańczyłam popołudniu, czekał na mnie tutaj. Chciał pożartować ze mną i pocałować mnie, ale pchnęłam go tak, że padł nawznak i rozbił sobie głowę o kamień. Krew płynęła z niego jak z wieprza, przepraszam za wyrażenie... musiałam sama zejść do rzeki, aby go obmyć.

— A to zuch z ciebie! — zawołał doktor śmiejąc się. — No, moje dziecko, widzę, że nie obawiasz

się żadnej napaści. Sądzę jednak, że mnie tak nie poczęstujesz za to, że cię trzymam pod rękę.

Rogelja śmiała się także. Zapomnieli zgola o smutnym celu swej wędrówki.

Rogelja знаła doktora Vilchesa tylko z widzenia, podobnie jak znała go cała okolica. Ten wysoki, piękny mężczyzna z jasnym wąsikiem o białej, delikatnej cerze, zwrócił już kilkakrotnie jej uwagę na ulicach Samy i Felguera. Subtelny instynkt, który posiadają wszystkie kobiety, nawet wiejskie, instynkt, pozwalający im odczuć nieomylnie piękno, powiedział jej, że Vilches różni się od wszystkich mężczyzn, zamieszkujących Langreo. Istotnie bowiem doktor, urodzony i wychowany w Madrycie, ubierał się zawsze wykwintnie, pielęgnował ręce, włosy, zęby, używał perfum, zmieniał często krawaty i rękawiczki. Każda kobieta jest wrażliwa na wytworność. Rogelja odczuła to silnie.

Szli tedy i rozmawiali ze wzrastającym ożywieniem. Rogelja pozbyła się całkiem pełnej szacunku trwogi, którą dotychczas budził w niej lekarz. Zaczął kropić drobny deszczyk; niebawem zamienił się w rzęsimy. Vilches zaniepokoił się, że Rogelja nie ma wcale okrycia.

— Choć niema jeszcze ulewy, ale zanim dojdziemy do domu, zmokniesz do nitki.

— To nic nie znaczy. Jestem do tego przyzwyczajona.

— Nie można przyzwyczaić się do moknięcia, moje dziecko... Prędzej czy później umiera się z tego. Zaczekaj, okryję cię swoją peleryną.

Z temi słowy rozpostarł pelerynę i zarzucił ją na plecy młodej kobiety. W ten sposób oboje byli osłonięci i szli bliżej siebie.

— O, proszę pana! — zawołała Rogelja zmieszana i wdzięczna — niech pan się nie trzodzi.

— To żaden trud, ani nawet uprzejmość: to obowiązek. Dobrze ci?

— O tak, bardzo!

Było jej tak dobrze, jak nigdy w życiu. Doznała jakiejś niewysłowionej błogości, jakiegoś rozkosznego wrażenia, czegoś dziwnego, co przyspieszało bicie jej serca. Od lekarza bił zapach. Rogelja dotykała jego ubrania z cienkiego sukna, czuła na swoim ramieniu łagodny ucisk jego dłoni, czuła przy swoim ciele ciepło jego ciała, a wszystko to wprawiało ją w słodką niemoc podobną do upojenia. Była w jakimś uniesieniu, które odbierało jej mowę.

— Dobrze ci, naprawdę? — zapytał powtórnie doktor, widząc, że milczy.

— O tak, bardzo dobrze, bardzo dobrze — powtórzyła stłumionym głosem.

— Tem lepiej. Nie przebaczyłbym sobie, gdybyś się nabawiła reumatyzmu. Byłaby ładna historia, gdyby taka młodziutka silna kobieta została kaleką na całe życie. Bo musisz być bardzo młoda, nieprawdaż? Ile masz lat?

— Skończyłam szesnaście.

Rogelja uczuła, że dłoń doktora drgnęła na jej ramieniu.

— Szesnaście lat! Co za okrucieństwo! I już zamężna... — miał dokończyć: „za takim brutal-lem!“ — powstrzymał się jednak. — Ale jakże rodzice mogli ci pozwolić wyjść za mąż w piętnastym roku? — dodał.

— Nie mam ojca ani matki.

— O, biedactwo! Gdyby rodzice żyli, nie wydaliby cię za mąż dzieckiem!

W głosie i w słowach doktora drgało szczere współczucie i wzruszenie.

Zamilkli teraz na długo. Deszcz padał drobny i uporczywy. Słyszeć było tylko szmer kropel, pa-

dających na liście, i odgłos kroków na kamieniach. Doktor Vilches myślał, jak straszny musi być los tego pięknego dziecka w małżeństwie z notorycznym bandytą; zadawał sobie pytanie, jak mogło dojść do czegoś podobnego, jak mogła zawrzeć takie małżeństwo.

Rogelja nie myślała o niczem. Zmysły jej odrętwiały. Uległa jakiejś przedziwnej senności, z której lękała się otrzeźwieć. Wkońcu jednak, zdjęta obawą, rzekła:

— Don Fernando, peleryna przemoknie, a kiedy pan zechce ją znów włożyć, będzie przesiąknięta wodą.

— Peleryna nie przemoknie, bo jest z impregnowanego sukna.

Rogelja nie zrozumiała tego wyrazu, ale nie zapytała o jego znaczenie; wystarczyło jej przekonanie, że doktor nie zmoknie.

Wreszcie w cieniu poczęły rysować się dachy domów. Zbliżali się do chaty. Młoda kobieta z westchnieniem żalu odrzuciła pelerynę i odsunęła się od lekarza. Zdawało się jej, że wyszła z ciepłej, wonnej kąpieli; odczuwała rozkoszną omdłałość; miała wrażenie, że zbudziła się ze snu do ohydnej rzeczywistości.

W domu zastali gromadę ludzi, zebranych przy stole w blasku stojącej na nim lampy. Był tam sędzia z Samy, sekretarz sądowy, brygadjer żandarmerji oraz żandarm, obydwaj zbrojni w karabiny, w pelerynach i trójkątnych kapeluszach. Był tam również ksiądz proboszcz, stary Rafał, Pacho de la Riega i kobiety z sąsiedztwa.

— Dzieńdobry panom — rzekł doktor ze swobodną uprzejmością, oddając Rogelji pelerynę. — Co słyhać nowego?

Wszyscy rozstąpili się przed nim i skłonili mu się z szacunkiem. Doktor Vilches dzięki swej wie-

dzy i zręczności, dzięki wytworności i dumnemu odosobnieniu, a może bardziej jeszcze dlatego, że uważano go za bogatego, cieszył się powszechnym szacunkiem.

Podszedł do rannego, który leżał na brzuchu, i poprosił o świecę. Nie było świecy w domu. Posłano do proboszcza. Gdy ją przyniesiono, lekarz obejrzał starannie trzy rany i zadał rannemu parę pytań, na które ten odpowiedział niechętnie, półsłówkami; wreszcie orzekł, że ponieważ żaden ważny organ nie został uszkodzony, przeto nie grozi bezpośrednio niebezpieczeństwo. Umył następnie ręce, zmoczył parę kawałków waty przyniesionym płynem i nałożył opatrunek. Gdy przesuwiał bandaż pod piersiami rannego, ten jęknął i zaklął kilkakrotnie. Kobiety i proboszcz zrobili poważne miny, brygadjer i żandarm zaczęli się śmiać.

Doktór zbliżył się do grupy, złożonej z proboszcza, sędziego i sekretarza, i powiedział im pocichu, że jego zdaniem ciosy były zadawane w pośpiechu nożem o krótkim ostrzu, który dlatego właśnie nie zdołał uszkodzić tętnic. Jediną obawę mogła nasuwać ewentualność gorączki.

— Uważa pan zatem, że niema niebezpieczeństwa? — zapytał sędzia.

— Narazie, zdaje się, niema.

— Tak, iż będę mógł zadać mu kilka pytań?

— Owszem.

— Wobec tego niema potrzeby trudzić pana sędziego z Laviany; sam przeprowadzę badanie.

I zwracając się do pisarza, wydał mu polecenie:

— Niech pan weźmie pióro, papier i siądzie przy stole. Spiszemy zeznania rannego.

Ów sędzia pokoju, nazwiskiem don Florencio Solis, odbył z wielkim trudem studia prawnicze w Oviedo, często ścinany przy egzaminach. Uzyska-



wszy wreszcie dyplom, wrócił do rodzinnej Samy i pozostał tam na utrzymaniu ojca, szanowanego kupca. Czas trawił na namiętnej uprawianiu gry w *tute*<sup>1)</sup> i zapijaniu jabłecznika. Ponieważ w owym czasie nie było adwokata w okolicy, a ojciec jego był wpływowym wyborcą, Florencio został niedawno mianowany sędzią pokoju i chadzał dumnie jak udzielny władca. Nakładał grzywny, groził więzieniem. Nikt go nie szanował, a nawet przesłano władzom wyższym kilka skarg, w których napiętnowano go jako niedołęgę i pijaka.

Podszedł do łóżka i rzekł protekcyjnym tonem:

— Doskonale więc, Maksie. Złożysz przed kompetentną władzą na prawdzie oparte zeznanie, kto cię poranił.

Górnik, który leżał teraz na boku, otworzył oczy i, nie odpowiadając ani słowa, obrzucił go wzrokiem tak dumnym i pogardliwym, że don Florencio zmieszał się.

— No, przyjacielu Maksie — powtórzył łagodniejszym już głosem — muszę wiedzieć, kto jest sprawcą napadu, aby wszcząć postępowanie sądowe i zadośćuczynić *vindicta publica* (było to szumne słowo, którego nauczył się jako student w Oviedo). No, powiedz, kto to taki?

— Nie wiem — mruknął ranny, zamykając oczy.

— Hm, to dziwne. Zdaje się, że powinienesz wiedzieć. Może więc powiesz, czy nie podejrzewasz kogo?

Górnik milczał. Napróżno sędzia powtarzał pytania, nadając im coraz to inną formę. Maks zaciął się w pogardliwym milczeniu i nawet nie otwierał oczu.

Niezadowolony sędzia zabrał się do odejścia.

---

<sup>1)</sup> Gra karciana.

— Chodźcie, pisarzu, i pan, brygadjerze. Nie mamy tu co robić. Rozpocznijmy inną drogą śledztwo dla wykrycia winnego.

Ruszył ku drzwiom.

— Panie sędzio — rzekł brygadjer Martinez — on wie doskonale, kto go zranił, ale nie chce powiedzieć, gdyż ma nadzieję dokonać zemsty osobiście.

— W takim razie — odrzekł don Florencio głośno — nie kto inny, lecz on sam odpowie za to przed prawem.

I wyszedł, a za nim reszta osób, znajdujących się w izbie. Deszcz padał rześystszy. Proboszcz zaproponował otoczeniu poczekać na plebanji, dopóki deszcz się nie zmniejszy. Gospodyni księdza, pani Józefowa, ciotka brygadjera Martineza, którego kochała jak syna, powtórzyła zaproszenie, nalegając gorąco.

Wstąpili więc do domu. Pani Józefowa wystawiła parę butelek jabłecznika, które siostrzeniec jej odkorkował z iście wojskową wprawą. Wszyscy pili i rozmawiali wesoło, nie myśląc zgoła o wypadku, który ich zgromadził. Nikt nie interesował się ranym, gdyż wszyscy w głębi duszy lękali się go i niecierpieli.

Doktor Vilches nie pił jabłecznika. Nudząc się, wyszedł na werandę, wyciągnął rękę i rzekł:

— Już nie pada, panowie, możemy pójść.

Z wielkim trudem udało mu się wyciągnąć zebrane towarzystwo. Czuli się wszyscy doskonale. Gdy mieli wychodzić, stary Pacho de la Riega, który od paru minut stał się poważny i zamyślony, podszedł do don Florencia i po chwili wahania rzekł głosem stłumionym:

— Panie sędzio, mam panu coś powiedzieć.

— Bardzo proszę, Pacho.

— Otóż... otóż... ja wiem, kto poranił Maksa.

— Pisarzu! — zawołał don Florencio — słuchaj i zapisuj, co powie ten człowiek.

Na głos sędziego wszyscy odwrócili głowy i zbliżyli się do sędziego.

— Mów! — rozkazał uroczyście.

Biedny zakrystjan, zmieszany tym tonem i ogólnem zaciekawieniem, począł się jąkać:

— Faktem jest... tak, panie sędzio... faktem jest... że widziałem tego, kto zadał rany Maksowi.

— A więc zeznajcie niezwłocznie, kto to jest — rozkazał sędzia, nadęty jeszcze bardziej niż przedtem, przestając mówić staremu „ty“ dla nadania sprawie większej powagi.

— To syn Jana de Villa, zwany Perico, który pracuje w fabryce.

— Czy się nie mylicie?

— Zdaje mi się, że nie, panie, bo znam go dobrze.

— Tak, to on, to on — wtrącił ojciec Rafał tonem głębokiego przekonania. — To chłopak, co zalecał się do Rogelji przedtem, nim wyszła za Maksa.

— Wszelki duch pana Boga chwali! — zawołali równocześnie proboszcz, gospodyni i jej siostrzeniec brygadjer, którzy znali Perica i lubili go bardzo.

— Martinez! — rozkazał sędzia, zwracając się do brygadjera — zarządzicie niezwłocznie aresztowanie tego młodzieńca.

Brygadjer wzruszył ramionami z gestem przymusowej rezygnacji; wziął karabin i kapelusz trójgraniasty, poczem kazał swemu towarzyszkowi udać się ze sobą; przed wyjściem jednak zwrócił się do sędziego i rzekł:

— Panie sędzio, bardzo mi to przykro, gdyż znam Perica, syna Jana de Villa; to dobry chłopak.

Natomiast Maks jest dzikim zwierzem, i jeśli żyć będzie, da się nam jeszcze we znaki.

— Może być, brygadjerze, ale prawo jest prawem.

## VII.

Doktór Vilches był synem słynnego krawca z Madrytu, posiadającego mieszkanie i pracownię przy ulicy św. Hieronima. Ubierał elegantów i kazał sobie płacić za krój znacznie więcej, niż było warto. Młodzieniec, który ubierał się u Vilchesa, zdobywał przez to samo w swoim kółku dyplom wytworności; jeśli klient był w wieku dojrzałym, zyskiwał opinię bogatego i wykwintnego.

Vilches miał jednego tylko syna, Fernanda, którego umieścił w arystokratycznym kolegium; następnie oddał go na kursy bakałarskie do św. Izydora, a równocześnie sprowadził mu do domu profesora francuskiego i muzyki. Chłopiec był zdolny i rozwinięty, lecz słabowity. W piętnastym roku życia, po okresie szybkiego wzrostu — był wyższy od ojca — począł zapadać na zdrowiu; stracił apetyt i tylko dzięki niezmordowanej pieczołowitości matki przebył szczęśliwie ów kryzys. Matka była zawsze jego aniołem opiekuńczym; jej tylko zawdzięczał, że wyszedł zwycięsko z walk życiowych, ona była mu podporą we wszystkich przeciwnościach. Fernando był chłopcem sentymentalnym, a nawet, rzecz można, romantycznym. Czytywał z zapalem powieści awanturnicze, lubił muzykę i perfumy i durzył się — zresztą bez żadnych następstw — we wszystkich szwaczkach z pracowni ojca. Gdy skończył lat szesnaście, zdał egzamin. Stary Vilches, który dorobił się dużego majątku, pomyślał, że wkrótce już nie będzie mógł pracować i że odtąd jego świetna

klientela, z której był tak dumny, nie omieszka go porzucić.

Aby zażegnać niebezpieczeństwo, postanowił odmłodzić swój zakład przez postawienie Fernanda na czele przedsiębiorstwa. Z początku nauczy go kroju, potem wyśle na rok do Paryża, do jednego z najznakomitszych mistrzów, a wreszcie zrobi go kierownikiem zakładu, który zasłynie szeroko i daleko.

Gdy stary Vilches oznajmił synowi o swoich projektach, ten wpadł w rozpacz. On, co kolegował z synami książąt i markizów, on, co przestawał na poufalej stopie z najwytworniejszą młodzieżą w Madrycie, miłośnik muzyki, niestrudzony wielbiciel poezji i powieści, przywykły do najwymyślniejszych wygod zbytkownego życia, on miałby zostać krawcem! Omal że nie zemdlął. I w tym wypadku również pośpieszyła mu na ratunek matka. Zaopatrywała go hojnie w pieniądze, lubiła go widzieć zbytkownie ubranym, kupowała mu pierścionki, krawaty, szpilki, łańcuszki do zegarka, jedwabną bieliznę; ona własnoręcznie przygotowywała mu kąpiel codzienną, ona wreszcie uczyniła zeń jednego z najwytworniejszych młodzieńców, przechadzających się po ulicy *Recoletos*<sup>1)</sup> lub w ogródkach *Retiro*<sup>2)</sup>. Padły przekleństwa, grubjańskie słowa, było wiele krzyku, potem przez parę dni panowało milczenie i trwał zły humor. Krawiec Vilches nic przez to nie zyskał. Musiał wreszcie skapitulować. Zgodził się, by Fernando pracował w wolnym zawodzie, ale sam go narzucił synowi: postanowił, że będzie lekarzem. Medycyna była, jego zdaniem, zawodem humanitarnym i zarazem zyskownym. Fernando wolał zostać adwokatem lub literatem, ale ojciec nienawidził tych

<sup>1)</sup> *Recoletos*: wytworna ulica spacerowa; ciągnie się aż do Castellana.

<sup>2)</sup> *Retiro*: wielki park w Madrycie.

profesyj. Co! być adwokatem bez spraw, jak syn markiza C\*\*\* lub bankiera T\*\*\*? Profesorem z poborami 3500 pesetów? Nigdy w życiu! Stary krawiec nie widział innego celu w życiu poza robieniem pieniędzy i szanował tylko groszorobów.

Fernando rozpoczął świetnie studja. Nabral zamilowania do nauk przyrodniczych, do fizyki, chemji, fizjologii. Niestety, w trzecim roku nauk zapadł na rozstrój nerwowy. Lekarze wysłali go do Sierra<sup>1)</sup>, gdzie spędził rok. Ojciec jego miał pod Villalba posiadłość: mały domek ze sporym kawałkiem ziemi. Fernando wyzdrowiał i mógł studjować dalej. Nigdy już wszakże nie odzyskał dawnego zdrowia; pozostał nerwowy, kapryśny, smutny, trochę neurasteniczny. Ukończywszy studja, pracował rok jeszcze dla uzyskania doktoratu, wbrew woli ojca, który chciał, aby syn coprędzej zarabkował. Fernando postanowił zostać profesorem i nie chciał zajmować się praktyką lekarską. Poświęcił się ginekologii, dlatego może, iż profesor tego przedmiotu wyróżniał go spośród innych, cenił go bardzo, a nawet darzył serdeczną przyjaźnią.

Wkrótce po uzyskaniu doktoratu stracił matkę, którą uwielbiał: był to dla niego cios straszny; młody doktor zachorował i był zmuszony wyjechać na miesiąc na wieś. Po powrocie do miasta ojciec, zniecierpliwiony, a nawet oburzony bezczynnością syna, wezwał go do siebie i wypalił mu ostre kazanie. Zamknął się z nim w gabinecie i zapytał go chłodno, co ma zamiar robić, kiedy myśli spożytkować swe studja i zacząć pracować na życie. Ferdynand przedstawił mu swoje plany: chce zostać profesorem. Ojciec zapytał, ile czasu potrzeba na osiągnięcie tego celu. Syn odrzekł, iż przygotowanie będzie trwało conaj-

---

<sup>1)</sup> *La Sierra de Guadarrama*: na północ od Madrytu. (Góra w kształcie zębatej piły, po hiszpańsku *sierra*).



mniej dwa lata i że wcale nie jest pewien, czy mu się za pierwszym razem powiedzie. Na to stary Vilches wpadł w gniew. Mówił o pracy profesorskiej z największą pogardą; syn odpowiadał dumnie. Wywiązała się ostra sprzeczka; w rezultacie krawiec, doprowadzony do ostateczności, oświadczył Fernandowi, że może robić, co mu się podoba, lecz że on, Vilches, nie ma zamiaru utrzymywać nadal darmożądów.

Zarzut taki dotknął boleśnie młodego doktora. Rozpoczął tegoż dnia starania o posadę bez względu na miejsce i warunki. Dowiedział się od znajomego, że potrzeba lekarza w Felguera, w fabryce i kopalni. Przesłał tam swoje świadectwa i dyplomy, i odwrotną pocztą dostał nominację.

Minęło blisko dwa lata, odkąd osiedlił się w Langreo. Zrazu nudził się bardzo; następnie przywykł do samotności i monotonii mieszczańskiego życia. Praca dostarczała mu rozrywki; ruch i powietrze wiejskie wzmocniły jego organizm; przybyło mu parę kilo na wadze, nabrał zdrowszej cery. Jakkolwiek przebywał wśród górników i wieśniaków, nie stracił zamięłowania do wytworności i dbał o siebie. Ojciec, żałując swego uniesienia, ofiarowywał mu niejednokrotnie pieniądze, lecz Fernando stale odmawiał; przyjmował natomiast ubranie, bieliznę, kapelusze, krawaty i t. p. Wszystko to było w najprzedniejszym gatunku i stanowiło wyraz najświeższej mody. Mieszczanie Samy i Felguera podziwiali ten zbytek; mężczyźni wzruszali ramionami, śmiejąc się, ale kobiety były zachwycone. Gdy zaś doszło do nich, że lekarz zmienia codziennie koszulę i że pośyla bieliznę do prasowania do Oviedo, wśród młodych niewiast nastąpiła istna rewolucja.

Wszystkie pragnęły go przyciągnąć. Młodość Fernanda, wytworność, dystynkcja, głównie zaś może pogłoski o jego bogactwie sprawiły, że w pierwszym

roku pobytu w dolinie Langreo był celem mnóstwa strzał, w jakie Kupidyn zaopatrzył kołczan miejscowych piękności. Jednakże chłód, powściągliwość, a nawet pogarda, z jaką młody doktor przyjmował śmiało miotane pociski, zraziła je wkońcu. Toteż kobiety, nie dając całkowicie za wygrane, poczęły jednak uważać go za wielki los na loterji, który wyciągnąć można tylko przez jakieś nadzwyczajne zrządzenie przypadku. „Zarozumialec“ — mawiały jedne; „dziwak“ — sądziły inne.

Owszem, podobały mu się dawniej. Ale doktor Vilches kochał raz tylko. Przed poznaniem wybranej swego serca miał wiele przygód, o których opowiadały sobie panie madryckie: chwile rozkoszy, ale nie miłości. Pewnego wieczoru, na zebraniu u znajomych, gdzie bywał częstym gościem, poznał słynną pianistkę Julję Pastor. Była to panna jasnowłosa, niesłychanie szczupła, eteryczna, o błękitnych oczach, otoczonych ciemnoniljowym cieniem, o przezroczystej cerze i śnieżnobiałych rękach. Owa interesująca osóbka, daleka krewna pani domu, zgodziła się dać koncert tylko dla bliskich znajomych. Objechała już pół Hiszpanji, grając na koncertach i zarabiając tym sposobem na utrzymanie swoje, matki i dwóch sióstr. Vilches, który namiętnie kochał muzykę i był stałym bywalcem Teatru Królewskiego, słuchał artystki z prawdziwym zachwytem. Po koncercie złożył jej gorące gratulacje. Julja Pastor była wspaniałą wirtuozką, jakkolwiek krytycy zarzucali jej grze brak uczucia i subtelności. Jedyną rzeczą prawdziwie subtelną była jej uroda. Zdawać się mogło, że wąta jej postać złamie się na pierwszym koncercie. Wysiłek fizyczny, jakiego wymagała gra fortepianowa, zraszał potem jej twarzyczkę i zmieniał ją tak rażąco, że wyglądała jak nieżywa. Zawsze prawie po koncercie zmuszona była leżeć przez cały dzień w łóżku, aby odzyskać równowagę

nerwową. Owego wieczoru, przechodząc do jadalni wraz z innymi gośćmi na kieliszek Xeresu, zasłabła i zemdląła. Przeniesiono ją do pokoju kuzynki i złożono na łóżku. Vilches był jedynym lekarzem wśród obecnych, on też udzielił jej pierwszej pomocy, rozluźnił suknię, trzeźwił zemdloną eterem, zastosował masaż serca. Julja odzyskała szybko przytomność, żartowała dowcipnie ze swej skłonności do omdleń i kilkakrotnie dziękowała doktorowi za samarytański uczynek.

Fernando pod silnem wrażeniem interesującej urody i dowcipu pianistki uznał za obowiązek odwiedzić ją nazajutrz i zapytać o jej zdrowie. Julja Pastor mieszkała skromnie w paru pokoikach na trzeciem piętrze przy ulicy del Pez. Koncerty, które dawała na prowincji, nie zapewniały rodzinie większego dostatku. Przyjęła doktora z wyszukaną uprzejmością. Spędził u niej przemiłą godzinę na rozmowie o wielu rzeczach, przedewszystkiem jednak o muzyce. Zaproszono go, aby ponowił odwiedziny, a Julja przyrzekła mu zagrać precudny koncert Webera, którego doktor jeszcze nie znał. Niebawem uważano go w domu Julji za dobrego znajomego; wkrótce też związał się pomiędzy młodymi stosunek gorętszej natury. Jak się łatwo domyślić, młoda pianistka dowiedziała się od krewnych, że Vilches, jedyny syn słynnego krawca, miał odziedziczyć znaczny majątek. Toteż schlebiano mu, psuto go do tego stopnia, że młody lekarz wpadł w pułapkę jak szczur La Fontaine'a. Taki gorący i namiętny stosunek trwał kilka miesięcy. Od samego początku mówiono o małżeństwie; ale sprawa nie była tak prosta, jak się zrazu wydawało. Vilches nic jeszcze nie zarabiał, a był przekonany, że ojciec nie będzie mu dawał na utrzymanie rodziny. Narzeczeni umówili się tedy, że Fernando będzie się habilitował, a kiedy otrzyma katedrę, przeniesie się na prowincję.

cję, do miasta uniwersyteckiego, dokąd zostanie mianowany. O ileby pobory profesorskie okazały się niewystarczające, Julja miała pomagać dawaniem lekcyj i koncertów.

Tak stały rzeczy w tym czasie, kiedy między ojcem a synem wybuchła sprzeczka, która zmusiła Fernanda do przyjęcia pierwszej nadarzającej się posady. Gdy otrzymał pracę w Felguera, zaproponował Julji wyjazd do Asturji. Pianistka nie odmówiła, poprosiła tylko o zwłokę. Doktor musi naprzód sam się zainstalować, zbadać klimat, warunki i środki, jakimi będą rozporządzali, aby utrzymać nie tylko siebie, lecz również matkę Julji i siostry, których nie mogła opuścić.

W pierwszym miesiącu pisywali do siebie codziennie długie, tęskne listy. W drugim — listy ich były krótkie i rzadsze. W trzecim — Julja nic nie napisała, a Vilches dowiedział się przez znajomego, że widywano ją często w towarzystwie Rodella, znanego barytona operetkowego: nikt nie wątpił, że łączyły ich bardzo zażyłe stosunki.

Był to ciężki cios dla młodzieńca. Fernando był zakochany, a nadto posiadał przesadną, nieco chorobliwą wrażliwość. Wkońcu jednak refleksja wzięła górę, praca go rozerwała, ruch — wzmocnił nerwowo. Filozof pocieszył się myślą, że nie można zaufać istocie kapryśnej, lekkomyślnej, niestałej w uczuciach, nie szanującej danego słowa... Lepiej, że zerwanie nastąpiło teraz, niż później. Fizjolog pocieszył się jeszcze skuteczniej: zarówno Julja jak ja jesteśmy chorzy nerwowo, dzieci więc nasze byłyby nieszczęśliwe.

Oto dlaczego młody doktor stał się sceptykiem, a nawet unikał kobiet. Dodajmy zresztą, że w Langreo płeć piękna nie była dość ponętna, aby wpłynąć na zmianę jego usposobienia.

Nazajutrz po wypadku z Maksem Vilches pod wpływem współczucia postanowił udać się do Lady, aby odwiedzić rannego. Nocna wędrowka z żoną górnika pod osłoną peleryny pozostawiła mu przyjemne wspomnienie. Ujrawszy na progu domu Rogelję, uśmiechnął się i wyciągnął do niej rękę. Ona, zmieszana trochę, oddała ukłon, nie śmiejąc spojrzeć mu w oczy.

— Jak się miewa ranny? Czy bardzo narzekał w nocy?

Maks spędził noc niespokojnie, postępując ścicha. Doktor podszedł do łóżka, położył mu dłoń na czole, zbadał tętno i oświadczył z zadowoleniem, że gorączka jest niewielka. Nie zmieniał tego dnia opatrunku, poprzestał na zapisaniu lekarstwa i zaleceniu najściślejszej diety. Rogelja odprowadziła go do drzwi, a on udzielił jej potrzebnych wskazówek, jak pielęgnować chorego. Na pożegnanie Vilches znowu uściśnął jej rękę. Wiedział dobrze, iż na wsi nie ma tego zwyczaju, zwłaszcza pomiędzy osobami różnych warstw społecznych, pociągała go jednak uroda i skromność młodej kobiety, którą uważał za dziecko.

W Felguera, w sklepie Daniela, zastał starego Jana de Villa, ojca Perica, oraz starszego brata tegoż, Ezechjela. Obaj na jego widok powstali i zdjęli czapki. Starzec prosił z wielkim szacunkiem, by doktor wysłuchał paru słów.

— Bardzo proszę.

Ojciec Jan wyjaśnił, że syn jego przyznał się do winy odrazu i siedzi już w więzieniu w Lavianie. On sam zaś pragnie się dowiedzieć, czy rany, zadane Maksowi, są groźne, od tej bowiem okoliczności zależy, czy Perico zostanie zesłany do galer, czy też skazany tylko na parę miesięcy więzienia.

— Nie mogę jeszcze powiedzieć nic pewnego — odparł doktor — o ile jednak nie zajdą żadne po-

wikłania, sędzę, że ranny niebawem powróci do zdrowia. Rany nie są głębokie.

— Nie są głębokie, nie — mruknął ze złością Ezechjel — bo mój brat jest niedołęga... Gdyby to na mnie przypadło — do wszystkich djabłów! Wypuściłbym flaki z tej świni!

Vilches spojrzał na niego z ciekawością.

— Widzicie, moi drodzy, lepiej, że tak się stało. Gdyby wasz brat zabił Maksa, zostałby skazany na śmierć albo na dożywotnie ciężkie roboty. Niewesołeby to było dla waszych starych rodziców.

— Ma pan zupełną słuszość, don Fernando — rzekł drżącym głosem ojciec, któremu łzy spływały po twarzy. — Najświętsza Panna z Karmelu czuwała jak zawsze nad jego nieszczęśliwą matką, która umarłaby ze zgryzoty. Więc sądzi pan, że za miesiąc wyzdrowieje? Rozumie pan, jak to wiele dla nas znaczy.

— Tak, tak, rozumiem doskonale. Przypuszczam nawet, że za dwa tygodnie będzie zdrów, a za trzy — powróci do pracy.

— Napewno! — zawołała sklepikarka Marcjale, która przysłuchiwała się rozmowie. — Ten złodziej ma twarde życie jak pies.

— Jak wściekły pies! — ryknął brat Perica.

— Masz rację, mój kochany — potwierdziła Marcjale. — Nie rozumiem, czemu *alguazil*<sup>1)</sup> Fidel nie nałożył mu jeszcze kagańca.

— Dziękuję panu pięknie — rzekł ojciec, zdejmując znowu czapkę. — Niech panu Bóg wynagrodzi za dobro, które pan świadczy mnie i biednej matce; ona umarłaby... tak umarłaby z pewnością...

I oczy starca znowu napęłniły się łzami.

— Nie macie mi za co dziękować — odpowiedział żywo doktor. — Gdyby rany nie chciały się za-

<sup>1)</sup> Policjant.



goić w ciągu miesiąca, pomimo najszczerzej chęci nie mógłbym choremu wypisać świadectwa wyzdrowienia.

— W każdym razie dziękuję panu bardzo, don Fernando; niech panu Bóg da zdrowie i szczęście.

Ojciec i syn wyszli ze sklepu. W izbie, jak zawsze prawie, było kilka osób: trzech mężczyzn siedzący na ławie i kilka wieśniaczek, które przy ladzie sklepowej rozmawiały z Marcją. Doktor miał już wejść nagórę do swego mieszkania, lecz otyła Marcja zatrzymała go, mówiąc, co zresztą powtarzała od wczoraj:

— Szkoda pańskiego trudu na leczenie tego łotra! Gdy sobie przypomnę, że o mało co nie zamordował biednego Rajmunda, podmajstrzego, porządnego człowieka, ojca pięciorga drobnych dzieci!

— Gdybym ja był lekarzem — zawołał jeden z mężczyzn, siedzących na ławie — i gdyby mi wypadło leczyć podobnego nieponia, to słowo daję, zadałbym mu trucizny, aby zdechł jaknajprędzej.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, pochwalając ten dowcip. Doktor, który zmierzał do drzwi, zawrócił:

— My lekarze, widzicie, nie zwracamy uwagi na to, czy kto jest dobry, czy zły. Gdy się zbliżamy do chorego, mamy obowiązek go uzdrowić. Jestem pewien, że na mojem miejscu każdy z was postąpiłby taksamo.

— Don Fernando ma słuszość — przyznał jeden z obecnych. — Spowiadać nas ma ksiądz, a nie lekarz.

Tegoż wieczora przyprowadzono doktorowi konia z Oviedo. Nazajutrz rano Vilches udał się konno do Lady. Przed domem Maksa zeskoczył z siodła i uwiązał wierzchowca do kraty okiennej. Rogelja, słysząc hałas, wyszła i zarumieniona powitała go z uśmiechem.

— Dziękuję, don Fernando, że pan przyszedł tak wcześnie. Spodziewałam się pana dopiero po południu.

Vilches wpatrywał się w nią z podziwem. Śliczna była ta żona górnika! Miała na ramionach chustkę związaną styłu w pasie; chustka rozchylała się na szyi i na piersiach; spod zawiniętych rękawów koszuli widniały prześliczne ręce; twarzyczka, lekko opalona od wiatru i słońca, miała świeżość i wdzięk rozwijającego się kwiatu; ciemne pukle włosów opadały na czoło, jakgdyby modelowane z greckiego posągu; ogromne oczy promieniały uśmiechem, napół rozwarte usta ukazywały dwa szeregi białych i drobnych zębów; ze szlachetnej i dumnej postawy biła krzepkość młodego ciała. Naprawdę śliczna była ta żona górnika!

Lekarz zdjął opatrunek i obejrzał rany, które zasklepiały się normalnie.

Maks, jak zawsze, milczał; podczas całej wizyty miał brwi ściągnięte, odpowiadał ociągając się i niechętnie na uprzejme pytania doktora. Rogelja towarzyszyła wychodzącemu Vilchesowi aż na ulicę. Zatrzymali się i rozmawiali chwilę pocichu; Rogelja zapytywała o stan chorego, o wskazówki co do diety i lekarstw. Trwało to naprawdę nieco dłużej, niż było koniecznie potrzeba; doktor nie spieszył się; miło mu było patrzeć w oczy, promieniejące uśmiechem i słodyczą... Ona też się nie śpieszyła; powtarzała pytania, tak jakgdyby nie rozumiała odpowiedzi, lub lękała się zapomnieć zaleceń doktora. Wreszcie trzeba się już było rozstać; Rogelja przytrzymała mu strzemień, gdy siadał na konia; on uścisnął jej rękę z wdzięcznością i przyrzekł nazajutrz odwiedzić pacjenta.

— Jakże mi żal tego stworzenia! — myślał w drodze powrotnej. — Taka ujmująca!

Vilches powrócił nazajutrz, jakkolwiek gorliwość taka nie była bezwzględnie konieczna. Uczynił to samo na trzeci dzień, a potem dni następnych.

Owe chwile rozmowy przed pożegnaniem były rozkoszne. Rogelja wszakże obawiała się, by Maks nie osądził, iż trwa to zbyt długo; dlatego postanowiła odprowadzać go aż do końca wsi. On, bardzo z tego zadowolony, prowadził konia za uzdę, i szli razem tak wolno, jak tylko było można. Mówili o rannym: nie mieli innego tematu do rozmowy; toteż mówili o nim bez końca, gubili się w szczegółach i pytaniach, rozumiejąc doskonale, iż jest to pozór tylko. W rzeczywistości bowiem temat ich nie interesował.

Zdrowie Maksa poprawiało się szybko. Górnik jadł już ze smakiem i spędzał większą część dnia, siedząc na łóżku. Wreszcie doktor pozwolił mu wstać i oświadczył, że więcej nie przyjdzie. Oczy Rogelji zaszyły mgłą smutku, gdy Vilches z uśmiechem oznajmił im tę wiadomość. Wyszła z nim jak zawsze, a choć kroczyli wolniej niż kiedykolwiek, mówili niewiele. Doszli wkońcu do miejsca rozstania. Rogelja stanęła i rzekła:

— Tak więc uważa pan, don Fernando, że jutro mąż będzie mógł wstać?

— Tak, tak, niech wstanie na parę godzin i niech wcześniej położy się spać.

Nastąpiło długotrwałe milczenie.

— I będzie mógł wyjść z domu?

— Nie zaraz jeszcze.

Znów milczenie.

— A co mu wolno jeść?

— Już ci powiedziałem: mleko, zupę i jaja na miękko.

Stali, nic nie mówiąc. Wreszcie doktor zdecydował się wsiąść na konia. Rogelja, jak zawsze, przytrzymała mu strzemień, a on uściśnął jej rękę, za-  
trzymując ją w dłoni dłużej niż zazwyczaj.

— Dowidzenia, Rogeljo — rzekł poważnie.

— Dowidzenia, da Bóg, don Fernando — odparła uśmiechając się smutno.

Doktór trącił konia ostrogą i oddalił się szybko. Ona stała bez ruchu, goniąc za nim wzrokiem. Gdy był już daleko, odwrócił głowę; dostrzegłszy ją, skinął jej ręką na pożegnanie.

Od tej pory upłynął spory okres czasu. Vilches dowiedział się, że Maks pracuje znowu w kopalni. Wspomnienie Rogelji błąkało się w jego umyśle, lecz powoli zatarło się jak piękny sen. Przestał o niej myśleć.

Pewnego rana, już blisko południa, wezwano go do górnika, który zranił się ciężko. Ranny mieszkał po drugiej stronie rzeki na folwarczku przy drodze do Lady. Droga była niedaleka, zwłaszcza przez pola, pogoda piękna, toteż młody lekarz postanowił udać się do pacjenta pieszo. Ruch na świeżem powietrzu doskonale mu służył; czuł się z każdym dniem zdrowszy i silniejszy. Przeszedł przez most i podążał brzegiem rzeki malowniczymi ścieżkami w cieniu leszczyny. Był w dobrym nastroju. Nagle ujrzał przed sobą Rogelję.

— Rogeljo! — zawołał uradowany, wyciągając do niej ręce. — Jakże pragnąłem cię zobaczyć!

Kobieta podała mu dłoń.

— I ja także, don Fernando.

Powiedziawszy to, zaczerwieniła się jak wiśnia. Szli bez ruchu, trzymając się za ręce; z oczu tryskała im radość.

— Dokąd idziesz? — zapytał wreszcie doktor.

— Do Felguera, po chleb.

— Nie wiem, czemu miałem dziś przecucie, że czeka mnie miłe spotkanie — rzekł, nie wypuszczając jej dłoni.

Rogelja, nie okazując, że rozumie zawarty w słowach lekarza komplement, lecz zarumieniona po

białka oczu, wyjaśniła mu z udaną obojętnością, iż chodzi codziennie do piekarza w Felguera po świeży chleb, Maks bowiem nie lubi chleba, wypiekanego dwa razy tygodniowo w Ladzie.

— Myślałem, że o tej porze zanosisz mu obiad do kopalni.

— Robiłam to pierwaj, ale ponieważ teraz wraca wcześniej do domu, więc woli jeść obiad gorący. O trzeciej jest już z powrotem.

— I nie wychodzi już z domu?

Rogelja roześmiała się głośno.

— Rzeczywiście! Zaledwie przełknie ostatni kęs, biegnie do karczmy.

— Ma zły gust, moja kochana. Przekładać cierpkie wino Fructuosa nad tę rajską wizję!

Rogelja wyrwała mu dłonie.

— Dowidzenia, don Fernando!

— Dowidzenia, Rogeljo. Chciałbym jeść ten chleb, który kupujesz, choćbym nawet miał pracować w kopalni.

— O, praca w kopalni jest ciężka!

— Ale nagroda ponętna.

— Dowidzenia, don Fernando!

— Dowidzenia, Rogeljo.

Oddalili się od siebie, lecz zwróceniu ku sobie powtórzyli kilkakrotnie pożegnanie. Nie drgał już w niem ton smutny, jak niegdyś. Teraz mieli oboje pewność, że zobaczą się niebawem.

## VIII.

Jak łatwo przewidzieć, spotkali się nazajutrz w tem samym miejscu. Doktor szedł do pacjenta, młoda kobieta — do Felguera po chleb. Kto na kogo czekał? Niewiadomo.

Uścisnęli sobie ręce, z radosnem uniesieniem patrząc sobie w oczy.

— Co za traf, Rogeljo! Co za traf szczęśliwy! Rogelja wybuchnęła śmiechem.

— Doskonały pan jest, don Fernando!

— Serce mówiło mi, że cię spotkam.

— Bardzo mądre serce!

Oboje śmieli się z żartu. Kobieta wysunęła ręce z dłoni doktora i miała zamiar iść w swoją drogę.

— Słuchaj, Rogeljo! A gdybyśmy tak usiedli na chwilkę pod tem drzewem nad rzeką? Tylko krótką chwileczkę! Jestem zmęczony, a ty pewno również.

— Nie, ja nie — odrzekła ze złośliwym uśmiechem.

— A ja jestem znużony i sędzę, że parę minut odpoczynku bardzoby mi się przydało.

— Dobrze, ale niedługo, bo się śpieszę.

Zeszli ze ścieżki i usiedli o kilka kroków dalej w cieniu nadbrzeżnej gęstej leszczyny.

Pora była cudna, majowa, choć niezawsze maj tę okolicę darzy ciepłem. Słońce zalewało ziemię, której uroku nie zatarły ani stosy kurzu, ani wieże ko-palni ani koryta płóczki. Kukurydza, zieleniejąca na uprawnych polach, i równe trawniki łąk połyskiwały w słońcu jak świetlisty aksamit. Na wzgórzach gaje kasztanowe rozpościerały gęste gałęzie, a ich młode liście z brunatnym odcieniem mieniły się metalicznie.

Leszczyna, pod którą zasiedli, przepuszczała za-ledwie drobne promyki słońca, w którym wirowały pyłki złociste. Jakiś ptaszek o żółtem gardziołku przeskakiwał, świergocąc, z gałęzi na gałąź.

Przez chwilę panowało między nimi milczenie. Nie wiedzieli, od czego zacząć.



— Czy panu, don Fernando, nie nudno wśród tych brzydkich wiosek? — zagadnęła wreszcie Rogelja.

— W tej chwili nie nudzę się wcale.

Rogelja nie chciała zrozumieć ukrytej w słowach doktora intencji.

— Dlatego, że pan jest zmęczony i miło panu spocząć — odparła.

— A nadewszystko dlatego, że mam przed oczyma śliczny widok, który mnie bawi i cieszy.

— Dolina jest piękna, jak mówią cudzoziemcy; ale kopalnie wszystko popsuły. Czy widzi pan, jak czarna jest rzeka?

— Nie patrzę ani na rzekę, ani na dolinę. W tej chwili widzę tylko ciebie.

— To nie widzi pan nic ciekawego. Co znaczy uboga wieśniaczka po tylu pięknych paniach, które pan musiał widywać w Madrycie. Ile pan miał narzeczonych, don Fernando?

— Tylko jedną.

— Była napewno piękna.

— Owszem... I ty także jesteś piękna... Ale zupełnie odmienna.

Vilches uśmiechnął się, porównywając w myśli obie kobiety: Julję Pastor, wątłą trzcinę, chwiejącą się za łada podmuchem, i tę wspaniałą amazonkę, któraby jednym uderzeniem ręki przewróciła mężczyznę.

Rogelja włożyła nowe odświeżone trzewiki i naszyjnik ze szklanych paciorków; głowę miała, jak zawsze, odkrytą, lecz uczesaną starannie. Ręce, których praca nie zdążyła jeszcze zniekształcić, były czyściutkie, paznokcie równo obcięte. Doktor stwierdził te szczegóły z przyjemnością.

Zaczęli mówić o Madrycie. Rogelja zasypywała Fernanda pytaniami: chciała wiedzieć, jak wygląda wielkie miasto, widowiska, przechadzki, walki by-

ków, sklepy. Vilches odpowiadał uprzejmie, opisując z pewną przesadą rozkosze stolicy.

— A przytem deszcz nie pada tam prawie nigdy. Przez całą zimę słońce świeci tak jasno, jak w tej chwili.

Wreszcie Rogelja zapytała:

— Czemu pan przyjechał tutaj, gdzie tak wilgotno i smutno? Mówią ludzie, że pan jest bardzo bogaty.

— Nie wiem o tem. Mój ojciec jest bogaty... W każdym razie — dodał dumnie — to mnie nic nie obchodzi, bo zawsze zarobię dosyć na swoje utrzymanie.

Zamilkł nagle, zasmucony. Rogelja żałowała, iż dotknęła tego tematu, i milczała także. Wreszcie Vilches, ogarnięty chęcią zwierzeń, przerwał milczenie:

— Gdyby to ode mnie zależało, nie byłbym nigdy wyjechał z Madrytu. Tam się urodziłem, tam wychowałem, tam mieszkają wszyscy moi przyjaciele. Ze stolicą łączą mnie wspomnienia; gdyby matka żyła, nie byłbym napewno nigdy Madrytu opuścił.

Głos drżał mu zlekka, gdy wymawiał te słowa. Urwał nagle. Wreszcie, patrząc w błękit nad głową Rogelji, rzekł głucho:

— Ona byłaby mnie obroniła; tak, ona — byłaby mnie obroniła.

Łzy stanęły mu w oczach.

Rogelja, wzruszona również, patrzyła na niego z serdecznem współczuciem. Zdobyła się na odwagę, by zapytać:

— Czy pan poróżnił się z ojcem?

— Ojciec mój jest bardzo dobry — stwierdził skwapliwie, bojąc się, by młoda kobieta źle jego słów nie zrozumiała. — Sam pracuje niezmordowanie; zaczął od niczego, a dziś zdobył majątek; zdołał zape-

wnić nam dostatek i dać mi wykształcenie... Ale zatopiony w pracy nie może zrozumieć prawdziwych a niekiedy urojonych potrzeb młodzieży. Ja chciałem być profesorem. Ojcu wydawało się, iż cel to daleki, a rezultat niepewny... Być może, miał słuszość. Tutaj, gdzie z początku nudziłem się bardzo, polubiłem pracę i zyskałem zdrowie: nie byłbym nigdy osiągnął tego w Madrycie.

— Tak, jest pan o wiele zdrowszy. Gdy pan przyjechał do Langreo, słyszałam, jak gospodyni proboszcza mówiła, że pan jest suchotnikiem.

— Naprawdę, niewiele do tego brakowało... Wiesz więc, że to, na co najmniej mamy chęci, jest nieraz dla nas najzdrowsze; tak dzieje się z lekarstwami, które my, doktorzy, zapisujemy... A ty? — dodał wesoło z serdeczną poufalością. — Opowiedz mi coś o swoim życiu.

— O, w moim życiu, don Fernando, było mniej kwiatów niż w pańskim. Byłam maleńka, gdy już cierpieć zaczęłam. Zaledwie nauczyłam się chodzić, już posyłano mnie po chróst do lasu; nosiłam jeść świni, myłam naczynia. Ojciec bił matkę, a matka — mnie. Nic też dziwnego, że serce mam twarde jak kamień.

— Tego nie przypuszczam — rzekł z żartobliwym uśmiechem, patrząc na to miejsce, gdzie w piersi młodej kobiety biło serce.

Rogelja pokraśniała i nagłym ruchem podciągnęła chustkę, osłaniając się aż po szyję.

— Tak jest, don Fernando. Jak można być dobrą, gdy się jest bitą i słyszy się tylko przekleństwa?

— No, ty jesteś napewno dobra. Czy nie byłaś nigdy zakochana?

Rogelja zawahała się chwilę; wreszcie rzekła z lekkim drżeniem w głosie:

— Zdaje mi się, że nie.

— Jakto, nie? A ten chłopiec, co teraz odsiaduje więzienie, czy nie był twoim konkurentem?

— No tak; starał się o mnie.

— A ty? kochałaś go?

Rogelja uśmiechnęła się, wzruszyła ramionami i milczała przez chwilę, spuściwszy oczy.

— Perico jest dobrym chłopcem... każdy to przyzna, ale wie pan, to safandula...

Vilches nie mógł powstrzymać uśmiechu. Przypomniawszy sobie, że niedawno brat Perica nazwał go taksamo.

— Masz słuszność; kobiety nie lubią safandulów.

Zapanowało między nimi dłuższe milczenie. Doktor przyglądał się Rogelji z żywym zaciekawieniem. Pragnął gorąco zadać jej pewne pytanie, lecz nie śmiał. Kilkakrotnie unosił głowę i otwierał już usta, lecz za każdym razem pytanie pozostawało niewypowiedziane. Ona patrzyła przed siebie, pogrążona w jakimś śnie na jawie; może rozmyślała nad czymś, może coś wspominała, przechodząc w wyobraźni smutne koleje swego nędznego życia.

Vilches zdecydował się.

— Powiedz mi, Rogeljo, czy wychodząc za mąż, byłaś zakochana w Maksie?

Głęboka brózda zarysowała się na czole młodej kobiety; czarne jej oczy pociemniały jeszcze bardziej. Podniosła rękę i rzekła zmienionym głosem:

— Nie mówmy o tem, don Fernando. Co się stało, już się nie odstanie.

I powstawszy szybko, jakgdyby wyrzucona mocną stalową sprężyną, dodała łagodniej:

— Uciekam. Rozmawialiśmy dłużej, niż mieliśmy zamiar.

Istotnie krótka chwilka zamieniła się na półgodziny.

Vilches ujął ją za rękę i przytrzymał w dłoniach.  
— Dowidzenia, Rogeljo, do jutra, nieprawdaż?  
Zawahała się, wreszcie odrzekła:

— Dobrze, do jutra.

Nazajutrz spotkali się znowu i, zasiadłszy na dawnym miejscu, przegawędzili półgodziny. Gdyby ich potem ktoś spytał, o czym mówili, nie potrafili-by odpowiedzieć; wiedzieli tylko, że rozmowa była przyjemna.

Miłe pogawędki powtarzały się przez kilka dni następnych. Vilches przekonał się, że młoda kobieta jest nietylko piękna, lecz również bardzo inteligentna. Jej charakter prosty i stanowczy pociągał go niesłychanie przez to może, że był przeciwnieństwem jego własnego charakteru, słabego i niezdecydowanego. Ona zaś przeżywała te dni w rozkosznym uniesieniu, jakgdyby znalazła się nagle w wyższym, niebiańskim świecie. Obcowanie z tym człowiekiem dobrym, subtelnym, pełnym uszanowania, zbudziło w jej sercu tkliwość, nigdy jeszcze nie odczuwaną. On był zachwycony siłą i zdrowiem oraz urodą Rogelji; ona — słodyczą jego, wytwornem obejściem i serdecznemi słowami. Nie mówili o miłości, lecz każda rozmowa miłością tchnęła. Czego nie śmiały wypowiedzieć usta, otwarcie wyrażały oczy. Świeżość wiosennych poranków, promienne słońce, upajająca woń siana, śpiew ptaków, szum rzeki, wszystko to przemawiało słodko do biednego, samotnego serca młodej kobiety, wszystko szeptało, że dobrze jest kochać i być kochaną.

Koło miejsca, gdzie siadywali, niewiele przechodziło osób; niemniej jednak czasem mijali ich przechodnie. Spoglądali ciekawie i z niejakim zdziwieniem na zakochaną parę. Oni, pogrążeni w słodkiej rozmowie, nie dostrzegali wcale owej ciekawości, która mogła stać się dla nich zgubną.

Pewnego dnia przechodziła tamtędy dziewczyna, dobra znajoma Rogelji. Zatrzymawszy się przed nią, rzekła wzywająco:

— Jak się masz, Rogeljo!

Rogelja podniosła głowę zdziwiona.

— Dzieńdobry, Nemezjo.

Wbrew przewidywaniom, a nawet może chęciom przyjaciółki, Rogelja nie zmieszała się wcale.

— Dobrze tu, prawda? Widok jest bardzo ładny.

— Owszem, niebrzydki — odparła zapytana, zbywając ją.

Narazie zmieszała się nie Rogelja, lecz jej przyjaciółka, na którą oboje z Vilchesem spoglądali niechętnie.

— Szłam właśnie tędy do Róży del Meson zapytać, czy nie może mi pomóc dziś popołudniu przy pieczeniu chleba. Matka bowiem ciągle nieomaga.

Płatała się w wyjaśnieniach, a Rogelja nie przerywała jej wcale. Następnie zaczęła opowiadać o uroczystości, którą przygotowywano w Ciano na przyjęcie bogatego Amerykanina<sup>1)</sup>. Nemezja była również zaproszona. Indjanin zamówił muzykę z Samy. Doktor i Rogelja milczeli uporczywie, sądząc, że skończy i odejdzie.

Ale ona nie odchodziła. Stała przed nimi, jak wrosła w ziemię, ogłuszała ich potokiem słów, śmiejąc się z własnej beztreściwej i nieskładnej paplaniny.

— No, już idę — rzekła wreszcie.

Ale nie odchodziła wcale. Wraciała do swego opowiadania, powtarzając to samo od początku. Myślała może, iż Rogelja wstanie i będzie jej towarzyszyć. Rogelja jednak ani myślała o tem, a gdy wresz-

---

<sup>1)</sup> Mieszkanców, którzy emigrują do Ameryki dla zdobycia majątku, po powrocie w rodzinne strony nazywają Amerykanami lub Indjanami.



cie Nemezja pożegnała się i odeszła nieco, wykrzywiła się za jej plecami ze złością.

— A to natrętna dziewczyna! — rzekł doktor.

— Sprytna sztuka. Oczywiście dziś zaraz wszyscy w Samie dowiedzą się, że byliśmy tutaj i rozmawialiśmy ze sobą.

— Bardzo mi przykro.

— Niech pan się nie martwi, bo mnie to zupełnie obojętne — oświadczyła z gestem wyniosłej pogardy.

Był właśnie poniedziałek, dzień targowy w Samie. Rogelja miała tam pójść po zakupy i przekonała się, że przypuszczenie jej było całkiem słuszne. Przechodząc przez plac koło gromadki dziewcząt, pochwyciła spojrzenia i uśmiechy złośliwe. Gdy je minęła, jedna z dziewcząt zanuciła słynną i bardzo starą piosenkę, śpiewaną w dolinie Langreo:

Nie, panie doktorze,  
 Nic pan nie pomoże,  
 Nie tu czuję ból...  
 Boli mnie ta rana,  
 Co w sercu zadana!

Rogelja nie mogła powstrzymać uśmiechu, gdyż zrozumiała przyczynę; odeszła jednak, nie odczuwając żadnej z tego powodu przykrości.

Nazajutrz, spotkawszy doktora w zwykłym miejscu, rzekła bez powitania:

— Don Fernando, biedna staruszka, mieszkająca w *horreo*<sup>1)</sup> blisko nas, upadła i rozbiła sobie głowę... Gdyby pan zechciał ją odwiedzić...

Doktor zgodził się odrazu. Poszli więc w kierunku Lady i niebawem dotarli do nędznego *horreo*, które stara Ruperta obrała za mieszkanie. Wcho-

---

<sup>1)</sup> W Asturji *'horreo* — to szopa drewniana, wsparta na słupach, służąca do przechowywania nasion i owoców dla zabezpieczenia ich od szcurek i wilgoci.

dziło się tam po schodach kamiennych o nierównych stopniach, a następnie trzeba było wspiąć się na platformę z desek, otaczającą *horreo*. Vilches nie bez wysiłku dokonał tej sztuki. Rogelja musiała mu pomóc.

— I ta kobieta zmuszona jest codziennie wchodzić i schodzić w ten sposób?

— Tak, panie doktorze.

— Ile ma lat?

— Blisko osiemdziesiąt.

— Ja, licząc zaledwie dwadzieścia sześć, spadłbym stąd już osiemdziesiąt razy! — zawołał Vilches ze śmiechem.

Staruszka miała głęboką ranę w głowie. Doktor opatrzył ją starannie i jak umiał najlepiej. Rogelja musiała pójść do domu i przynieść bandaż i wodę karbolową.

Nazajutrz przyszli znowu razem odwiedzić starowinę. Czuła się znacznie lepiej. Pozdrowiwszy przybyłych, popatrzyła na nich z filuternym błyskiem w oczach:

— Jakże śliczną stanowicie parę, moi kochani! Ty jesteś ładna, Rogeljo, ale doktor jest jeszcze ładniejszy. Takiegoby ci męża było trzeba, zamiast włochatej małpy, którą sobie wybrałaś.

Rogelja zmieszała się bardzo i odpowiedziała niechętnie:

— No, no, matko Ruperto, tylko bez żartów!... Nie wtrącajcie się do nieswoich rzeczy.

— Wiem o tem, tylko mi cię żal; jestem pewna, że podobasz się temu panu, i że on ci się też podoba.

Rogelja zmieszała się jeszcze bardziej i zamilkła. Natomiast Vilches śmiał się serdecznie i uważał, że żart jest wcale miły.

W Ladzie zauważono również tę nagłą zażyłość doktora i Rogelji. Doszły też plotki z Samy. Pani Józefowa powtórzyła je proboszczowi.

Pewnego ranka Rogelja siedziała przed domem na ławie kamiennej i szyła fartuch. Słońce przygrzewało już mocno. Młoda kobieta schroniła się w cień i nuciła ścicha piosnkę wiejską, tę samą, którą zaśpiewała jej dziewczyna w Samie ze złośliwą intencją. Ale teraz piosenka ta nappełniała jej duszę rozkoszą; znajdowała w niej jakiś urok przedziwny.

Podszedł do niej proboszcz z Lady, wsparty jak zawsze na lasce. Był to staruszek siwowłosy, twarz miał ciemną, pomarszczoną i przenikliwie oczy. Od lat czterdziestu pracował w tej parafji. Uczony nie był, lecz posiadał wiele doświadczenia i duszę prawdziwie chrześcijańską.

— Dzieńdobry, Rogeljo — rzekł, zatrzymując się przed nią. — Zawsze pracujesz i zawsze jesteś zadowolona, jak się zdaje; bo ten, kto śpiewa, nie ma trosk.

— Dzieńdobry, księże proboszczu — odparła, podnosząc głowę. — Owszem, nie brak mi trosk, ale staram się je odpędzać.

— Słusznie. Mając troski, najlepiej starać się zapomnieć o nich; ale jeszcze lepiej ich nie szukać.

Rogelja spojrzała na niego, zaniepokojona nieco surowym tonem tych słów.

— Pozwól mi tu usiąść na chwilę i powiedzieć ci coś, co uważam widzieć za potrzebne, skoro w tym celu do ciebie przyszedłem.

Z temi słowy siadł na ławie obok Rogelji. Milczał chwilę, spoglądając przed siebie roztargnionym wzrokiem; Rogelja wpatrywała się w księdza niespokojnie.

— Otóż moje drogie dziecko — rzekł wolno i bardzo cicho — doszły mnie słuchy wielce niemiłe.

Po dłuższej pauzie ciągnął dalej:

— Mówią o tobie w Samie i w Felguera. Powiadają, że od pewnego czasu nawiązałaś przyjaźń zbyt zażyłą, która może stać się niebezpieczną dla twego ciała i duszy.

— Nie mówmy o ciele, księżu proboszczu — przerwała kobieta z odcieniem dumy. — Nie lękam się niczego ani nikogo.

— Wiem, dziecko, wiem. Byłaś zawsze bardzo odważna. Mówmy tylko o duszy, skoro tak sobie życzysz. Dla chrześcijan odwaga nie jest cnotą najistotniejszą, albowiem i źli ludzie posiadają odwagę. Znam cię od urodzenia i wiem, że jesteś dobra i miłosierna. Pamiętam, widziałem raz, jak wyszłaś z domu, niosąc kromkę borony i jedną sardynkę na śniadanie, i widziałem potem, jak oddałaś to staremu żebrakowi, który zbliżał się do drzwi twoich. Ten czyn miłosierdzia u ośmioletniego dziecka rozczulił mnie do łez. Potem dowiedziałem się od Józefowej, że ściągałaś chleb i boronę z pieca i że dostawałaś za to kijem.

— Tak, tak! — zawołała Rogelja, śmiejąc się. — Nieraz oberwałam...

— Może ta kara zaważy kiedyś przed trybunałem boskim i poczytana ci będzie za zasługę, moje drogie dziecko. Dlatego też właśnie, ponieważ żywię dla ciebie prawdziwy szacunek, przykro mi, gdy widzę, że stałaś się pastwą złych języków.

— Któż zdoła tego uniknąć, księżu proboszczu?

— Jestem tego samego zdania. Jednakowoż o ile dajemy powody do obmowy, natenczas nie mamy prawa narzekać. Chcę ci przypomnieć, kochane dziecko, że kobieta zamężna jest kryształem, który łatwo mętnieje; powinna bardzo dbać o cześć swego małżonka...

— A czy mój mąż tę cześć posiada? — zawołała porywczo kobieta.

— Jakto? Twój mąż posiada cześć, która z ciebie nań spływa.

— W takim razie nie mam zamiaru wcale mu czci przyczyniać... bo to szubrawiec... nienawidzę go!...

Proboszcz był stropiony. Milczał dłuższą chwilę, a wreszcie spytał łagodnie:

— Czy cię bije?

— Nie bije mnie faktycznie, bo choć się to może wydawać dziwnem, boi się mnie; ale znieważa mnie codzień najohydniejszymi, najwstrętniejszymi słowami...

— To niedość, byś mu odbierała cześć; lecz gdyby nawet było inaczej, nigdy, pod żadnym pozorem nie wolno kobiecie zamężnej uchylać się od swych obowiązków, gdyż one przypadły jej z woli bożej, i przed Bogiem winna zdawać sprawę ze swego postępowania, jeżeli nie chce odpowiadać przed mężem. Pan nasz Jezus Chrystus ustanowił nierozrwalny związek małżeński. Przysięgłaś wierność małżonkowi przed ołtarzem i przyjęłaś do serca Ciało i Krew Pańską. Jeśli łamiesz przysięgę, popełniasz grzech śmiertelny i zasługujesz na karę wieczną. Nietylko religja chrześcijańska potępia zdradę małżeńską jako jeden z najcięższych grzechów, ale również i społeczeństwo uważa je za występek, karany przez prawo<sup>1)</sup>. Że twój mąż jest zły, to jeszcze nie racja, abyś i ty złą być miała. Przyjdzie czas, że będzie musiał ze swych grzechów zdać rachunek przed Bogiem, ale i ty będziesz zmuszona uczynić to samo...

— To wszystko bardzo pięknie, księże proboszczu, ale mogę księdzu odpowiedzieć na to tylko jedno, a mianowicie, że niecierpię go... tak, niecierpię!...

Ksiądz zamyślił się przez chwilę. Wreszcie, zwracając się ku niej i patrząc jej wnikliwie w oczy, zapytał z naciskiem:

— Czy niecierpisz go dlatego, że na to zasługuje, czy też że kochasz już innego?

---

<sup>1)</sup> W Hiszpanji zdrada małżeńska karana była grzywną a nawet więzieniem.

Fala krwi oblała twarz młodej kobiety. Zmieszana wyjąkała:

— Nie wiem. Wiem tylko napewno, że go niecierpię.

— Nikt cię nie zmuszał do zaślubienia Maksa. Uczyniłaś to, mając wolny wybór. Znałaś oddawna swego dzisiejszego męża; wiedziałaś, kim jest, i zgodziłaś się przyjąć go takim, jakim jest; nie masz więc prawa mówić, żeś się oszukała. Wiesz zresztą, że taksamo, jak dobry może się zepsuć, tak i zły może się poprawić. Łagodnością, uступliwością, dobrem słowem, uda ci się może wpłynąć na zmianę postępowania męża. Zdarzały się takie wypadki. Tym sposobem zbawisz nietylko jego duszę, ale i własną. Cóżby to była za radość, moje dziecko, stanąć przed Sędzią Najwyższym z czystym sumieniem i przywieść do stóp Jego drugą jeszcze duszę, którą wyrwałaś piekłu!

— Nie mam sił na to, księżu proboszczu, a nie mam ich dlatego, że go nienawidzę, słyszy ksiądz! Nienawidzę go!...

— Co za straszne słowo! To jedyne słowo, które wymawiają szatany.

Wyraz wściekłego gniewu rozplómił twarz Rogelji. Porwała się z miejsca i krzyknęła głośno, jak csałała:

— Choćbym miała iść do piekła, mówię i zawsze powtarzać będę, że go nienawidzę! Nienawidzę go mocniej niż szatana!

Biedny proboszcz odszedł zgnębiony.

## IX.

Doktor Vilches i Rogelja kroczyli nad brzegiem przepaści. Doktor nie zdawał sobie z tego sprawy; Rogelja wiedziała, lecz było jej to obojętne. Wieść o jej stosunkach z lekarzem obiegła lotem błyskawicy.



cy najbliższe miasteczka. Podawano za fakt to, czego jeszcze nie było, aczkolwiek lada chwila stać się mogło. Kobiety, oprócz pretensjonalnych panien, które nie chciały się wyrzec nadziei, że jeszcze złapią młodego doktora, współczuły Rogelji. Mąż jej był takim brutalem, takim niegodziwcem!

Nazajutrz po rozmowie Rogelji ze starym księdzem przypadła niedziela. W krótkim i niezbyt kunsztownem kazaniu, które zazwyczaj miewał przed ofiarowaniem, kapłan mówił o sakramencie małżeństwa, o świętych obowiązkach małżonków i o karach wiecznych, grożących tym, co je gwałcą. Rogelja zrozumiała, że ją miał na myśli, i wyszła z kościoła w bardzo złym nastroju.

Wieczorem tejże niedzieli karczma Fructuosa była przepelniona. Jak zawsze większość zebranych stanowili górnicy, którzy przepychali się ku ladzie, by sięgnąć po kieliszki, podane przez Asuncion, córkę karczmarza. Stoły nieliczne i brudne, zajęte były przez robotników i kilku podmajstrzych z fabryki. Przy jednym z nich siedział z dwoma przyjaciółmi Ezechjel, brat nieszczęśliwego Perica, odbywającego karę więzienia w Lavianie. Niedaleko od lady, otoczony jak zwykle nikczemnymi pochlebcami, stał Maks; krzyczał, przechwalał się i bluźnił swoim zwyczajem. Unikał wszakże spojrzenia w stronę stołu, przy którym znajdował się Ezechjel, gdy ten tymczasem nie spuszczał zeń oka. Nieomyślnym instynktem wiedziony, przeczuwał, że będzie miał z nim rozprawę i że tym razem, jeśli zaczepi chłopaka, rozgrywka będzie decydująca. Będzie musiał zabić go lub zginać. Dlatego też nie patrzył mu nigdy w oczy i udawał, że go nie zna.

W owej chwili „nabierał“ właśnie córkę karczmarza, która niechętnie przyjmowała jego żarty. Brutalnemu górnikowi, gdziekolwiek się znalazł, potrzebna była ofiara, z którą szukał zwady lub prze-

śladował drwinami. Ale Asuncion nie miała w sobie ducha ofiary: była żywa i energiczna. Wskutek ciągłego przebywania wśród ludzi nieokrzesanych stała się ordynarna i grubiańska jak oni. Nie lękała się ani bluźnierstw, ani słów sprośnych: umiała oddać pięknem za nadobne.

Maks prześladował ją panem Henrykiem de Sanfrechoso, który jak powiadano, zwrócił ongiś uwagę na obfite kształty karczmarki i próbował zbliżyć się do niej. Czy miało to jakieś dalsze konsekwencje? Co do tego w Samie zdania były podzielone. Jakkolwiek było, córka karczmarza nosiła na sobie piętno, jakie ów satyr wyciskał na czole wybranych nimf. Dlatego też, a może i dla innych powodów, Asuncion doszła do lat trzydziestu i nie wstąpiła w związki małżeńskie. Obecnie rozeszła się pogłoska, że pewien robotnik fabryczny, wdowiec z trojgiem dzieci, chciał się z nią zenić. Łatwo się domyślić, jak ją gniewały żarty Maksa, wypominającego jej dawne miłości.

— Widziałem wczoraj pana de Sanfrechoso, gdy wychodził z posiedzenia rady miejskiej. Jeszcze wcale przystojny chłopiec pomimo swego wieku. Musiał być oczywiście przystojniejszy parę lat temu, nieprawdaż, Asuncion?

Dziewczyna, która zmywała kieliszki w misie cynowej, cisnęła mu wściekle spojrzenie; górnik przyjął to z uśmiechem.

— Czy według ciebie jest ładny, czy też nie?

— Czy będziesz raz cicho! Nie mam wcale chęci żartować.

— Nie masz chęci żartować teraz, ale musiałaś z przyjemnością żartować z nim dawniej.

— Maks, czy przestaniesz?

— Mimo wszystko przypuszczam, że nie sprawiłoby ci przykrości, gdyby cię połaskotał wąsami po buzi, co?

— Proszę cię, przestań! Jesteś bezczelny, ale jeśli chcesz wyzwąć mnie na słowa, to doczekasz się tego i to bardzo rychło...

— Patrzcie państwo!... Brałaś widać lekcje u pana de Sanfrechoso.

— A jeszcze lepiej wykłada to doktor fabryczny twojej żonie! — odcięła karczmarka.

Maks spochmurniał nagle.

— Mojej żonie?

— Tak, twojej żonie, która doskonale robi, że ci rogi przyprawia, ty wstrętny nicponiu.

Śmiertelna bladeść okryła twarz górnika. Uczynił jednak wysilek, by zapanować nad sobą, i uśmiechnął się znowu:

— Dziękuję za nowinę, moja śliczna, o ile jest prawdziwa.

— I jak jeszcze!

W tej samej chwili młodsza siostra Asuncion, która stała obok niej, przerażona bladeścią Maksa, trąciła ją, by skłonić do milczenia.

— Czemu mam milczeć? — zwróciła się tamta do siostry rozzłoszczona. — Mogę mu przecież oddać pięknem za nadobne.

Maks, by ukryć wrazenie, jakie wywarły na nim słowa karczmarki, przyłączył się znowu do grupy przyjaciół, którzy wysłuchali sprzeczki, zamieniając pomiędzy sobą porozumiewawcze spojrzenia. Gdy Maks wrócił do nich, przybrali poważne miny, unikając w zakłopotaniu wzroku górnika.

Maks stanął przed nimi i tonem cynicznej przechwałki zapytał:

— Słuchajcie, towarzysze, czy to prawda, że mi przyprawiono rogi?

Zapanowało milczenie.

— Więc nie wiedziałeś o tem? — odważył się wreszcie odezwać jeden z kompanów Maksa.

— Nie miałem pojęcia.

— Przecież wszyscy o tem wiedzą.

I nagle poczęli mówić jeden przez drugiego: przypuszczali, że wie o wszystkim doskonale. Rzecz była powszechnie wiadoma, a żona jego i doktor wcale się z tem nie kryli. Wszyscy przypuszczali, że Maks wie o tem, ale że mu to jest zupełnie obojętne.

Maks wybuchnął głośnym śmiechem.

— Mąż zawsze dowiaduje się o takich rzeczach na ostatku. Daj mi jeszcze kieliszek, Asuncion. Czy jest na świecie o jednego rogowca więcej lub mniej, to doprawdy nic wielkiego i niema się czem przejmować, nieprawdaż, mój skarbie?

Z największym cynizmem począł wyśmiewać się z własnego nieszczęścia. Rogi razem z chlebem nie są tak przykre. Zauważył bowiem, że od pewnego czasu żona przyrządza mu bardzo smaczne jedzenie. Nato, by opływać we wszystko, niema lepszego sposobu, jak mieć ładną i wspaniałomyślną żonę. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, jak zresztą przypuszcza, to niebawem będzie mógł rzucić kopalnię, grać w karty z panami w kawiarni, pić czekoladę, pojadać tortem i kapać się w winie.

Towarzysze górnika śmieli się do rozpuku. Naprawdę, pyszny był ten Maks! Uważali, że zachowanie jego wobec ujawnionego faktu jest niezwykle wytworne. Natomiast Asuncion i jej siostra były zdania, że jest ono wręcz bezwstydne, toteż, gdy Maks nie patrzył, wydymały pogardliwie usta.

Ezechjel i jego towarzysze przysłuchiwali się ze zdumieniem tym gorszącym drwinom. Podobnie jak Asuncion i jej siostra zamieniali pomiędzy sobą pogardliwe uwagi.

W tej samej chwili wszedł do karczmy doktor Vilches. Wszyscy zamilkli i rozstąpili się przed nim z szacunkiem, aby mu utorować dostęp do lady.

— Dzieńdobry, panowie — rzekł, skinawszy zebranym głową na powitanie, nie wyzbywając się

przytem jednak wrodzonej wyniosłości. A zwracając się do Asuncion, zapytał:

— Co dolega twojej matce?

— Nie wiem, don Fernando. Dostała w nocy silnego bólu w nerkach. Zrzuciła wszystko, co zjadła. Chciała zrana wstać na mszę, ale zatrzymaliśmy ją w łóżku. Zdaje mi się, że ma gorączkę.

— Zaraz zobaczymy — rzekł doktor, zmierzając ku schodom.

Ale w tejże chwili Maks położył mu dłoń na ramieniu.

— Dobrywieczór, don Fernando; chcę, aby pan przed odwiedzeniem chorej wypił ze mną kieliszek. Gdy doktor wypije, chory prędzej wraca do zdrowia.

I podał mu ze śmiechem pełny kieliszek wina.

— Bardzo dziękuję, Maksie, ale nie mógłbym potem napisać recepty — odpowiedział doktor żartem na żart.

— W takim razie ja wypiję za zdrowie chorej — oświadczył Maks, podnosząc kieliszek i wychylając go duszkiem. Wierchem dłoni otarł usta i rzekł głośno:

— Don Fernando, nie mogę zapomnieć, ile pan dla mnie zrobił; winienem panu życie.

Doktor podniósł rękę i uczynił gest zniecierpliwienia.

— Tak, panie, życie... Nie wiecie o tem — dodał z przesadną powagą, zwracając się do towarzyszków, którzy zaciekawieni otoczyli ich kołem — nie wiecie, jak ten pan mnie leczył. Ojciec nie zdołałby więcej uczynić dla syna. Dzięki niemu po trzech tygodniach pracowałem już w kopalni. Gdybym się był dostał w ręce don Remigia, to w dwa miesiące nie byłbym wstał z łóżka.

— Nie gadaj niedorzeczności, mój drogi — prze-rwał doktor widocznie niezadowolony z tych prze-

sadnych pochwał. — Wyzdrowiałeś szybko, bo taka była wola Boska.

— I wola pańska, panie doktorze!... I ponieważ pan jest najlepszym lekarzem w całej dolinie Nalonu. Ani w Oviedo, ani w Gijon żaden doktor nie umywa się do pana!

— No, dobrze, dobrze, przestań już! — zawołał Vilches coraz bardziej zmieszany. — Dowidzenia, panowie!

I wymknąwszy się z grupy otaczających go ludzi, wszedł szybko na schody.

— To, co wam mówię, jest czysta prawda — ciągnął Maks głośno, gdy doktor zniknął za drzwiami. — Ci wszyscy tutejsi doktorzy to głodomory. Ale wiadomo, że ten siedzi bez przestanku w książkach. Ten jest mądry. Ten ma oko! A zręczny! Powiadam wam, moje dzieci, że teraz my wszyscy, co pracujemy w kopalni i w fabryce, możemy spokojnie łamać sobie kości i odnosić rany.

Towarzysze Maksa kiwali głowami. Doktor Vilches cieszył się w okolicy coraz większem uznaniem. Pozatem podobało im się zachowanie Maksa, który gardził żoną, a przebaczał lekarzowi. Ale Ezechjel, który od swego stolika obserwował stale Maksa, zauważył, że górnik jest ciągle blady. Zwrócił na to uwagę również jeden z jego przyjaciół i rzekł:

— Maks jest już pijany. Patrzcie, jaki on blady.

Ezechjel wzruszył ramionami i nie spuszczał wzroku z górnika, jakgdyby chciał przeniknąć jego myśli.

W kilka minut potem doktor zeszedł. Przed wyjściem z karczmy zatrzymał się przed ladą, gdzie stała siostra Asuncion.

— Matka twoja jest tylko przeziębiona — rzekł. — Uparła się prać bieliznę w rzece, a w tym wieku nie może i nie powinna tego robić. Zostawiłem siostrze receptę. Uważajcie, aby chora była dobrze okryta. Przyjdę znów jutro.



A zwracając się do obecnych, powiedział:

— Dobranoc, przyjaciele. Idę do waszego kolegi, Mikołaja del Molino. Żle się jakoś czuje.

Mikołaj był to robotnik, którego odwiedzał codziennie po spotkaniu się z Rogelją na drodze.

— Czy jeszcze nie wyzdrowiał, don Fernando? — zapytał jeden z obecnych.

— Owszem, ale teraz wezwano mnie znowu, ponieważ pogorszyło mu się nagle.

Wyszedł z karczmy. Maks ukradkiem, pod pozorem, że wychodzi tylko na chwilę, wymknął się wślad za nim.

Ezechjel ścisnął kurczowo dłoń jednego ze swych towarzyszków.

— Maks poszedł za doktorem — rzekł, zgrzytając zębami. — Znowu coś knuje. Chodźmy!

Wstał śpiesznie. Dwaj jego towarzysze wyszli z nim razem.

Niebawem istotnie ujrzeli Maksa, który kroczył za doktorem w dość znacznej odległości, kryjąc się za drzewami.

Uczynili podobnie, idąc gęsiego, zdaleka, aby nie ściągnąć jego uwagi.

Na drodze do Lady nie widać było nikogo. W najodludniejszym miejscu Maks przyśpieszył kroku; przebył biegiem prawie przestrzeń, dzielącą go od Vilchesa. Ezechjel i jego towarzysze podążali za nim. Górnik, zbliżywszy się do doktora, wydobył rewolwer. Usłyszano huk wystrzału. Lekarz padł twarzą na ziemię, a Maks począł uciekać z zawrotną szybkością. Towarzysze Ezechjela pobiegli, by udzielić pomocy doktorowi, ale Ezechjel sam, w ślepem uniesieniu, puścił się co sił za Maksem, wołając:

— Trzymajcie go! trzymajcie go! Na pomoc!

Maks, słysząc krzyk, stanął z rewolwerem w ręku. Zdawało się, że czeka na ścigającego. Nagle

zmienił zamiar, schował rewolwer do kieszeni i rzucił się ponownie do ucieczki.

— Stój! Stój! Chwytać mordercę! — krzyczał bezustanku Ezechjel, ścigając go ciągle.

W tej chwili ukazał się na drodze brygadjer żandarmerji, który wracał najspokojniej z Lady od ciotki. Był bez broni, choć w mundurze. Słyszając krzyk Ezechjela, podniósł głowę i rozejrzał się dookoła. Dostrzegł i poznał Maksa. Stanął na środku drogi, wyjął z pochwy szablę i zawołał:

— Stój, Maks!

Górnik zatrzymał się i podniósł ręce w górę, aby pokazać, że nie ma broni i że się poddaje. Ale gdy brygadjer zbliżył się, Maks szybkim ruchem wyjął z kieszeni rewolwer i strzelił do żandarma. Ten padł nawznak, śmiertelnie ugodzony. Ezechjel przestał wołać i pośpieszył mu z pomocą. Tymczasem Maks zdołał zbiec.

Ezechjel, spojrzawszy na brygadjera, odgadł odrazu, że ten nie żyje. Przerażony przywołał towarzyszków, którzy opuścili na chwilę doktora i podbiegli do leżącego bez życia brygadjera. Lekarz oddychał jeszcze. Jeden z ludzi podbiegł sprowadzić pomoc i zawiadomić żandarmerję. W parę minut potem droga zarośla się od ludzi, rozprawiających z oburzeniem o popełnionych zbrodniach.

W najbliższym domu sporządzono nosze i wysłano je kołdrami. Złożono na nich doktora i przeniesiono go do domu. Trupa brygadjera postanowiono nie ruszać przed przybyciem sędziego. Najpierwsi jednak przybyli żandarmi z miejscowego posterunku. Ujrzawszy trupa swego dowódcy i towarzysza, rozplakali się; rozrzewnienie to jednak ustąpiło niebawem wielkiemu oburzeniu; wśród strasznych pogroźek przysięgli pomścić śmierć brygadjera. Choćby się skrył pod ziemię, znajdą zabójcę i zawiadą go na szubienicę!

Rana doktora była niezbyt ciężka. Kula weszła przez ramię i wyszła przez pierś, tuż przy obojczyku. Don Remigio, kolega doktora z Samy, przybiegł niezwłocznie. Postawił diagnozę: o ile kula nie naruszyła płuc, niema niebezpieczeństwa. Niezależnie od tego wezwano telegraficznie doktora Roela z Ovideo; był to serdeczny przyjaciel Vilchesa. Ranny tymczasem odzyskał przytomność, mówił i sam wydawał dyspozycje, prosząc, by z zachowaniem wszelkich ostrożności zawiadomiono o wypadku jego ojca. Dom zappełnił się ludźmi, gdyż doktor był powszechnie ceniony i zdołał sobie zaskarbić wdzięczność wśród pacjentów. Vilches omdlał znowu i przez dłuższy czas nie było go można docucić. Don Remigio nie chciał badać dokładnie rany i odłożył tę operację do dnia następnego, to znaczy do przybycia doktora Roela. Nałożył prowizoryczny opatrunek i przepisał środki wzmacniające. O zmierzchu, gdy ludzie się rozeszli, jakaś kobieta, zalana łzami, weszła do sklepu Daniela.

— Czy można odwiedzić doktora? — zapytała nieśmiało Marcjałę, która siedząc za ladą, robiła pończochę.

— Nie, nie można go odwiedzić — odrzekła sklepiarką z wyzywającą oschłością.

Rogelja osunęła się na ławkę przy drzwiach, a ująwszy głowę w dłonie, poczęła szlochać rozpaczliwie.

Marcjała przyglądała się jej czas jakiś w milczeniu. Coś drgnęło w jej sercu; była przecież kobietą; wstała więc, udała się nagórę i, wszedłszy do pokoju doktora, zapytała pocichu:

— Don Fernando, przysła Rogelja, jest nadole, chce się z panem widzieć. Czy ma wejść?

— Tak, tak, niech wejdzie! — odpowiedział ranny.

Marcjała zeszła i rzekła:

— Rogeljo! możesz wejść.

— O, dziękuję, pani Marcjalo! — zawołała, zrywając się z miejsca i drżąc ze wzruszenia. — Pani jest dobra.

I schwyciwszy jej rękę, ucałowała ją. Rozczulona sklepikarka objęła ją wpół i zaprowadziła po schodach aż do mieszkania lekarza.

Rogelja stanęła przy łóżku, lecz nie mogła wymówić ani słowa: dławiono ją łkanie.

— Nie płacz, moja droga — szepnął Vilches z wysikiem, próbując się uśmiechnąć. — Zobaczysz, jak prędko wyzdrowieję.

Młoda kobieta, zwracając się do Marcjali, zdołała wyrzec:

— Proszę o jedno tylko: niech mi wolno będzie przychodzić tu i pielęgnować doktora.

— Moja kochana, to nie ode mnie zależy. Don Fernando powie, czy sobie tego życzy, czy też nie.

Lekarz skinął głową twierdząco.

Rogelja wzięła na siebie obowiązki pielęgniarki. Siadła u stóp łóżka i nie ruszyła się z miejsca. Marcjala przyniosła jej materac, który położyła w przyległym pokoju na podłodze. Rogelja nie rozbierała się wcale: spała w ubraniu, zrywając się co chwila, aby sprawdzić, czy rannemu czego nie potrzeba.

Rankiem przyjechał doktor. Stan Vilchesa pogorszył się: chory miał bardzo silną gorączkę. Roel oświadczył, że jest to początek zapalenia płucnej zapewne wskutek zadraśnięcia kulą.

Dał pewne wskazówki i odjechał, obiecując przybyć znowu za dwa dni. Tego samego rana nadeszła odpowiedź od ojca Vilchesa. W zastępstwie krawca pisał jego starszy pomocnik, donosząc, iż szef jest chory i od kilku dni leży w łóżku. Prosił w jego imieniu, aby niczego nie szczczędzono, oraz proponował, o ile syn uważa za potrzebne, że przyśle jed-

nego z najlepszych chirurgów w Madrycie; skoro tylko wyzdrowieje, przyjedzie do syna.

Popołudniu Vilches stracił przytomność. Odzyskał ją dopiero po trzech dniach. Roel, który przyjechał, tak jak był zapowiedział, nie wrócił już do Oviedo, lecz pozostał przy chorym, dopóki ten nie odzyskał przytomności.

Wreszcie gorączka poczęła opadać. Wiele osób z okolicy dowiadywało się o zdrowie Vilchesa; nikt jednak na mocy zakazu doktora nie wchodził do pokoju rannego. Wiedziano jednak, iż żona sprawcy napadu jest przy nim i pielęgnuje go. Oczywiście wywołało to pewne zgorszenie i byłoby stanowiło przed sądem okoliczność łagodzącą, gdyby nie zabicie brygadiera, co było zbrodnią o wiele cięższą. Maks, który zbiegł, został aresztowany w parę dni potem w pewnej wiosce prowincji Leonu i odstawiony do Oviedo.

Szóstego dnia nastąpiło przesilenie. Choroba poczęła ustępować. Młodość Vilchesa, umiejętna i troskliwa opieka doktora z Oviedo, sprawiły, że niebezpieczeństwo szybko minęło. Rozpoczęła się rekonwalescencja. Rogelja chodziła do domu co czas pewien poto tylko, aby się przebrać. Wkrótce Fernando począł schodzić nadół, do sklepu; było to pod koniec czerwca, pogoda panowała prześliczna, toteż Vilches siadywał przed domem i gawędził wesoło z ludźmi, którzy do niego przychodzili. Rogelja, wstydząc się przebywać wtedy w jego towarzystwie, zostawała nagórze i sprzątała mieszkanie. Gdy już prawie zupełnie wyzdrowiał, dyrektor fabryki Pedro Duro, który przysyłał stale z zapytaniem o zdrowie doktora, otrzymał z Madrytu telegram, donoszący, że stary Vilches jest bardzo ciężko chory i że należy z zachowaniem wszelkich ostrożności powiadomić o tem syna. Dyrektor zrozumiał odrazu, że stary Vilches umarł, i czekał na drugi telegram, który

istotnie nadszedł w parę godzin później z wiadomością o śmierci krawca.

Stary dyrektor w towarzystwie swego zięcia udał się osobiście do Fernanda, aby się przekonać, czy można mu zakomunikować złą nowinę. Zastał go już dość silnym.

Po wymianie powitań don Pedro wypytał lekarza obszernie o przebieg choroby, poczem zagadnął go z udaną obojętnością:

— Jakie pan ma wiadomości o zdrowiu ojca?

Lekarz pobladł i spoważniał, przeczuwając coś smutnego.

— Nie umiem panu powiedzieć. Był chory i dlatego nie mógł przyjechać; od paru jednak dni nie mam od niego listu.

— Otóż jeden z moich siostrzeńców, który przyjechał wczoraj z Madrytu, dowiedział się przypadkowo, że choroba jego jest dość niebezpieczna.

— Niech pan nie mówi dalej — przerwał doktor, a twarz jego okryła się śmiertelną bladością. — Ojciec mój nie żyje?

Don Pedro i jego zięć pochylili głowy w milczeniu.

Vilches ukrył twarz w dłoniach. Łkanie wstrząsnęło jego ciałem. Obaj mężczyźni nie szczędzili mu słów pociechy i ukojenia i odeszli dopiero wtedy, gdy uspokoił się nieco. Przed nocą wrócili raz jeszcze. Vilches ochłonął już z pierwszego bólu. Żałował oczywiście ojca, lecz nie tak jak matki. Oświadczył im, że wybiera się do Madrytu.

— Wróci pan niebawem?

— Nie sądzę, dyrektorze. Proszę rozporządzać moją posadą, gdyż mam zamiar pozostać w stolicy. Zachowam dla pana gorącą wdzięczność. Nie zapomnę nigdy serdeczności, jakiej od pana w tym wypadku doznałem...



Fabrykant i zięć jego wyrazili ubolewanie spowodu tej decyzji, aczkolwiek była ona dla nich całkiem zrozumiała.

Rogelja, którą wiadomość ta wstrząsnęła tem bardziej, że domyślała się, co potem nastąpi, poszła płacząc do Lady. Wracła tam codzień na noc, odkąd doktor zaczął wstawać z łóżka. Nazajutrz przyszła do Felguera. Doktor był u siebie, nagórze.

Gdy weszła do gabinetu, Fernando układał książki w skrzyni. Młoda kobieta, blada, lecz uśmiechnięta, rzekła:

— Powiedziano mi nadole, że pan wyjeżdża.

Doktor podniósł głowę i uśmiechnął się smutnie do swojej pielęgniarki.

— Tak jest, Rogeljo. Wyjeżdżam jutro rano do Oviedo, a wieczorem pojadę dyliżansem do Leonu. Stamtąd resztę drogi odbędę koleją.

Zapadło milczenie. Wreszcie Rogelja zapytała drżącym głosem:

— Zapewne nie wróci pan już tutaj?

Vilches ociągał się nieco z odpowiedzią.

— Zapewne.

Nastąpiło znowu milczenie; doktor położył książkę na stole, zbliżył się do Rogelji i rzekł:

— Chodź tutaj, Rogeljo; musimy pomówić.

Ujął jej ręce i zmusił, by usiadła przy nim na kanapie.

— Widzisz — rzekł, nie wypuszczając jej dłoni — los twój, jak łatwo ci się domyślić, interesuje mnie żywo. Nie zapomnę do śmierci, ile ci zawdzięczam. Siostra nie byłaby lepszą. Dlatego chcę wiedzieć, co masz zamiar począć.

— Co mam zamiar począć, don Fernando? Oto opuścić Langreo. Nie mam już odwagi pracować w kopalni; zresztą po tem, co zaszło, byłabym narażona na drwiny i pogardę. Udam się do Oviedo albo do Gijonu, najemę się tam za niańkę lub kucharkę.

Po twarzy doktora przebiegł skurcz bólu.

— To smutne, to smutne! — rzekł stłumionym głosem. — Ale może to i najlepsze wyjście.

Milczał czas pewien. Wreszcie wstał, podszedł do biurka, otworzył szufladę i wyjął stamtąd mały pakiecik.

— Wiem — rzekł, zbliżając się znowu do młodej kobiety — że w tych warunkach będzie ci potrzeba trochę pieniędzy. Zrób mi przyjemność i przyjmij od przyjaciela te sto durów.

Twarz Rogelji oblała się ciemnym rumieńcem. Oczy zapłonęły gniewem.

— Dziękuję bardzo, don Fernando — rzekła zmienionym głosem. — Nie jestem pielęgniarką.

— Wiem, moje drogie dziecko — odparł zmieszany. — Byłbym niegodziwy, gdybym chciał opłacić pieniędzmi serdeczne zainteresowanie, jakiego od ciebie doznałem. Pragnąłem tylko w miarę mojej skromnej możności oszczędzić ci licznych trosk, jakie cię niewątpliwie czekają.

Rogelja uspokoiła się.

— Dziękuję raz jeszcze, don Fernando. Niewiele mi trzeba, aby stąd odejść. Dom, w którym mieszkam, jest moją własnością, i każdy mieszkaniec Lady albo Samy pożyczą mi pod jego zastaw trochę pieniędzy.

Zamienili potem parę słów tylko. Wreszcie Rogelja wstała, jakgdyby pod wpływem jakiegoś nagłego postanowienia.

— Dobrze, już idę. Dowidzenia, don Fernando!

— Co? Już odchodzisz? — zapytał zdziwiony i zasmucony.

— Tak, odchodzę — odparła stanowczo.

Doktór wstał również.

— Więc dobrze, Rogeljo; chciałem, aby to pożegnanie było nieco dłuższe... Powtarzam ci raz jeszcze, że nie zapomnę do śmierci tego, coś dla mnie

zrobiła, i pragnąłbym w jakikolwiek sposób dowieść ci mojej wdzięczności. Gdybym ci mógł być użytecznym, zwróć się do mnie bez wahania, gdyż z całej duszy i przez całe życie jestem gotów ci pomóc.

— Dziękuję bardzo, don Fernando; niech panu Bóg da szczęście!

Zbladła jak płótno. Potem zaś padła nagle na kanapę i, ukrywszy twarz w poduszkach, wybuchnęła konwulsyjnym płaczem. Płakała tak, jak w jakimś nagłym nerwowym ataku.

Doktór patrzył na nią przez chwilę, blady również i zdumiony. Potem zbliżył się do płaczącej i dotknął lekko jej ramienia.

— Słuchaj, Rogeljo, czy chcesz jechać ze mną do Madrytu?

Rogelja zerwała się i stała, patrząc na niego szeroko rozwartemi oczyma.

— Co pan powiedział?

— Że jestem gotów zabrać cię do Madrytu, jeśli zechcesz.

— Ale czy to prawda?

I składając błagalnie ręce, z twarzą zalaną łzami, zawołała:

— Na świętą pamięć matki pańskiej zaklinam, niech mnie pan nie zwodzi!...

---



## CZĘŚĆ II.





## I.

Doktór Vilches i Rogelja przybyli razem do Madrytu. Ona już od Oviedo przebrana była po miejscu, choć bardzo skromnie, nie chciała bowiem ubrać się w wytworny kostjum, jaki pragnąłby na niej widzieć Vilches.

Doktór po zainstalowaniu Rogelji w hotelu poszedł załatwiać swoje sprawy. Przed dziesięciu dniami odbył się pogrzeb jego ojca. Niezwłocznie potem Ferdynand odstąpił zakład krawiecki na korzystnych warunkach kierownikowi pracowni i wypełnił formalności, wymagane przez prawo dla objęcia spadku. Okazało się, że choć nie tak wielki, jak przypuszczano, stanowił jednak dość znaczny majątek: kapitał był wystarczający, aby móc wszędzie żyć dostatnio i wygodnie. Vilches miał zrazu zamiar wynająć ładny apartament i zamieszkać tam po małżeńsku z piękną Asturyjką. Po namyśle jednak zmienił projekt z obawy rozgłosu. Ludzie z Langreo, którzy przyjeżdżali do Madrytu, znali Rogelję. W ten sposób, po tem co zaszło, skandal szerzyłby się dalej. Doktor, mając odpowiednie środki, postanowił osiedlić się zagranicą. Było to zdawna jego marzeniem, lecz ojciec nie chciał mu na wyjazd pozwolić.

Po miesięcznym pobycie w stolicy wyjechali do Paryża. Vilches otrzymał tam list od swego przyjaciela, doktora Roela, z wiadomością, że prokurator domagał się dla Maksa kary śmierci; w rezultacie zasądzono go na dożywotnie ciężkie roboty z zesłaniem do Ceuty.

W pierwszych tygodniach mieszkali w hotelu; następnie wynajęli mieszkanie, umeblowali je i przyjęli dwie służące. Wtedy Vilches zajął się energicznie wykształceniem Rogelji. Poszło mu to znacznie łatwiej, niż przypuszczał. Rogelja złożyła dowody zdumiewającej inteligencji. Po przyjeździe do Paryża umiała zaledwie czytać i pisać; po upływie zaś kilku miesięcy nauczyła się dość poprawnie mówić po francusku i pisać po hiszpańsku. Następnie chciała poznać język angielski. Vilches postarał się o profesora, który oświadczył mu, że nie miał nigdy równie zdolnej uczennicy.

Vilches był zdziwiony i dumny zarazem. Rogelja bowiem nie poprzestała na nauce języków; opanowana żądzą wiedzy, czytała bezustanku: zrazu — powieści; potem nabrała zamiłowania do historii i do nauk przyrodniczych. Prosiła, by Vilches pozwolił jej zapisać się na wykłady fizyki i geografji w Sorbonie. Przystał na to; Rogelja zwróciła niebawem uwagę profesorów pilnością i bystrą inteligencją. Nie zaniedbywała również i literatury; czytywała poetów: Wiktora Hugo, Lamartine'a, Corneille'a i Racine'a. Gdy wychodziła na przechadzkę, wracała prawie zawsze z paczką książek.

Miłość Vilchesa ku niej wzmagała się z każdym dniem. Właściwie nie była to już miłość, lecz prawdziwe uwielbienie dla tej wyjątkowej istoty, która kochała go jak żona, a swym wpływem zastępowała mu matkę. Vilches był zawsze niesłychanie nerwowym, niekiedy pracował gorączkowo, kiedy indziej znów poddawał się lenistwu i zniechęceniu. W takich okresach przygnębienia Rogelja pocieszała go i krzepiła tak czule i energicznie zarazem, że doktor, ogarnięty uczuciem wdzięczności, mawiał:

— Pamiętasz, Rogeljo, ów wieczór, kiedyśmy się poznali? Prowadziłaś mnie po kamienistej drodze do Lady, abym się nie potknął i nie upadł. To był pro-

roczny symbol naszego życia. Kochana! Ty jesteś mojem zbawieniem!

Opracowywał *Traktat o ginekologii*, ten bowiem dział medycyny obrał jako specjalność. Chodził na wykłady i do klinik, poznał najwybitniejszych profesorów. Po dwu latach pobytu w Paryżu urodził się im syn. Radość była wielka. Dziecko miało jasne włosy ojca i czarne oczy matki. Troski macierzyństwa ostudziły nieco naukowy zapal Rogelji, ale nie zgasiły go bynajmniej. Czytała i uczyła się w dalszym ciągu, choć przestała uczęszczać na wykłady. Mówiła po francusku prawie bez hiszpańskiego akcentu. Oboje jeździli często do Londynu i przebywali tam po kilka dni. Toteż Rogelja dość łatwo wysławiała się po angielsku. Nie poprzestając na tem, poczęła studjować język niemiecki. Zachwycili ją wielcy poeci niemieccy, których poznała w przekładzie francuskim. Ulubionymi wszakże jej pisarzami pozostali Szekspir i Corneille. Natomiast niecierpiała współczesnej literatury francuskiej. Umysł jej był całkowicie odporny na humorystykę; nie odczuwała wcale uroku dowcipu francuskiego. Żarty, polegające na grze słów, tak pospolite we Francji, nudziły ją. Vilches mawiał, śmiejąc się:

— Rogeljo, ty masz tragiczną duszę.

— Nie — odpowiadała Rogelja — mam tylko jedną właściwość: oto wolę to, co wielkie, od tego, co dowcipne.

To właśnie dążenie ku wszystkiemu, co wielkie, skłoniło ją do studjów astronomicznych, którym oddała się z wielkiem zamiłowaniem. A stało się to w sposób następujący.

Vilches, dzięki stosunkom, które zdobył w świecie naukowym, otrzymał wstęp do obserwatorium astronomicznego. Przez kilka miesięcy chodził tam wieczorami; przy tej sposobności poznał się i zaprzyjaźnił z młodym astronomem, który później stał

się bardzo sławnym. Był to Kamil Flammarion. Ogłosił on był właśnie słynną pracę *O mnogości światów zamieszkałych*. W owym również czasie wiele wrzawy wywołały wykłady Ernesta Renana; nie pozabawiono go wtedy jeszcze katedry za *Żywot Jezusa*. Rogelja, zaciekawiona tem, co o nim słyszała, poszła raz na jego wykład. Sławny profesor rozpatrywał w nim właśnie pewien szczegół w dziejach żydowskich, dotyczący ustanowienia monarchji. Mówił o Saulu i Dawidzie, pierwszych królach, tak, że zadziwił Rogelję. Owe postacie biblijne ukazały się jej w tem oświeceniu zupełnie zniekształcone. Prorok Samuel stał się chytrym starcem; przekonawszy się, iż lud pragnie króla, postarał się przeciągnąć na swoją stronę człowieka, którym mógł następnie rządzić według własnej woli, a mianowicie Saula, brutalnego prostaka, epileptyka, fanatycznie mu uległego. Król Dawid wyszedł w opowiadaniu profesora jako wcielenie zimnej i chytrej przewrotności, jako bandyta, podobny do włoskich kondotjerów, okrutnik, wyrafinowany egoista, gotów do spełnienia wszelkiej zbrodni, a korzystający skwapliwie z cudzej, zwłaszcza zaś był to hipokryta, który z powodzeniem okłamywał lud, nie ustępując zresztą pod tym względem prorokom. Wielkie postacie dziejowe wybranego narodu stały się w rękach Renana nędznymi marjonetkami. Profesor twierdził, że cała historia biblijna jest jednym wielkim fałszem.

Rogelja, wysłuchawszy go z wielką uwagą i z ogromnem zdziwieniem, przypomniała sobie zakrystjana ze swojej wioski, starego Pacho de la Riega. Miał on bardzo dziwną manję. Ilekroć otrzymywał pieniądze za owoce ze swego ogrodu albo za jakąkolwiek usługę, twierdził zawsze, iż moneta jest fałszywa, z pewnością fałszywa.

Wskutek tego dziwactwa zarobił niejednego sińca na twarzy, ale to go nie uleczyło. Renan — pomy-

ślała Rogelja — to stary Pacho w stosunku do historii.

Po powrocie do domu Vilches zapytał, jakie odniosła wrażenie.

— To znakomity profesor, ma olbrzymią erudycję, świetną wyobraźnię, obrazową wymowę, ale mam wrażenie, że patrzy na wypadki dziejowe przez odwróconą lornetkę. Toteż postacie, występujące na widowni, wydają mu się bardzo małe.

Vilches, gorący wielbiciel wielkiego historyka, nie chciał się z tem zgodzić. Wywiązała się różnica zdań, którą Rogelja przerwała, mówiąc:

— Nie sprzecajmy się, Fernando. Wiesz więcej niż ja i masz większe zdolności.

Vilches, który podziwiał ją szczerze, zaprzeczył żywo:

— Wcale nie. Ja jestem tylko naukowcem. To ty posiadasz wybitne zdolności.

— Cicho bądź, cicho bądź! — zawołała młoda kobieta, zasłaniając mu dłonią usta. — Dobrze, że cię nikt nie słyszy, bo mógłby pomyśleć, żeś oszalał.

Zachwyt, jakim Vilchesa napawał umysł Rogelji, był tak wielki, że doktor zapytał ją raz:

— Czemu nic nie piszesz? Jestem pewien, że spod twego pióra wyszłoby coś nicpospolitego.

Rogelja, choć zadowolona z tych objawów czułego zachwyty, roześmiała się jak zwykle:

— Bo pisać powinien ten tylko, kto ma własne pomysły; ja zaś posiadam te jedynie, które zaczerpnę z książek — odparła skromnie.

Vilches, zachęcony pilnością swej towarzyszki, doszedł do wielkiej wiedzy w zakresie swej specjalności zawodowej; pisał artykuły, broszury, które ogłaszał równocześnie po francusku i po hiszpańsku; wreszcie napisał książkę „O higjenie matek“, która

zwróciła uwagę kół uniwersyteckich w Paryżu i zyskała mu rozgłos w Hiszpanji.

Tak minęło lat kilka. Dziecko liczyło trzy lata. Dano mu imię Jose, na pamiątkę ojca Vilchesa; w domu nazywano go Joselinem. Dziecko było śliczne jak aniołek. Gdy Rogelja wychodziła na przechadzkę, popychając wózek z malcem, przechodnie zatrzymywali się, przyglądali mu się z uśmiechem i zachwycaли głośno. Słowa te były dla Rogelji o wiele miłsze od największych pochwał profesorów.

Tych dwoje uczonych kochało się nadal namiętnie. Miłość Vilchesa była gorętsza, Rogelji — stałsza. Niespokojny charakter, nerwowe usposobienie Ferdynanda sprawiały, że co czas pewien na spokojnem niebie ich szczęścia ukazywały się przelotne chmurki. Doktor miewał gwałtowne napady złego humoru, a wtedy brzydło mu życie wogóle, w szczególności zaś życie w Paryżu. Męczył go gwar i lekkomyślność wielkiej stolicy, wspomnieniem powracał do Madrytu, miasta spokojniejszego, patriarchalnego niemal, gdzie można było chodzić po ulicy bez obawy wpadnięcia pod omnibus albo napaści ze strony szarlatanów. W takich chwilach Rogelja drżała o swoje szczęście i czyniła rozpaczliwe wysiłki, by mu przywrócić równowagę, co jej się wreszcie udawało. Gdy napad taki mijał, Vilches sam śmiał się z siebie i głosił, że Paryż jest mózgiem świata i że tylko w Paryżu tętni prawdziwe życie intelektualne.

Jednakowoż w ostatnich czasach wspomnienie ojczyzny nawiedzało go coraz częściej. Niekiedy po obiedzie opowiadał z ożywieniem o parku Retiro, o alei Castellane, o balach kostjumowych w teatrze Królewskim; wspominał wielki tydzień w Sewilli, ogrody Walencji, gdzie spędził wiele chwil szczęśliwych; opisywał polowania w Villaba. Rogelja słuchała, nie odzywała się ani słowem, lecz smuciła się, myśląc ze strachem o powrocie do Hiszpanji.



Zdarzyło się, że podczas uroczystego otwarcia jednego z „Domów macierzyństwa“ Vilches miał sposobność zobaczyć cesarzową Eugenję, naszą rodaczkę<sup>1)</sup>, i zamienić z nią słów parę. Założycielem i dyrektorem owej instytucji był słynny ginekolog, który cenił go wysoce. Gdy cesarzowa zwiedzała rozmaite sale w otoczeniu dygnitarzy dworskich i lekarzy, dyrektor, który towarzyszył monarchini, zwrócił jej uwagę, że wśród doktorów znajduje się bardzo zasłużony lekarz, Hiszpan.

— Hiszpan? — zapytała, zatrzymując się. Dyrektor zrozumiał, że chce go poznać, i gestem przywołał Vilchesa. Ten, zdziwiony, zbliżył się do cesarzowej, która zwróciła się do niego w narzeczu kastylskiem:

— Jestem szczęśliwa, doktorze, że mam rodaka, który przynosi zaszczyt ojczyźnie, sądząc z tego, co mi mówił pan dyrektor.

— Najjaśniejsza pani, dyrektor tego zakładu dał mi mnie zawsze względami ponad moje zasługi — wyjąkał Vilches zmieszany.

— Słyszę, że napisał pan znakomitą pracę „O higienie matek“.

— Czy wasza cesarska mość pozwoli ją sobie ofiarować?

— Z największą przyjemnością.

Z temi słowy podała mu rękę, którą Vilches ucałował z czcią głęboką. Cesarzowa odeszła dalej, a doktor powrócił do swojej grupy, witany spojrzeniami pełnemi zaciekawienia i zazdrości.

Tegoż dnia Vilches odniósł egzemplarz swojej pracy do najznakomitszego w Paryżu introligatora, który przyozdobił okładkę w godło cesarskie. Na pierwszej stronicy wypisał uroczystą dedykację, poczem złożył w pałacu prośbę o audjencję.

---

<sup>1)</sup> Cesarzowa Eugenia, małżonka Napoleona III.

O wyznaczonej w parę dni potem porze stawił się w Tuilerjach. Przeprowadzony przez kilka salonów dotarł w towarzystwie dyżurnego szambelana do przedsionka komnaty cesarzowej. Czekало tam kilka osób, którym udzielono posłuchania. Szambelan poprosił go, by spoczął, a sam zniknął w przyległym pokoju. Po paru minutach wyszedł i wezwał go głośno, poczem Vilches przeszedł do salonu, gdzie czekała nań dama dworu, mocno wymalowana staruszka, która dygnęła przed nim i w milczeniu zaprowadziła go do pokoju cesarzowej. Uniosła portjerę i zaprosiła, by wszedł.

Cesarzowa siedziała, trzymając w ręku książkę. Ubrana jak zwykle z wyszukaną prostotą, miała na szyi charakterystyczną wąziutką aksamitkę. Jej szczególna uroda i bez wytwornego stroju wzbudzała podziw powszechny.

Przyjęła go z ujmującą zyczliwością i zaprosiła, by usiadł.

— Mogę panu poświęcić zaledwie kilka minut, bo mam dziś wiele audjencyj — rzekła po hiszpańsku.

Vilches ofiarował jej przyniesioną książkę, zapewniając przytem skromnie, że praca nie posiada żadnej większej wartości. Cesarzowa przerzuciła ją z zaciekawieniem, poczem położyła przy sobie na stoliku, obiecując, że przeczyta ją niebawem, podziękowała doktorowi i zadała mu wiele pytań. Dowiedziawszy się, że pochodzi z Madrytu i że tam spędził młodość, poczęła mówić o stolicy ze szczerem wzruszeniem.

— Od jak dawna mieszka pan w Paryżu?

— Od lat pięciu, najjaśniejsza pani.

— Czy ma pan zamiar powrócić tam rychło?

— Nie sędzę. Czuję się we Francji doskonale.

— A ja, choć sama opuściłam ojczyznę, nie lubię ekspatryjantów.

Milczała chwilę zamyślona, a potem, patrząc mu poważnie w oczy, dodała:

— Zdobył pan tutaj wysoką wiedzę, powinien pan ją wyzyskać: Hiszpanja potrzebuje ludzi uczonych i zasługuje na to, aby uczeni dodali jej blasku... Zresztą, szczerze mówiąc, tutaj zniknie pan w tłumie wybitnych lekarzy, którzy zajęli najwyższe stanowiska; w Madrycie będzie pan jeśli nie pierwszym, to jednym z pierwszych.

Zamienili następnie jeszcze słów kilka. Cesarzowa uznała audjencję za skończoną, i Vilches wyszedł z jej komnaty oczarowany, z sercem przepelnionem wdzięcznością, jak zresztą wszyscy jej rodacy, którzy mieli sposobność zbliżyć się do tej pięknej damy hiszpańskiej na tronie francuskim. Wróciwszy do domu pod wpływem miłego podniecenia, w entuzjastycznych słowach opowiedział o wszystkim Rogelji. Zadowolony z siebie nie dostrzegł chmury smutku w oczach towarzyszki.

Choć nie przyznawał tego otwarcie, jednak w głębi duszy postanowił wrócić do Hiszpanji. Wkrótce oznajmił Rogelji tę decyzję: ona milcząc pochyliła głowę. Była zrezygnowana. Miała przeczucie, że to koniec jej szczęścia. Trwało ono ledwie pięć lat. Vilches zauważył jej smutek i usiłował go rozproszyc. Dowodził jej, że konieczność nakazuje, aby wyzyskał swe studja. Mówił o świetnych wynikach, jakich się ze swej pracy spodziewa.

Założy w Madrycie klinikę; rozgłos, który zyskały mu prace naukowe, ściągnie do lecznicy wiele pacjentek. Młoda kobieta milczała. Raz tylko odważyła się powiedzieć:

— Ale jeżeli masz dosyć pieniędzy, aby żyć w dostatku, to naco chcesz ponosić tyle trudów, by zarobić więcej?

— Nietylko pieniądze nęcą mnie, Rogeljo, ale rozgłos, sława, a także pragnienie służenia ojczyźnie

przez udzielenie jej najnowszych zdobyczy wiedzy lekarskiej.

W parę dni po audjencji u cesarzowej Vilches otrzymał z Tuileryj list zaopatrzony w pieczęcie. Była to nominacja na oficera Legji Honorowej wraz z własnoręcznym biletem cesarzowej, zawierającym kilka słów pochwały. Pochlebiło mu to tak bardzo, że oświadczył Rogelji z uniesieniem:

— Gdybym nawet nie miał żadnej chęci jechać do Hiszpanji, życzenie cesarzowej wystarczyłoby, aby mnie do tego skłonić.

Nie mówiono już o tem więcej. Poczęto czynić przygotowania do podróży. Vilches pojechał na przód do Niemiec, gdzie spędził kilka dni na zakupowaniu narzędzi chirurgicznych. Spakował książki, których miał teraz wiele, i przesłał je do Madrytu. Dzień wyjazdu został oznaczony. W przeddzień wydał przyjęcie w hotelu Continental dla pożegnania znajomych, a zarazem dla uczczenia swej promocji na oficera Legji Honorowej.

## II.

Doktór Vilches i Rogelja z synem są już w Madrycie. Wzięli ze sobą z Paryża Stefanę, najwerniejszą służącą. Była brzydka i zawsze w kwaśnym humorze, ale Joselin był do niej niezmiernie przywiązany.

Zatrzymali się tymczasowo w hotelu na Puerta del Sol<sup>1)</sup>. Vilches rozpoczął niezwłocznie starania, aby znaleźć odpowiedni lokal. Jeden z kolegów polecił mu pałac księcia Monterraigoso; dom był wprawdzie tylko jednopiętrowy, lecz właściciel wynajmował cały parter. Według otrzymanych informacyj mieszkanie to było od kilku dni wolne. Vilches

---

<sup>1)</sup> Główny plac w Madrycie, punkt, w którym zbiegają się wszystkie wielkie ulice.

obejrzał dom, który zzewnątrz podobał mu się bardzo. Był duży i staroświecki; przed wytwornem wejściem wspaniały portjer prezentował jeszcze wspanialsze czarne bokobrody. Doktor zagadnął go, czy parter jest istotnie do wynajęcia. Portjer długo i statecznie gładził bokobrody, zanim raczył odrzec: „Zdaje się, że tak“. Z ilu pokoi składa się mieszkanie? — Portjerowi „zdawało się, że z dwunastu“. Czy można je zobaczyć? — Portjerowi „zdawało się, że tak“. Dał mu klucz. Mieszkanie podobało się Vilchesowi bardzo: było obszerne, zbyt kownie urządzone i widne, gdyż dziedziniec wewnętrzny był wyjątkowo rozległy. Wziął adres administratora księcia i udał się do niego niezwłocznie. Ów administrator był to człowiek młody jeszcze, skoligacony z arystokracją; ojciec jego zmarł niedawno; był całkowicie zrujnowany, toteż młodzieniec wraz z siostrzyczką pozostał bez środków do życia. Księżę Monterraigoso, przyjaciel i towarzysz zabaw ich ojca, zajął się sierotami. Ofiarował młodemu Pepito stanowisko jednego ze swych administratorów, miał ich bowiem kilku w różnych prowincjach Hiszpanji.

Dom, w którym mieszkał Pepito Guevara przy ulicy San Pedro Martir, należał do księcia. Była to budowla stara i nader niepozorna. Po ciemnych i wąskich schodach Vilches wszedł na drugie piętro i zadzwonił. Otworzyła mu elegancko ubrana służąca w rurkowanym czepeczku. Zdziwiło go to nieco. W ciasnym przedpokoju stały jakieś niekształtne meble, na ścianach wisiała broń i uprzęż na konie. Na podłodze leżał piękny ongiś dywan, dziś stary i zniszczony, przeświecający sznurkiem osnowy. Vilches zapytał o pana Guevarę. Służąca zażądała biletu wizytowego, poczem zostawiła gościa w przedpokoju. Po długiej chwili wprowadziła go przez ciemny korytarz do przybytku młodego administratora. Vilches zauważył, że w korytarzu, podobnie

jak w przedpokoju, ściany zawieszone były uprzężą: siodła, strzemiona, uzdy, szpicruty. Pokój, do którego wprowadziła go służąca, był niewielki, obity zbyt kowną jedwabną materją, pełen złoconych mebli, wyłożony wspaniałemi pluszowemi dywanami: wszystko to jednak było tak zniszczone, spłowiałe, a zarazem tak stłoczone, że wywierało wrażenie jakiegoś składu antyków. Były to zapewne szczątki dawnej świetności. Z zachowania służącej wywnioskował, że pod pozorami dostatku osłania się starannie biedę. W salonie również wisiały na ścianie jako ozdoby dwie nabijane srebrem uprzęże oraz szpicruty o złotych gąłkach: świadczyły one tak o upodobaniach jakoteż o zamożności zmarłego Guevary.

Stajnia jego była istotnie jedną z najpierwszych w Madrycie; ona właśnie przyczyniła się w głównej mierze do jego ruiny. Pepito zdołał wyrwać ze szponów wierzcicieli owe kosztowne uprzęże i dzięki nim w chwilach rozgoryczenia mógł wywoływać przed oczyma wyobraźni czcigodne cienie koni, które tyle zaszczytu przyniosły jego rodzinie.

Vilches czekał dłuższą chwilę w salonie. Wreszcie ukazał się szlachetny administrator. Był to chłopiec wątły, rachityczny, w wytwornem, lecz bardzo zniszczonem ubraniu. Wszystko w tym domu było jakieś zmięte, spłowiałe, wszystko świadczyło o minionym przepychu i świetności.

Poważnie dał mu znak, by zajął miejsce w jednym z owych królewskich złoconych foteli, poczem zasiadłszy w drugim i ciągnąc sylaby, jakgdyby przesuwiał ziarna perłowego naszyjnika, zapytał:

— Czy wolno wiedzieć, czemu zawdzięczam zaszczyt pańskich odwiedzin?

Stary Guevara pozostawił w spadku synowi prócz starych foteli, starych obić i starych uprzęży, coś o wiele jeszcze cenniejszego: nudę, bezgraniczną, iście arystokratyczną nudę.



— Słyszałem, że ksiązę Monterraigoso wynajmuje apartament na dole. Zwracam się do pana jako do administratora domu, aby dowiedzieć się o warunkach, na jakich mógłbym tam zamieszkać.

Młody administrator spojrział na niego ze znużoną miną, potem odwrócił głowę, utkwiał wzrok w jednej ze srebrnych uprząży, jakgdyby szukał w niej natchnienia, wreszcie po długim milczeniu wypowiedział godne uwagi słowa:

— Istotnie posiada pan ściśle informacje. Ksiązę wynajmuje parter swojego pałacu, nie dlatego jednak, by tego potrzebował, lecz że będąc samotnym, lubi mieć sąsiada.

Nie było to zupełnie prawdziwe. Ksiązę Monterraigoso, który posiadał znaczne dochody, wydawał wszystko, co miał, a nawet więcej, na hulanki.

Po dłuższej przerwie administrator przemówił znowu:

— Nie zwrócono jednak panu zapewne uwagi na to, że ksiązę skłonny jest wynająć mieszkanie w swoim domu tylko osobom dystyngowanym.

Znudzony młodzieniec ze spojrzenia Vilchesa wywnioskował, że popełnił nietakt.

— Chciałem przez to powiedzieć, że ksiązę Monterraigoso, jako jeden z czołowych przedstawicieli szlachty hiszpańskiej, wołałby mieć w swoim pałacu osobę, która bezpośrednio lub pośrednio należy do arystokracji. Właśnie lokator, który opuścił mieszkanie, don Jose Maria Teran, jest bratem hrabiego de la Madriguera...

Vilches miał szczerą chęć poczęstować pięścią wytwornego i przeżytego młodzieńca.

— Sądziłem — rzekł, wstając z fotela — że nato, aby wynająć mieszkanie, wystarczy być przyzwoitym człowiekiem i mieć pieniądze na zapłacenie dzierżawy.

— Przepraszam. Nie miałem zamiaru urazić pana. Z pańskiego biletu wizytowego dowiedziałem

się, że pan jest lekarzem... Medycyna jest zawodem wielce godnym szacunku... Ale rozumie pan, że arystokracja — to co innego... Błękitna krew...

— Przepraszam, że przerwę... Chciałbym z całej duszy poznać tę krew. Dotychczas mój lancet trafiał wyłącznie na nieczystą krew czerwoną i żałuję szczerze, że tracę okazję odkrycia innej. Żegnam pana.

Gdy Vilches opowiedział tę scenę koledze, który wskazał mu mieszkanie w domu księcia, obaj uśmiechali się serdecznie.

— Wiesz, cobym zrobił na twojem miejscu? Poszedłbym wprost do tego człowieka o błękitnej krwi. Gdy mu pokażesz liścik od cesarzowej Eugenji, bądź pewien, że wynajmie ci mieszkanie.

Zaczęli śmiać się znowu, ale projekt przypadł Vilchesowi do serca. Udał się więc niezwłocznie do pałacu książęcego i zetknął się z wyniosłym portjerem o jedwabistych bokobrodach.

— Czy mógłbym się dowiedzieć, o której godzinie można zastać księcia?

— Zdaje mi się, że najlepszą godziną będzie godzina fryzjera.

— Mój przyjacielu, nie jestem fryzjerem i nie pozwolę nikomu żartować z siebie.

Portjer popatrzył na niego zdziwiony.

— Nie powiedziałem, że pan jest fryzjerem. Mówię tylko, że najpewniej zastać można księcia wtedy, kiedy fryzjer od niego wyjdzie.

— A któraż to godzina?

— Zdaje mi się, że niebawem powinien wyjść, bo już dość długo bawi.

Vilches przeszedł się po ulicach, aby doczekać właściwej pory. Gdy wrócił, fryzjer właśnie był wyszedł. Doktor wszedł więc po szerokich, wspaniałych, wyłożonych dywanem schodach. Przy drzwiach pierwszego piętra natknął się na lokaja we wspaniałej liberji, czerwonej kamizelce i białym krawacie;

zapytał go, czy można zobaczyć się z księciem. Czerwona kamizelka zwróciła się do innej znów podobnej kamizelki, która przypatrzawszy się gościowi z impertynencką ciekawością, zażądała biletu wizytowego i znikła, trzymając go w rękę.

Dom książęcy był naprawdę wspaniały. Wysokie sufity z kasetonami, kosztowne dywany i przepiękne obicia, wielkie obrazy. Widać tu było prawdziwe bogactwo.

Czerwona kamizelka powróciła niebawem, oświadczając, że doktor może wejść. Lokaj zatrzymał się przed jakimiś drzwiami, otworzył je, i Vilches znalazł się w prześlicznym gabinecie, urządzonym z wytworną kokieterją. Książę Monterraigoso, który siedział na niskim foteliku, powstał uprzejmie. Wyglądał zaledwie na lat czterdzieści, choć liczył blisko sześćdziesiąt. Sprawcą tego dziwu był fryzjer; spędzał on codzień u księcia około dwóch godzin: malował go, pomadował, lakierował, Bóg wie, co za tajemnicze wykonywał na nim zabiegi...

Don Krzysztof de Rojas y Diaz de Segura, książę Monterraigoso, trzykrotny markiz i dwukrotny hrabia, czynił w pięćdziesiątym ósmym roku życia to samo, co w roku osiemnastym, i co czyniłby zapewne i w roku osiemdziesiątym ósmym, gdyby Bóg pozwolił mu dożyć tego wieku. Spał do południa, ubierał się do drugiej; spożywał śniadanie, siadał do powozu lub na konia, udawał się na przejażdżkę, odwiedzał znajomych, wracał do domu, wkładał frak, na którym pysznił się haftowany czerwony krzyż Santiago, szedł na obiad do jakiegoś innego księcia lub markiza, następnie — do teatru; wieczorem o jedenastej do klubu, a o północy — niewiadomo już dokąd. Wskutek tego trybu życia skoncentrowanego i metodycznego doszedł do głębokiego doświadczenia w dziedzinie uciech światowych; mówił, że w tym zakresie był arcybiegłym erudyta: zna-

jomi opowiadali sobie o nim na ucho jakieś plugawe i wyuzdane historie. Mimo to dzięki wielkiemu nazwisku, fortunie i dumie wyniosłej zażywał szacunku w kołach arystokracji stołecznej.

Ożenił się późno. Miał syna, który zmarł niedawno po ukończeniu szkoły artyleryjskiej, oraz córkę, której ustąpił jeden ze swych tytułów. Żonę stracił, gdy dziewczynka liczyła zaledwie lat dziewięć. Bez względu na swój stan cywilny wiódł zawsze jednakowe, niezmiennie beztroskie życie. Wysłał córkę na naukę do sercanek. Gdy skończyła lat osiemnaście, uznał, że musi sprowadzić ją do domu, ale wkrótce potem panna ta piękna, bogata, margrabianka de Santa Clotilde, porzuciła świat, gdzie miała świetnie zabłysnąć, i przywdziała w Salamance habit karmelitanek bosych. Wypadek ten wywarł silne wrażenie w kołach arystokratycznych i zwrócił powszechną uwagę. Kronikarze światowi poświęcili tej sprawie liczne i wyczerpujące komentarze. Było to na parę miesięcy przed wizytą Vilchesa u księcia.

Vilches siadł naprzeciwko księcia i wyluszczył krótko cel swoich odwiedzin. Książę słuchał go uprzejmie, lecz z zamkniętymi oczyma.

— Jest pan lekarzem, nieprawdaż?

— Tak, panie, jestem lekarzem.

— Bardzo... bardzo... bardzo...

Książę, który otworzył oczy, aby sformułować pytanie, zamknął je znowu. Po chwili zapytał:

— Lekarzem, nieprawdaż?

— Tak, panie, lekarzem — odparł Vilches nieco stropiony.

— Bardzo... bardzo... bardzo...

Nie otwierał oczu. Vilches sądził, że zasnął. Niebawem jednak starzec zagadnął:

— Pan praktykuje w Madrycie?

— Mam zamiar. Przed paru dniami przybyłem z Paryża.

— Ach! z Paryża.

Książę otworzył oczy.

— Studjowałem w Madrycie, ale później wyjechałem do Paryża, gdzie mieszkałem przez pięć lat.

— Ach! Paryż... Piękne miasto! Przebywałem tam niejednokrotnie. Niema na świecie przyjemniejszego miasta, ale panuje tam wielkie zepsucie... wielkie zepsucie... wielkie zepsucie...

Książę znowu zamknął oczy. Vilches nie mógł powstrzymać uśmiechu, przypominając sobie, co mu opowiadano o „surowości“ obyczajów księcia. Równocześnie zauważył ze zdziwieniem, że sposób mówienia księcia, to cedzenie słówek przypominało ogromnie administratora Guevarę. Domyślił się, że młodzieniec naśladował niewolniczo swego pracodawcę: tylko że arystokratyczny spleen księcia był szczerzy, a znudzenie Pepita było tylko manierą.

Vilches, zgodnie z radą kolegi, postanowił zadać odrazu cios ostateczny.

— Osobiście czułem się znakomicie w Paryżu; przyjechałem do Madrytu wyłącznie na życzenie cesarzowej.

Książę otworzył oczy.

— Jakto cesarzowej? cesarzowej Eugenji?

— Tak, panie.

— Mówił pan z nią?

— Miałem ten zaszczyt. Niedawno napisała do mnie własnoręcznie list z okazji wręczenia mi orderu Legji Honorowej. Muszę go jeszcze mieć w portfelu.

Wyjął list i podał go księciu, który go wziął i obejrzał uważnie.

— Tak, tak... To jej pismo... Przypominam je sobie. Ach! Eugenia de Montijo! Ile wspomnień! Znałem ją, gdy była dzieckiem, a gdy była panną, tańczyłem z nią często. To kobieta niezwykła, postać szlachetna i wielka. Podczas pewnego przyjęcia, jakich niezliczone mnóstwo wydawała jej matka

w swym pałacu przy placu del Angel, powiedziałem jej żartem: „Eugenjo, powinnaś być królową“. Były to słowa prorocze, nieprawdaż?

Książę był tak zadowolony ze swego daru proroczego, że nie zamknął już oczu. Vilches pomyślał z radością, że niebawem będzie miał klucz od partelowego mieszkania w kieszeni.

— Czy pan żonaty?

Vilches, zaskoczony znieenacka, odpowiedział po pewnem wahaniu, którego książę nie zauważył:

— Tak, panie.

— Ma pan rodzinę?

— Tylko synka; skończył niedawno trzy lata.

Książę pomyślał chwilę.

— Dobrze. Chciałem wynająć to mieszkanie tylko znajomemu, ale skoro pan jesteś znajomym cesarzowej Eugenji, którą tak bardzo kocham, przeto nie widzę żadnej przeszkody, aby je panu odstąpić.

Książę, mniej brutalny niż jego administrator, nie wspomniał o przynależności do wyższych sfer towarzyskich. Potem mówił dalej:

— Mieszkam sam, i aczkolwiek posiadam liczną służbę, nie przeszkodzi mi sąsiad, zwłaszcza tak miły jak pan... Zresztą — dodał z uśmiechem — doktora i księdza dobrze mieć niedaleko.

— Jestem księciu bardzo wdzięczny. Wiedziałem, że książę jest samotny, ponieważ jedyna córka księcia przed paru miesiącami wstąpiła do klasztoru.

— Tak, tak, moja córka Krystyna jest karmelitanką bosą w Salamance; nie zdołałem odwiedzić jej od powołania. To anielskie stworzenie, które od dzieciństwa dążyło do nieba. Po wyjściu z klasztoru sercanek, gdzie się wychowywała, przepędziła u mnie parę miesięcy. Starałem się dostarczyć jej rozrywek, prowadziłem do teatrów, na bale i przyjęcia, miałem zamiar wydać ją za mąż; jednakże pomimo dobrych partyj niesposób było odwiedzić ją od powziętego za-



miaru. Był to naprawdę jakiś głos z nieba. O! niewątpliwie. Religja działa cuda. Życie byłoby bardzo smutne, gdyby go religja nie rozjaśniała. Ach, religja! religja!

Ksiązę wzniósł oczy, poczem zamknął je natychmiast. Vilches pomyślał, iż zasnął słodko w objęciach religji. Musiał jednak przerwać ów błogostan.

— Nie chciałbym księciu dłużej przeszkadzać — rzekł wstając. — Proszę tylko o łaskawe wyznaczenie daty podpisania kontraktu.

Ksiązę wstał również.

— Guevara przychodzi do mnie codzień. Dziś rozmówię się z nim, a jutro będzie pan mógł pójść do niego i zakończyć sprawę.

Zadzwonił. Zjawił się lokaj. Ksiązę podał rękę doktorowi, który wyszedł bardzo zadowolony.

Opowiedział przebieg rozmowy koledze, powtarzając słowa księcia o powołaniu jego córki. Młody lekarz rzekł, śmiejąc się:

— Oczywiście! Jego córka była szczęśliwa, wstępując do klasztoru, ale wierz mi, że i on również.

### III.

Nazajutrz Vilches udał się do administratora i znowu miał przyjemność zbliżyć się do owej cennej uprząży, która go tak bardzo zainteresowała. Dekoracja zewnętrzna była ta sama, lecz duchowa uległa całkowitej zmianie. Pepito Guevara, choć niewiele utracił ze swego wytwornego znudzenia, przyjął go teraz z wyszukaną grzecznością i zachował się wobec niego tak, jakgdyby przez noc krew doktora nagle zblękitniała.

Umowa była już gotowa, podpisano ją też niezwłocznie. Nowy lokator miał prawo zająć mieszkanie po dokonaniu paru drobnych napraw.

— Pan był u księcia, nieprawdaż? — zapytał Guevara z religijnem niemal przejęciem.

— Tak, panie, miałem tę przyjemność.

— Co za podziwu godny człowiek!

— Niewątpliwie.

— Co za elegancja!

— Nadzwyczajna.

— Co za dystynkcja!

— Zdumiewająca.

— Jest on w Madrycie pierwowzorem elegancji. Jego kaprys staje się modą. Gdy zacznie nosić kapelusz z szerokiem wywiniętem rondem, wszyscy eleganci w stolicy czynią to samo. On stworzył modę czerwonych skarpetek i spodni à la zuawy. Pewnego dnia wpadł na pomysł, aby zamiast krawata zawiązać na szyi białą fularową chustkę i spiąć ją szpilką z szafirem. Niebawem można było zobaczyć wszędzie białe fularowe chustki spięte szafirami. Kiedyindziej zjawił się na Castellana konno, w dużym filcowym kapeluszu, bez krawata i w koszuli ze sztywnym gorsem, jak toreadorzy. Może pan sobie wyobrazić zdziwienie eleganckiego świata!... Jego garderoba mieści się w ogromnym salonie; przypuszczam, że ma inne trzewiki i inny kapelusz na każdy dzień roku. W tych dniach jego pokojowy powiedział mi, że pan jego, wybierając się na bal do Fernanda Nunez, przymierzył i odrzucił trzydzieści sześć koszul, ponieważ wydawało mu się, iż nie są dobrze wyprasowane. Może pan sobie wyobrazić, ile ich mieć musi.

Pepito Guevara wygłosił tę przemowę z niewiarogodnym zapalem; zapomniał o swem znudzeniu. Gdy doszedł do szczegółu, dotyczącego koszul, głos mu zadrgał i wzniósł oczy w górę, jak księżę dnia poprzedniego, kiedy mówił o religji.

Niebawem doktor Vilches zainstalował się w nowem mieszkaniu. Urządził je i ozdobił z niezwykle

przepychem. W Paryżu zdołał zaoszczędzić część swojej renty; kwoty tej użył teraz, aby umeblować mieszkanie po królewsku. W krótkim czasie poczęli napływać pacjenci. Szczęśliwie operował pewną hrabinę, krewną księcia, co zwróciło nań uwagę kół arystokratycznych.

A Rogelja? Któżby w tej wielkiej damie, tak wytwornej i wykształconej, o wyniosłej postawie i dystygowanym obejściu poznał skromną robotnicę z kopalni w Langreo? Tymczasem Rogelja obawiała się, że zostanie poznana. Wychodziła z domu rzadko i nie ukazywała się nigdy w miejscach publicznych. Vilchesowi nie udało się namówić jej na pójście do teatru. Zrana wyjeżdżała powozem z synkiem i ze służącą w okolice Madrytu, do Mondo<sup>1)</sup>, do Retiro; siadała w jakimś samotnym zakątku z książką w ręku i spędzała w ten sposób długie godziny, patrząc, jak Joselin bawił się z niańką.

Odkąd dotknęła stopą ziemi hiszpańskiej, nie mogła pozbyć się niepokoju. W Paryżu zdołała niemal zapomnieć o swem fałszywym położeniu; uważała się za żonę Vilchesa. Ale znalazłszy się w Hiszpanji, ujrzała wyraźnie dzielącą ich przepaść; uprzytomniła sobie, że jest żoną galernika. Ta myśl napawała ją goryczą i upokorzeniem; czuła się tak niešťęśliwą, że nieraz płakała w ukryciu. Jakże błogie były owe lata w Paryżu. Jakże serdecznie wspominała wykłady w Sorbonie, powinszowania profesorów, życzenia kolegów, szacunek, jaki budziła u wszystkich pilnością i inteligencją! Wspominała niedziele, spędzane w Montmorency, śniadania w restauracji, wiśnie zjadane w lesie... A przejażdżki łódką po małym jezioru w Enghien, ranki w wytwornym parku Monceau, gdy malec spał spokojnie

---

<sup>1)</sup> Park, położony na północ od stolicy, mniej uczęszczany i dzikszy niż park Retiro.

w ślicznym wózku, który sama popychała, albo gdy zasiadłszy na żelaznem krzeselku patrzyła na dzieci, bawiące się w piasku...

Madryt napawał ją lękiem. Twarze przechodniów wydawały się jej groźne i wrogie. Mroczna i wilgotna dolina Langreo, nędzne życie, nieszczęścia, jakie tam przeżyła zaledwie pięć lat temu, wszystko, o czem już p r a w i e zapomniała, stawało jej wyraźnie przed oczyma. Tłumiła łzy i czyniła rozpaczliwe wysiłki, aby Vilches nie zauważył jej smutku. Znała wrażliwe usposobienie Fernanda, była pewna jego miłości i obawiała się, że unieszczęśliwi go, gdy mu wyzna swój smutek.

Vilches natomiast był zupełnie szczęśliwy. Czuł się w Madrycie jak w raju; łączyło go ze stolicą wiele miłych wspomnień i dawnych przyjaciół, otaczał go szacunek, cieszyło uznanie; uczęszczał znowu do kawiarni, gdzie bywał za czasów pierwszej młodości, próbował znowu klasycznych potraw hiszpańskich, jak *cocido*<sup>1)</sup>, *gazpacho*<sup>2)</sup>, *paella*<sup>3)</sup> i t. p. I nie tylko chwalił wszystko, co hiszpańskie, lecz pod wpływem podnieconej wyobraźni począł ośmieszać wszystko, co obce. Rogelja słuchała zdziwiona i smutna, nie śmiąc mu przeczyć.

Pewnego wieczora — już po zamieszkaniu w pałacu — doktor czytał w swoim gabinecie, gdy Stefanka oznajmiła, że lokaj księcia pragnie z nim pomówić. Kazał go wpuścić. Służący, imieniem Jan, którego jednak wszyscy począwszy od jego pana na-

<sup>1)</sup> *Cocido*, rodzaj potrawy z wołowiny, baraniny, kury, szynki, korzennej kielbasy, zwanej chorizo, jarzyn i t. d. Jest to narodowa potrawa hiszpańska.

<sup>2)</sup> Sałata z pomidorów, czosnku, oliwy, octu i chleba, jadana zwłaszcza w Andaluzji.

<sup>3)</sup> Potrawa, pochodząca z Walencji, złożona z ryżu, ryby, drobiu, ślimaków, korzeni i t. d.

zywali Jasiem, był mężczyzną ogromnego wzrostu, olbrzymiej tuszy i siły. Wszedłszy do gabinetu, rozejrzał się podejrzliwie na wszystkie strony, milczał czas dłuższy, wreszcie zbadawszy, czy drzwi są dobrze zamknięte, zbliżył się na palcach do doktora, który śledził go zdziwionym wzrokiem.

— Panie doktorze, tam u nas na górze wydarzyła się mała nieprzyjemność — rzekł pocichu w wielkiej tajemnicy.

— Co mówisz? — zapytał Vilches, nie rozumiejąc, co to ma znaczyć.

— Lulu zraniła księcia pana w głowę.

— Pies ukąsił księcia w głowę?

— Nie pies. Lulu.

— Któż to jest?

— Panna Lulu... przyjaciółka księcia pana... Tancerka z teatru Królewskiego.

— Ach tak! Czy bardzo go uderzyła?

— Zraniła widelcem, ale zdaje mi się, że choć wiele krwi uszło, rana nie jest ciężka. Jeszcze nigdy Lulu nie obeszła się z nim tak brutalnie.

— Co chcesz przez to powiedzieć? Czyż ona go bije? — zapytał Vilches zaciekawiony i zdumiony.

— Czy go bije? Jeszcze jak! Czasami da mu w twarz tak, że księżę o mało nie oszaleje.

— I księżę jej nie odda? — spytał doktor, śmiejąc się.

— Nic podobnego. Przeciwnie. Przeprasza ją potem i całuje po rękach. — A zniżywszy głos, dodał z uśmiechem:

— Concha, pokojówka, która uprząta pokój i ściele łóżko, mówi, że nawet czasem bije go rzemieniem... ale ja w to nie wierzę.

— Widać, że ta panienka jest źle wychowana.

— To djabeł wcielony. Poprzednia, panna Titi, którą wyrzucił rok temu, była o wiele łagodniejsza, ale biedaczka utyla zanadto, i oczywiście księżę pan ją porzucił.

— Jakto, oczywiście?

— Tak, księżę pan nie lubi grubych. Zawsze wybiera szczupłe, a gdy utyją — dowidzenia! Raz ośmieliłem się powiedzieć: „Jakże nie mają tyć, gdy wasza ekscelencja pasie je jak prosięta?...“ I niech pan nie myśli, że je puszcza z próżnemi rękoma. Titi dał ni mniej ni więcej tylko dwadzieścia tysięcy pesetów. Według mnie wystarczyłoby zupełnie dwadzieścia tysięcy reali. No, czy nie?

— Naturalnie, zwłaszcza, jeśli utyla, jak powiadasz.

— Wyglądała jak oselka masła.

— Widać, że księżę nie lubi masła: woli kotlet z kością.

— Ma pan słuszość — przyznał Jaś, uśmiechając się dyskretnie. — Ta Lulu to napewno nie utyje. Jest coraz chudsza. Ja myślę, że złość ją zjada. To ziółko! Dlatego księżę pan ją trzyma. Żadna nie była tak długo.

— Chyba rozstał się z nią teraz po tem zajściu.

— Tak, panie. Polecil mi ją wyrzucić. Coprawda dziewczyna wyzywała i klęła, że strach! Dorożkarzby się zachłysnął.

— Więc chodźmy — rzekł Vilches, wstając. — Przypuszczam bowiem, że po mnie przyszedłeś.

— Tak, panie. Ponieważ doktor Velasco, lekarz księcia pana, mieszka daleko, księżę pan kazał prosić, czyby pan nie był tak dobry... Niech pan nie wspomina o Lulu ani o widelcu. Powie, że spadła mu na głowę lampa bronzowa, a pan uda, że mu wierzy.

— Chodźmy.

Doktor udał się do mieszkania księcia; zastał go w łóżku z owiazaną głową. Magnat, czyniąc wysilek, aby się uśmiechnąć, rzekł zmienionym głosem:

— Dziękuję bardzo, doktorze. Niech pan zechce łaskawie zbadać moją ranę.



— Co się stało?

— Spadł świecznik z sufitu. Na szczęście z niezbyt znacznej wysokości. Jakiś niedbały służący musiał go źle zawiesić po czyszczeniu. Jaś obmył mi ranę wodą z arniką. Czy dobrze zrobił?

Był bardzo podniecony. Mówił urywkowo, tracając całkowicie charakterystyczną uroczystość i wyniosłość stylu. Wiadoma rzecz, iż nic nie wytrąca człowieka tak łatwo z równowagi, jak porządne uderzenie pałą w głowę.

Doktór Vilches obejrzał ranę i udał, że wierzy w bajkę o świeczniku. Obmył skaleczenie płynem, po który posłał do domu, nałożył kompres i bandaż i odszedł, zaleciwszy księciu napój na nerwy.

Nazajutrz Vilches uważał za swój obowiązek odwiedzić chorego. Księżę leżał jeszcze w łóżku, lecz był już spokojny, a nawet uśmiechnięty; odzyskał zwykły głos powolny, poważny, dźwięczny i uroczysty. Na ten widok Vilches pozwolił sobie na żart niewinny.

— Czy księżę wie, że sprawił mi zawód?

— Dlaczego?

— Ponieważ administrator zapewnił mnie, że księżę ma krew błękitną; tymczasem przekonałem się, że jest czerwona.

Księżę poruszył się niezadowolony.

— Pepito jest osioł!

— Jeżeli tak, to ma suto zaopatrzoną garderobę, bo w całym mieszkaniu pełno porozwieszanych siodeł.

— Doskonale! Doskonale!

Księżę uznał, iż żart jest dobry, i śmiał się serdecznie.

Wychodząc Vilches ujrzał w jednym z przyległych pokojów ładną pannę, dziecko jeszcze prawie, błękitnooką, z jasnymi jak złoto włosami, o dziewczęcym profilu i śnieżystej cerze.

— Kiedy przyjechała księżniczka? Nie wiedzieliśmy o tem — zagadnął Jasia, który otworzył mu drzwi na schody.

— Jaka księżniczka?

— Córką księcia, ta, co była w klasztorze.

Jaś roześmiał się dyskretnie.

— Pyszna ta pana księżniczka! Przecież to Lulu.

— Lulu?

— Tak, panie. Dziś rano, skoro świt, posłał mnie po nią.

— Ktoby to powiedział! — zawołał doktor, bezgranicznie zdziwiony. — Osóbka tak delikatna, taka eteryczna, jak aniołek...

— A jakże! Ładny aniołek!... O, margrabianka, to coś zgola innego! Ona — to tak! To anioł prawdziwy! Ale otrzymaliśmy od niej złe wiadomości. Miała w przyszłym miesiącu złożyć śluby, tymczasem będzie to, zdaje się, niemożliwe, bo niedobrze się czuje. Mnie się zdaje, że ona jest chora na płuca. Nie dziwiłbym się, gdyby nam ją w tych dniach odesłano.

#### IV.

Przepowiednia Jasia-olbrzyna sprawdziła się nibawem. Lokatorzy z parteru zauważyli, że któregoś rana, bardzo wcześnie, w mieszkaniu księcia zapanaował gwar i poruszenie. Stefanka weszła do pokoju pani, leżącej jeszcze w łóżku, i pocichu, aby nie zbudzić Joselina, rzekła:

— Panienka z góry wróciła do domu. Jaś widział ją na schodach i mówił, że jest ciężko chora.

— Idź do pana doktora (zawsze go tak nazywała) i powiedz o tem.

W tej chwili jednak w przedpokoju rozległ się gwałtowny dzwonek i wpadła druga służąca.

— Proszę pani, lokaj księcia prosił, aby pan doktor natychmiast przyszedł na górę. Panienska przyjechała z klasztoru i zasłabła.

— Stefanko, biegnij uprzedzić pana doktora.

Tymczasem sama wstała i ubrała się śpiesznie... Od czasu przybycia do Madrytu Vilches wstawał zawsze wcześniej niż ona, gdyż ciągle praca pochłaniała go nadmiernie; sypiał mało. W Paryżu bywało odwrotnie: ona właśnie, ogarnięta zapalem naukowym, zrywała się wcześniej z łóżka.

Doktor udał się na górę i powrócił dopiero po dobrym kwadransie. Rogelja zapytała niespokojnie:

— Co się stało?

— Nic wielkiego. Zwyczajne omdlenie, wywołane zmęczeniem na skutek podróży. Niepotrzebnie czyniła tyle hałasu dokoła tego biedactwa.

— Czy tak z nią źle?

— Niedobrze. Gdybyś widziała, jak jest interesująca! Wygląda, jak figurka z kości słoniowej. Uśmiech ma tak słodki i zarazem tak smutny, że mi się serce kraje.

— Sądzisz, że niema ratunku?

— Nie badałem jej, lecz przypuszczam, że jest to gruźlica silnie rozwinięta.

— Czy ojciec jej już wstał?

— Jej ojciec jeszcze się nie położył. Właśnie dopiero co wrócił — odrzekł Vilches z uśmiechem.

Rogelja poruszyła się gniewnie.

— Z kim przyjechała?

— Z dwiema zakonnicami, które zdaje się, dziś jeszcze wyjeżdżają.

Vilches odwiedził chorą popołudniu, ale ponieważ uprzedzono już lekarza domowego, doktora Velasco, Fernando przestał leczyć margrabiankę. Mimo to książę wezwał go ponownie.

— Moja córka — rzekł — chce koniecznie, aby pan ją leczył. Czy to możliwe?

— Owszem, o ile doktor Velasco będzie nadal kierował kuracją. Wiadomo księciu, że mam inną specjalność.

— Wiem, lecz obudził pan w mojej córce wielkie zaufanie... i we mnie również — dodał uprzejmie.

— To znaczy tylko tyle, że miałem zaszczyt podobać się księciu — odparł Vilches ze skromnym uśmiechem.

Odwiedzał więc nadal księżniczkę, a w kilka dni potem, wróciwszy od chorej, rzekł do Rogelji:

— Wiesz, o co mnie prosiła? Oto abyś ty do niej przyszła: chciałaby cię poznać.

Rogelja zmieszała się; na jej twarzy odmalował się wyraz żywego niezadowolenia. Vilches zauważył to, spoważniał również i szepnął:

— Tak, rozumiem, rozumiem.

Nie poruszali już więcej tego tematu. Lecz po dwóch dniach zwrócił się znowu do Rogelji.

— Chora nalega. Jakiś uporczywy kaprys... nie wiem, co jej powiedzieć.

Rogelja milczała chwilę. Potem odrzekła poważnie:

— Dobrze, pójdę.

— Służba musiała widocznie opowiadać jej o tobie i chwalić.

— Kiedy mamy pójść?

— Choćby dziś wieczór, jeżeli zechcesz.

Odwiedziny te musiały Rogelji sprawić przykrość. Dusza jej, prawa i dumna zarazem, buntowała się przeciw kłamstwu. Czula, że gdyby odkryto prawdę, umarłaby chyba ze wstydu.

Mimo to udała się z Vilchesem na górę. Córka księcia wywarła na niej bardzo dodatnie, lecz smutne wrażenie. Fernando miał słuszość: była bardzo interesująca. Postać drobna, dziecko prawie, twarzyczka spokojna o prawidłowych rysach, duże,

smutne, czarne oczy o dziecięcym wyrazie, czarne włosy, wymykające się spod koronkowego czepeczka, prześliczne, śnieżnej białości ręce. Ubrana była w czarną suknię bez żadnych ozdób, prostą, surową, klasztorną niemal.

— Służba mówiła prawdę, doktorze! — zawołała, zwracając się do Vilchesa, gdy weszli oboje do jej pokoju.

Uśmiech jej był tak pokorny i słodki, że od pierwszej chwili chwycił Rogelję za serce.

Owa pierwsza wizyta była krótka, lecz bardzo miła. Krystyna była tak uprzejma dla Rogelji, że ta nie wiedziała, w jaki sposób okazać jej wdzięczność.

— Niech pani się nie gniewa, niech pani mnie odwiedza i okaże trochę dobroci i sympatji biednej chorej — prosiła przy rozstaniu.

W krótkim czasie zadzierzgnęła się pomiędzy niemi serdeczna przyjaźń. Krystyna lubiła niezmiernie rozmowę z Rogelją, rozmowę tak poważną, rozumną, nacechowaną głęboką kulturą, pełną oryginalnych, trafnych spostrzeżeń.

— O, pani wie znacznie więcej niż moi profesorowie u sercanek — mawiała niekiedy ze zdziwieniem.

Sczasem przestała przyjmować towarzystwo arystokratyczne, które zrazu narzucało się jej z odwiedzinami, aby zaspokoić ciekawość, komentować chorobę, starać się bezmyślnie rozbawić chorą lub prorokować jej śmierć. Po wyjściu od niej, już na schodach owe przyjaciółki, krewne, zarówno młode jak stare, potrafiły, a zapewne i mogły rozmawiać wyłącznie o teatrze Królewskim, o krawcowych, o przyszłych balach i weselach. Wszystko to nudziło Krystynę, a nawet bolało, gdyż dusza jej nawykła była do surowego życia klasztornego i rwała się ku wyżynom. Toteż ilekroć Rogelja zwlekała z odwiedzi-

nami, posyłała po nią i skarżyła się przed nią pieśzczośliwym głosem chorego dziecka.

Dlatego właśnie, że było to dziecko niewinne, tkliwe i pokorne, a przytem naznaczone już stygmatem śmierci, Rogelja pokochała je gorąco i z głęboką radością poświęcała Krystynie długie godziny. Powściągała jednak objawy swego przywiązania, gdyż wysokość rodu, do którego należała chora, a także jej bohaterskie poświęcenie budziły w niej szacunek; najbardziej jednak krępowała ją świadomość fałszywego położenia, w jakim się znajdowała.

Wkrótce po poznaniu córki księcia Rogelja, zwracając się do niej, nazwała ją margrabianką. Błada twarzyczka Krystyny okryła się purpurowym rumieńcem.

— O, niech mnie pani tak nie tytułuje, błagam panią! Jestem pokorną karmelitanką, która z woli Boga lub dla grzechów swoich nie mogła złożyć ślubów — prosiła drżącym ze wzruszenia głosem.

Niebawem Krystyna zaproponowała Rogelji, by mówiły sobie po imieniu.

Tym razem zaczerwieniła się Rogelja.

— Dziękuję pani bardzo, czyni mi pani wielki zaszczyt.

— Jaki zaszczyt? — zawołała panienka, śmiejąc się. — Jeżeli o tem mowa, to pani mnie zaszczyca. Ja jestem podłotek, a pani — mężatka.

Łatwo zrozumieć, jak przykre były Rogelji podobne słowa. Słuchała ich zawstydzona i zmieszana. Była jak na rozżarzonych węglach. Doznawała naprzemian smutku i radości; żyła w ustawicznym niepokoju.

Ostatecznie zaczęły mówić sobie po imieniu i zachowywały się względem siebie z siostrzaną swobodą i poufałością. Były prawie w równym wieku: Rogelja miała dwadzieścia dwa lata, Krystyna — dziewiętnaście. Spędzały wspólnie popołudnia. Raz Krystyna zapytała:



— Czy zechcesz odmówić ze mną różaniec?

Rogelja zmieszała się widocznie. Propozycja ta zaskoczyła ją niespodzianie. Od czasu wyjazdu z Langreo nie modliła się, nie weszła ani razu do kościoła. Nie dlatego właściwie, by utraciła wiarę, ale samo położenie, w jakim się znalazła, kazało jej o wierze zapomnieć. W Paryżu obracała się w środowisku wyłącznie naukowem, nie utrzymywała stosunków z ludźmi, którzy mogliby jej przypomnieć o obowiązkach religijnych; Vilches zaś zachowywał wobec spraw duchowych obojętność, graniczącą z materializmem. Lata owe upłynęły dla niej w zupełnem zapomnieniu o Bogu i o świecie nadprzyrodzonym. Ponieważ jednak nie zapomniała modlitw, odmawianych w dzieciństwie, przeto ukryła zmieszanie i zgodziła się z pozorną swobodą na propozycję chorej.

— Czy ty będziesz mówiła? — zapytała Krystyna.

— Nie, ty jesteś bliżej Boga — odpowiedziała z uśmiechem.

— O, niewiadomo, która z nas ma być kiedyś bliżej Niego.

Krystyna otworzyła drzwi *reclinatorio*<sup>1)</sup> z drzewa orzechowego, gdzie we wnęce przechowywano cenną rzeźbioną figurę Matki Boskiej. Wyjęła z szuflady owego *reclinatorio* habit Karmelu, który nosiła w klasztorze, i w habicie tym, zarzuconym na ramiona, uklękła przed ołtarzykiem. Zaczęła odmawiać różaniec. Modliła się z takim przejęciem, tak żarliwie, że Rogelja nie mogła od niej oderwać oczu. Z podziwem i uwielbieniem zauważyła, że po wy-

---

<sup>1)</sup> *Reclinatorio*: rodzaj ukrytego w szafie ołtarza-klęcznika, zaopatrzonego w szuflady, oraz mieszczącego w górnej części obrazy świętych. U dołu znajduje się stopień, na którym można uklęknąć.

chudłej ślicznej twarzyczce margrabianki spływały łzy obfite. Gdy skończyły modlitwę i zasiadły znowu w fotelikach naprzeciw siebie, Rogelja, jeszcze przejęta uwielbieniem i ciekawością, ujęła czule dłoń panienki i zapytała:

— Żałujesz bardzo klasztoru, nieprawdaż?

— O, tak! bardzo, bardzo.

— Byłaś tam szczęśliwa?

— Zupełnie.

Milczała chwilę z oczyma utkwionemi w próżni, zatopiona w marzeniu. Wreszcie rzekła cichym głosem:

— Nie wiesz może, Rogeljo, jakim szczęściem jest żyć ciągle, każdej chwili w obecności Najwyższego, przyjmować codziennie jego Ciało Najświętsze, czuć, że czy poruszymy ręką, czy wymówimy słowo

— Bóg na nas patrzy. Obojętną jest wtedy rzeczą, że pożywienie jest nędzne, że sypiamy na twardej podłodze, że habit nam ciąży i rani ciało, że nam zimno i głodno. Cieszymy się z tego, czynimy to bowiem i cierpimy dla Pana naszego Jezusa Chrystusa: On to widzi, ceni, zlewa na nas skarby swej miłości i oczekuje nas w niebie.

— Czy w klasztorze nie żałowałaś nigdy dostatku, panującego w domu, ani uciech życia światowego w Madrycie?

— Nigdy, nigdy; wspominałam o tem jak rozbiitek, który znalazłszy się na bezpiecznem wybrzeżu, wspomina burzę i ocalenie swoje.

Tego wieczora Rogelja długo nie mogła usnąć. Rój myśli kłębił się w jej głowie, spędzając sen z powiek; była zdumiona, zmieszana, przerażona. Zdawało jej się, że słyszy jakieś głosy tajemnicze. Doznawała niewytłumaczonego lęku, jakgdyby ciężar jakiś tłoczył jej piersi. Była to trwoga śmiertelna, niezwalczona. Wreszcie z właściwą sobie energją otrząsnęła się z niej; zwróciła przemocą myśl w innym kierunku i po pewnym czasie udało jej się zasnąć.

Nazajutrz o tej samej porze Krystyna, rada, że ma z kim odmawiać różaniec, zaproponowała Rogelji znowu, by się pomodliły wspólnie. Potem rozmawiały o klasztorze. Rogelja, zaciekawiona, zadawała mnóstwo pytań, interesując się szczegółami tego życia, tak bardzo dla niej tajemniczego. O której godzinie wstają i udają się na spoczynek? Jakie mają łóżka? Jakie pożywienie? Ile godzin spędzają na modlitwie? Czy rozmawiają między sobą i o czym? Jak pracują? Czy wolno im korespondować z rodziną i t. p. Krystyna opowiadała jej z zapalem o księdzu, który je spowiadał. Był to człowiek prawdziwie święty; uczony; napisał przepiękną książkę do nabożeństwa.

— Mam ją tutaj — dodała, biorąc ze stolika przy łóżku małą, wspaniale oprawną książeczkę. — Możesz ją wziąć i zatrzymać, jak długo zechcesz.

Rogelja wzięła książkę. Przykro jej było, że nie może podzielić zdania swej kochanej przyjaciółki. Była to jedna z owych pospolitych, bezmyślnych i cikliwych książek do nabożeństwa, oszpeconych śmiesznymi i pompatycznymi superlatywami, jak: najukochańszy, najśłodszy, najmiłościwszy i t. p. Czytywała ona pilnie i namiętnie wielkich pisarzy, toteż doznała niesłychanie przykrego wrażenia przy przeglądaniu takiej lichej elukubracji. Zwróciła też książkę Krystynie, która zapytała:

— Czytałaś? Jak ci się podoba?

— Jest okropna — odpowiedziała z właściwą sobie szorstką szczerością.

Krystyna była zmartwiona.

— Okropna?

— Tak. Za wiele w niej cukru. Wolę potrawy ostrzejsze.

Margrabianka spojrzała na nią zdziwiona, a potem wybuchnęła śmiechem.

— Przemiała jesteś, Rogeljo, Zachwyca mnie twoja szczerość.

— To moja jedyna cnota.

— Teraz zachwyca mnie twoja pokora.

W miarę zacieśniania się węzłów przyjaźni z margrabianką wzrastał niepokój Rogelji. Nie umiała sama wytłumaczyć, czy była to obawa ujawnienia prawdziwego stanu rzeczy, czy też inne jakieś bardziej wstrząsające uczucie przeszywało niekiedy jej duszę.

Pewnego ranka, załatwiając zakupy, weszła do księgarni Durana przy ulicy św. Hieronima; nabyła Ewangelię, Dzieje Apostolskie i Listy św. Pawła. Czytanie tej książki wywarło na niej głębokie wrażenie, dotarło do podstawy jej wiary, zbudziło zatarte wspomnienia i oblokło w kształt żywy mgliste pragnienia ducha. Dusza kobieca, choćby najbardziej rozproszona, choćby upadła najniżej, przechowuje zawsze w najtajniejszej głębi ideał czystości, który odżyje przy silniejszym wstrząśnieniu. Głos ewangelji był mocny i słodki zarazem.

„Pragnę miłosierdzia, a nie ofiary. Nie przyszedłem wzywać sprawiedliwych, ale grzesznych.

„Posłany jestem tylko dla owiec zbłąkanych.

„Który z was człowiek, co ma sto owiec, a jeśliby stracił jedną z nich, izali nie zostawia dziewięćdziesięciu dziewięciu na puszczy, a idzie za oną, co zginęła, aż ją znajdzie“.

Te słodkie słowa przykuwały jej uwagę i przenikały do serca. Przypomniały jej się równocześnie słowa starego proboszcza z Lady, który ostrzegał ją surowo o grożącym niebezpieczeństwie. Mimowoli, przychodziło jej ciągle na myśl, że ona to właśnie jest ową zgubioną i zbłąkaną owieczką, o której wspomina ewangelja.

Listy św. Pawła, najwznioślejszy komentarz, najświatlejsza interpretacja ewangelji, rozplomieniły jej duszę ostatecznie.

Krzepki i potężny rozum, połączony z płomienną miłością, ujęty w męskie słowa, odpowiadał jej charakterowi silnemu i refleksyjnemu, jej stałemu i sprawiedliwemu sercu.

Pewnego popołudnia, gdy weszła swoim zwyczajem odwiedzić Krystynę, zastała w jej pokoju księdza. Krystyna przedstawiła go: ksiądz doktor Benito Sanz y Forés. Był to człowiek w średnim wieku, niezbyt wysokiego wzrostu, dość tęgi. Miał twarz okrągłą; spod okularów jaśniały oczy surowe i rozumne. Był podówczas tylko audytorem przy trybunale Roty<sup>1)</sup>. Później został biskupem Oviedo, a wkońcu arcybiskupem Sewilli; wtedy jednak, jak zresztą zawsze w całym życiu — był skromnym księdzem, gorliwym i surowym, płomiennym krasomówcą, przywołującym na pamięć błogosławionego Jana z Avili, zwanego apostołem Andaluzji. Pożegnał się rychło, lecz z kilku słów, które wypowiedział, Rogelja wynioskowała, iż jest to człowiek zgoła inny niż autor słynnej książki do nabożeństwa, tak wychwalanej przez Krystynę.

— Kto to jest? — zapytała, gdy wyszedł.

— Mój dawny spowiednik; będzie mnie teraz spowiadał znowu. U niego również spowiadała się moja matka; on dysponował ją na śmierć.

Milczała chwilę, pogrążona w zadumie. Potem szepnęła żałośnie:

— Śmierć! śmierć!... Biedna mateczka! Co za straszna noc!

Rogelja ujęła jej dłonie, subtelne dłonie, przeświecające jak porcelana, i rzekła czule a słodko:

— Opowiedz mi coś o swym życiu, Krystyno. Jaka byłaś przed wstąpieniem do klasztoru? Nie wiem nic o tobie.

<sup>1)</sup> Najwyższy trybunał Kurji Rzymskiej.

Dziewczyna spojrzała na nią serdecznie, uścisnęła gorąco jej rękę i odrzekła ze smutnym uśmiechem:

— Nie mam żadnej historii. Byłam zawsze niemądra.

— Jakto niemądra?

— Tak, niemądra. Nikt, z wyjątkiem mamy, nie zwracał nigdy na mnie uwagi. Psuto i pieszczono tylko mego starszego o sześć lat brata. Ja byłam zawsze ziarnkiem kminku<sup>1)</sup>. Zdano mnie na opiekę nianiek, później — nauczycielki Francuzki. Znajomi rodziców nie wiedzieli prawie o mojem istnieniu. Czasami tylko matka kazała mnie przyprowadzać do swoich apartamentów i pieściła mnie tkliwie; nie czyniła tego jednak często, gdyż pochłaniało ją całkowicie życie towarzyskie, świat, gdzie zachwycano się jej wytwornością i urodą. Mama była bardzo piękna; a gdy ubrała się na bal albo do teatru, wszyscy zwracali na nią uwagę. Była wysoka, szczupła, dystygowana, nosiła głowę wysoko jak królowa. Na balu kostjumowym u księżnej Angeli de Medinaceli była przebrana za carową, miała kostjum skopjowany z paradnego stroju Katarzyny II. Nauczycielka powiedziała mi nazajutrz, że mama miała olbrzymie powodzenie i że królowa Izabela, obecna na balu, winszowała jej, mówiąc: „Jesteś, księżno, śliczna. Gdyby cesarzowa Katarzyna zmartwychwstała, byłaby bardzo zadowolona ze swej przedstawicielki“. Biedna mama! Już wtedy nosiła w sobie zarodek choroby, która miała zakończyć się śmiercią. Była tak młoda! Nie miała jeszcze trzydziestu czterech lat, a świat otaczał ją blaskiem i uciechami tak ponętne dla niej. Widziałam, że była coraz bledsza i coraz szczuplejsza, ale nie zdawałam sobie sprawy z grożącego jej niebezpieczeństwa. Raz tylko usłyszałam,

---

<sup>1)</sup> „Być ziarnkiem kminku“ znaczy w Hiszpanji być czemś nieznaczącem, być niczem.



jak lokaj powiedział do mojej nauczycielki: „Zdaje mi się, że księżna pani niedługo pociągnie“. Nauczycielka skarciła go wzrokiem, wskazując na mnie w milczeniu, a potem rozmawiali pocichu. Zrozumiałam doskonale, co to miało znaczyć, i zmartwiłam się bardzo. Zapomniałam jednak wkrótce o tem. Miałam dziewięć lat, a w dzieciństwie wrażenia zacierają się szybko. Tymczasem mama była słabsza z każdym dniem, przestała uczęszczać do teatru i na bale; wreszcie przestała zupełnie wychodzić z domu. Siedziała zawsze na fotelu. Biedna mateczka!... Tak samo jak ja teraz.

— Nie, ty nie jesteś tak chora, jak ona — rzekła całując ją Rogelja.

Krystyna wzruszyła ramionami.

— Zupełnie taksamo. Ja tylko, z łaski Boga, nie lękam się śmierci; dla mnie świat nie przedstawia tyłu ponęt, co dla niej. Prawie codziennie przyprawiano mnie do jej pokoju. Mój brat Jaime był wtedy w Segowji, w szkole artyleryjskiej. Mama uśmiechała się do mnie słodko, przemawiała serdecznie, ale nie całowała mnie nigdy; podawała mi tylko rękę, którą obsypywałam pocałunkami, gdyż uwielbiałam matkę. Wreszcie przestano mnie wzywać do jej pokoju; dowiedziałam się, że leży w łóżku. Pewnego wszakże dnia zaprowadzono mnie do niej. Była przeraźliwie blada, ale jeszcze piękna. Z wyrazu twarzy tych, którzy ją otaczali, poznałam, że ma się stać coś strasznego. Dała mi znak, abym się zbliżyła, i powiedziała z wysiłkiem:

„Nie całuję cię, córeczko najdroższa, bo usta moje niosą śmierć“.

Grube łzy spływały jej po policzkach.

Rzuciłam się ku niej i poczęłam okrywać pocałunkami jej twarz i usta; z trudem zdołano mnie wyrwać z jej ramion. Tegoż wieczora nasza najstarsza

służąca, ta, która mnie najbardziej lubiła, ujęła mnie za rękę i płacząc poprowadziła do kaplicy domowej, gdzie znajduje się piękny obraz Najświętszej Panny z Karmelu.

„Krystynko — rzekła — teraz to twoja jedyna Matka“.

Ucałowałam stopy Matki Bożej.

„Ucałuj stopy Dzieciątka“.

Ucałowałam stopy Dzieciątka.

W mojej dziecięcej główce odbyła się istna rewolucja; ujrzałam nagle całą nędzę, cały ból tego świata i zapragnęłam porzucić go, by pójść za mamą do nieba. Światło to rozpałała w mej duszy Matka Najświętsza; dzięki Jej cudownemu pośrednictwu nie zgasło ono już nigdy... W parę dni później ojciec wysłał mnie do kolegium sereanek w Chamartin. Byłam tam aż osiem lat. Tam też powzięłam zamiar poświęcenia się Bogu i zostania naprawdę córką Najświętszej Panny z Karmelu, którą obrałam sobie za Matkę. Nie zwierzałam się z tym zamiarem nikomu przez kilka lat, wreszcie ujawniłam go, i jak możesz się łatwo domyślić, zakonnice z Sacré-Coeur przyjęły tę wiadomość z radością. Potem dowiedział się o moim zamiarze ojciec, który nie stawiał żadnych przeszkód.

— Jakto? Ojciec zgodził się, byś została zakonnicą?

— Ojciec mój, z pozoru człowiek światowy, jest w głębi duszy bardzo pobożny i cnotliwy. Nie zaniedbuje nigdy obowiązków religijnych. W kościele modli się zawsze z budującą żarliwością. Wracając do domu rankiem — jest bowiem senatorem, politykiem, i często minister zatrzymuje go w biurze przy pracy aż do świtu — nie omieszka nigdy wstąpić do kościoła na wczesną mszę. Co więcej — dodała ci-szej — wiem, że się umartwia potajemnie. Jestem pewna, że się biczuje, gdyż niedawno, szperając przez

ciekawość w jego pokoju, znalazłam w szufladzie rzemień.

Rogelja miała chęć śmiać się i płakać równocześnie. Opanowała się wszakże, zakasłała, odwróciła głowę w inną stronę, wreszcie zagadnęła naturalnym tonem:

— Dobrze, ale dlaczego projekt ten nie doszedł do skutku odrazu? Poco wróciłaś do domu? Czemu wchodziłaś w świat, w życie towarzyskie?

— Na skutek śmierci brata mego Jaime'a. Był już oficerem artylerji. Wtedy wszyscy krewni i przyjaciele ojca zaczęli mu przedstawiać, że jestem jedyną spadkobierczynią jego nazwiska i tytułów, a zatem powinnam się wyrzec klasztoru, by nie dopuścić do wygaśnięcia tak znakomitego rodu. Ja śmieję się z tych rzeczy, ale świat bierze je całkiem poważnie. W rezultacie nawet zakonnice pod wpływem pań z wielkiego świata zmieniły zdanie. Uważały za potrzebne, abym została damą światową. Wyjechałam więc z Chamartin, wróciłam do domu, ojciec wprowadził mnie w świat: uczęszczałam na bale, do teatrów. Z tego, co mówił, zrozumiałam potem, że chciał mnie wydać za mąż. Zjawili się dwaj konkurenci, obaj możliwi do przyjęcia. Jeden, księżę de la Presilla, mój kuzyn, który miał odziedziczyć tytuły mego ojca w razie, gdybym ja została zakonnicą; drugi — to wuj mój, margrabia de los Tastos, młodszy brat mamy.

— Który podobał ci się bardziej?

— Żaden z nich nie interesował mnie żywiej. Wolałam chyba wuja Filipa. Miał trzydzieści sześć lat, był kapitanem kawalerji, przystojny, choć trochę pospolity. Martinito, mój kuzyn, był chłopcem dwudziestoletnim, bardzo eleganckim, już zmanierowanym, żywym i rozmownym. Ale wuj wydawał mi się lekkomyślnym, uważałam, że religję traktuje obojętnie, ponieważ żartował z mego powołania; mawiał,

śmiejąc się głośno, że podejmuje się *zwlec* ze mnie habit. To brzydkie słowo sprawiało mi dotkliwą przykrość; za każdym razem, gdy je wymawiał, oburzał mnie i gorszył. Pozatem był nieco brutalny w obejściu.

„Zachowuje się jak prawdziwy kawalerzysta“... — mawiał ojciec ze śmiechem.

Uważałam go za lekkoducha, a nawet za niedowiarka, choć myliłam się, jak to zaraz opowiem. Martinito natomiast udawał przykładną cześć dla spraw religijnych. Odprawiał nowenny, bywał na kazaniach, odbywał co czas pewien rekolekcje, zachowywał posty. Podarował mi Filotę św. Franciszka Salezego w przesłicznej oprawie, przywiózł mi z Lourdes flakonik wody z cudownego źródła i zgodził się oddać mi krucyfiks, który cenił bardzo, ponieważ był poświęcony u Grobu Zbawiciela. Toteż ostatecznie wybrałam kuzyna, chociaż, powtarzam, ani jego powierzchowność ani zachowanie nie podobały mi się wcale. Oświadczyłam to ojcu, który nie czynił żadnych zastrzeżeń; niemniej jednak czułam, że wolalby raczej swego szwagra. Matka wicehrabiego, ciotka Berenguela, przyszła prosić uroczyście o moją rękę; ofiarowali mi wspaniałą bransoletę<sup>1)</sup> z brylantów i rubinów; ślub miał się odbyć za sześć miesięcy. Martinito bywał odtąd częściej u nas, zostawał na obiedzie, towarzyszył mi na spacerach, a w teatrze nie wychodził prawie z naszej łoży. Ale pewnego ranka, moja droga Rogeljo, gdy jakimś nadzwyczajnym zbiegiem okoliczności weszłam do prasowni, aby zobaczyć plisowanie spodniczek, słysząc przez drzwi głos mego kuzyna. Zbliżyłam się ostrożnie do niedomkniętych drzwi, zaglądam przez szparę i widzę kuzynka, całującego służącą. Uciekłam co-

---

<sup>1)</sup> W Hiszpanji bransoletka z wrytem na niej imieniem narzeczonego zastępuje pierścioneł zaręczynowy.

prędzej, i nie umiem nawet opowiedzieć, jakiego uczucia doznałam wtedy.

— Ja ci powiem, co to było za uczucie: wstręt. Krystyna spojrzała na nią zdziwiona.

— Rzeczywiście! Tegoż dnia padłam na kolana przed obrazem Najświętszej Panny z Karmelu, błagałam ją o przebaczenie za to, że złamałam daną Jej obietnicę, i postanowiłam za wszelką cenę zostać karmelitanką. Poszło to bardzo łatwo, gdyż ojciec, któremu opowiedziałam o wszystkim, nie śmiał mi się sprzeciwić. W parę miesięcy potem wstąpiłam do nowicjatu w Salamance. Oto moja historia, Rogeljo. Niebawem po wstąpieniu do klasztoru dowiedziałam się o śmierci mego wuja Filipa w Pampelunie. Umarł na tyfus. Szczegóły jego śmierci były naprawdę budujące i zdziwiły mnie niesłychanie. Umarł jak święty. Przed zgonem prosił głośno o przebaczenie wszystkie osoby, które kiedykolwiek obraził, odmawiał żarliwie litanję do Matki Boskiej, a gdy przyniesiono mu wiatyk, zerwał się z łóżka, jak święty król Ferdynand, i ucałował ziemię. Widzisz, co za kontrast z moim kuzynkiem!

— Przypowieść ewangeliczna, którą czytałam właśnie dziś rano, powtarza się w życiu często — zauważyła Rogelja. — Pewien ojciec miał dwóch synów, jednemu kazał pracować w winnicy, a ten mu odrzekł: „Nie chcę“, lecz żałując niebawem, poszedł pracować. Wezwał następnie drugiego, by mu wydać to samo zlecenie, a ten odpowiedział natychmiast: „Idę, panie“, lecz nie poszedł.

## V.

Rogelja nie mogła oderwać się od ewangelji. Czytała i odczytywała ją na nowo. Dziwiła się coraz bardziej, że głos ten nie doszedł do niej wcześniej. W dzieciństwie uczono ją katechizmu; ale zacny pro-

boszcz z Lady troszczył się tylko o to, aby umiała go napamięć. Powtarzała też wyuczone słowa jak papuga. Nie rozumiała ich wewnętrznego, głębszego znaczenia, nie posiadała światła, któreby rozjaśniło mroki jej umysłu.

Gdy światło zabłysło, doznała przerażenia. Zrazu ogarnęło ją tak palące uczucie wstydu, że w obecności Krystyny głos jej drżał i kryła oczy przed jej wzrokiem. Rumieniec oblewał jej twarz, ilekroć wchodziła do pokoju chorej, i mimo wysiłków, by zapanować nad tą wrażliwością, czerwone plamy nie ustępowały z jej policzków. Ale przyczyną, która mąciła jej spokój i zarazem kazała panować nad sobą, był wzgląd ludzki. Lękała się, by nie odkryto jej tajemnicy i aby oczy, które uśmiechały się do niej tak słodko, nie spojrzały na nią kiedyś z pogardą.

Powoli obawa ta poczęła ustępować przed innem, szlachetniejszym uczuciem. Lękała się nietylko ujawnienia swej przeszłości, ile raczej siebie samej, własnego grzechu i otchłani zatracenia, w którą się stoczyła. Ogarnął ją głęboki smutek, który napróżno usiłowała ukryć. Vilches spostrzegł to, lecz jako fizjolog przypisywał ten objaw przyczynom materialnym. Siedzący tryb życia Rogelji, zwłaszcza od czasu, gdy zaprzyjaźniła się z margrabianką, nie służył jej widocznie. Należało powrócić do zwyczajów paryskich: używać ruchu, bywać w teatrze, urządzać wycieczki, nadewszystko zaś zająć się pracą naukową, która wpływała dodatnio zarówno na jej inteligencję jak i na cały organizm. Nie chciała mu przeczyć, lecz w głębi duszy miała zgola odmienne przeświadczenie.

Wkrótce ów głęboki smutek odbił się ujemnie na jej zdrowiu. Widząc to, Vilches przeraził się możliwością zarażenia gruźlicą i chciał przerwać jej wizyty u chorej. Nie zgodziła się na to. Przeciwnie, bywała tam coraz częściej, przesiadywała coraz dłu-



żej. Na szczęście jej zdrowy chłopski organizm i zdrowszy jeszcze rozsądek zareagował szybko. Uczucie pogardy dla siebie samej ustąpiło niebawem przed innym, bardziej pozytywnym.

— Żyję w grzechu — myślała — lecz nie znaczy to, abym była ostatecznie zgubiona. Dopóki żyję, wszystko może się jeszcze zmienić. Zależy to tylko ode mnie.

Myśl ta podniosła ją na duchu, jakkolwiek nie skryształizowała się jeszcze w postanowienie. Rogelja poszła na dno, lecz silnym rzutem ciała wydostała się znowu na powierzchnię. Ale podobnie jak tonący, który walczy ze śmiercią, traci powoli siły, tak i ona zniknęła na nowo pod falą; poderwała się raz jeszcze, odbiła od dna i wypłynęła, by zaczerpnąć powietrza. Walka ta męczyła ją i gniewała: żyła w ustawicznym wewnętrznym naprężeniu. Łaska kołatała już do jej serca, niby poczwarka, pragnąca przebić więzący ją oprzęd.

Tymczasem nieubłagana choroba Krystyny postępowała szybko. Początkowo margrabianka wyjeżdżała zrana powozem w towarzystwie Rogelji. Jechały zazwyczaj do parku Retiro. Rogelja zachęcała zwykle panienkę, aby wysiadła i przeszła się trochę; prowadziła ją do ławki, na której siadały i rozmawiały dłuższą chwilę, rozkoszując się ciepłem powietrzem wczesnej jesieni. Krystyna była zawsze uśmiechnięta i beztraska, jakgdyby nie zdawała sobie sprawy ze swego stanu i nie przypuszczała, że koniec już bliski. Rogelja, tak jak zresztą wszyscy, co ją otaczali, dokładała wszelkich starań, aby ją utrzymać w tem złudzeniu; mówiła jej o rychłym wyzdrowieniu, jak o czemś zupełnie pewnem, obiecywała, że gdy Krystyna złoży śluby, odwiedzi ją w Salamance. Przekonała się bowiem, że była to jedyna myśl, jedyne pragnienie, żyjące w umyśle chorej. Jednakże pewnego ranka, gdy siedziały w naj-

zaczisniejszej alei parku, Krystyna zamyśliła się i zamilkła. Patrzyła uporczywie na drzewo, rosnące naprzeciw ich ławki; za podmuchem wiatru spadały zeń zeschłe liście. Rogelja, zaniepokojona jej milczeniem, zagadnęła:

— O czem myślisz, Krystyno?

— Myślę — odparła, nie odrywając wzroku od drzewa — że zanim ostatni liść z niego opadnie, ja odejdę.

— Co za myśl! — zawołała Rogelja, choć serce ścisnęło się jej z żalości. — Choroba twoja nie jest niebezpieczna. Jesteś wątła i osłabiona, ale to przejdzie. Fernando powiedział mi wczoraj, że stwierdził u ciebie poprawę, lekarstwo, które zapisał ci doktor Velasco, wzmocni cię ostatecznie.

Krystyna spojrzała na nią przeciągle, a słodki uśmiech rozchylił jej usta. Potem ujęła ją za rękę i rzekła:

— Masz mnie za wielce naiwną, Rogeljo. Jestem zresztą naiwna, ale nie do tego stopnia. Choć spędziłam całe dzieciństwo i młodość w czterech ścianach klasztoru, jednak o życiu i śmierci wiem znacznie więcej, niż przeważna liczba tych, co żyją w świecie. Tak samo ty, jak ojciec, jak lekarze i wszyscy, co mnie odwiedzają, przypuszczacie, że nie wiem o niczem, i staracie się utrzymać mnie w tej nieświadomości. Mimo to, choć nie wiedzieliście o tem, wyczytałam w waszych oczach skazujący mnie wyrok. Nie było mi to potrzebne, gdyż przed wyjściem z klasztoru wiedziałam już, że muszę umrzeć tak jak mama... Umrzeć!... Cóż to znaczy?... Liście z tego drzewa opadną wszystkie i niebawem stać ono będzie zupełnie огоłocone, ale nie umrze. W jego pniu, podobnie jak w mojem ciele, tkwi życie. I jak drzewo odrodzi się znowu z wiosną w pełni świeżego przepychu, tak ciało moje zmartwychwstanie czyste i chwalebne, wolne od ułomności i cierpień, aby nie

umrzeć już nigdy. Obiecał nam to Jezus Chrystus, a święty Paweł w wymownych słowach potwierdza i wyjaśnia tę obietnicę.

Rogelja nie wiedziała, co odpowiedzieć. Wreszcie opanowała wzruszenie i odrzekła żartobliwie:

— Dobrze, ale zarówno ja, jak wszyscy, którzy cię kochamy, pragniemy, aby potrzeba tego zmartwychwstania nastąpiła jaknajpóźniej.

— Niech nastąpi wtedy, kiedy Bóg zechce.

Po tej rozmowie niepokój Rogelji wzmógł się jeszcze bardziej. Podziwiała cnotę i pobożność tej dziwnej istoty, do której przywiązywała się coraz silniej, lecz widziała, że chora, zbliżając się do wieczności, była jej coraz dalsza.

Ze swej strony Krystyna żywiła względem Rogelji uczucie tak serdeczne i okazywała je tak wyraźnie, że wprowadzała w zdumienie całe otoczenie. Było to namiętne uczucie chorego dziecka, kaprys gorączkowy, który wywoływał uśmiech na ustach Vilchesa i budził w nim zazdrość. Brał na kolana małego Joselina i mawiał półzartem:

— Joselinie, mała margrabianka zajęła nasze miejsce w sercu mamy.

— Biedactwo! — odpowiadała wtedy Rogelja. — Gdybyście, czego Boże broń, byli chorzy, pieściłabym was bardziej niż ją.

Krystyna miała skrupuły spowodu tego przywiązania. Raz rzekła:

— Rogeljo, grzeszę przez ciebie. Za bardzo cię kocham.

— Cicho bądź, mała pleciugo — odparła śmiejąc się Rogelja. — Bóg ci to przebaczy, bo jesteś chora. Wyzdrowiejesz i przestaniesz mnie kochać.

— Ach, niedobra! — zawołała Krystyna, całując rękę przyjaciółki, którą trzymała w dłonach. — Wiesz doskonale, że dopóki żyję, nie przestanę cię

kochać. A na tamtym świecie Bóg zezwoli mi również na to. Nasze uczucie będzie wtedy czystsze i pełniejsze.

Trudno się dziwić, że takie słowa zjednywały coraz silniej serce Rogelji. Ta słodka istota oczarowała ją do tego stopnia, że byłaby oddała za nią życie.

Nadszedł czas, gdy młoda margrabianka przestała wyjeżdżać z domu. Siedziała w fotelu i nie chciała za nic przyjmować odwiedzin. Natomiast, jakkolwiek nie mówiła tego wyraźnie, lecz nieśmiało i z wielką delikatnością, ruchem raczej i spojrzeniem niż słowami dawała do zrozumienia, jak bardzo pragnie towarzystwa Rogelji. A ona zaspokajała owo pragnienie, przebywając z chorą całymi niemal dniami, zaniedbując dom, Vilchesa i syna.

A potem przyszedł dzień, gdy Krystyna nie mogła wstać z łóżka. Była tak słaba i wyczerpana, że każdy ruch wielce ją męczył. Wtedy usilniej jeszcze błagalnym wzrokiem prosiła, by Rogelja nie odchodziła od niej. Jednej tylko Rogelji pozwalała się dotknąć: wszyscy inni sprawiali jej ból; ręce Rogelji, lekkie jak dłonie wróżki, nie sprawiały jej cierpienia. Pewnego dnia, gdy Rogelja musiała kilkakrotnie unosić chorą, która dusiła się w pozycji leżącej, Krystyna rzekła do niej smutno:

— Miej jeszcze trochę cierpliwości. Już niedługo będę cię męczyła.

— Jakto, męczyła? Aniolku mój słodki, nato, aby ci ulgę sprawić, zniosłabym największe cierpienia na świecie! — zawołała Rogelja ze łzami w oczach.

Panienka, wzruszona również, odparła:

— Niech ci Bóg wynagrodzi... Powtórzę to, co mówiła mi mama: „nie całuję cię, bo usta moje niosą śmierć“.

— A ja odpowiem ci taksamo, jak ty odpowiedziałaś matce.

Otoczyła ją ramieniem i ucałowała kilkakrotnie. Vilches był bardzo zaniepokojony. Uważał to za szaleństwo...

— Igrasz z ogniem, Rogeljo — powiedział raz do niej. — Winnaś oszczędzać swoje zdrowie dla mnie i dla dziecka.

— I dla ciebie i dla dziecka byłoby lepiej, gdybym umarła.

I ze ściśniętem ze wzruszenia gardłem, nie chcąc wybuchnąć płaczem, wybiegła z gabinetu doktora.

Vilches był zatroskany. Nie zdawał sobie sprawy, co to znaczy. Zauważył bowiem, iż usposobienie Rogelji od niejakiego czasu uległo zmianie: kwestje naukowe nie interesowały jej tak, jak przedtem; przestała opowiadać mu o książkach przeczytanych; nie dzieliła się z nim swojami na ten temat uwagami; zawsze prawie była milcząca i smutna; raz nawet zastał ją z widocznymi śladami łez na twarzy. Oznaki te nasunęły mu podejrzenie, że młoda zakonniczka z pierwszego piętra *fanatyzuje* Rogelję. Takie bowiem pogardliwe określenie po długich rozmyśleniach sformułowało się w jego umyśle i wypłynęło na usta.

— Na szczęście — stwierdził złośliwie — skończy się to niebawem. Margrabianka ma przed sobą zaledwie kilka dni życia.

Stało się tak, jak przewidywał. Raz o północy Rogelja wpadła do jego gabinetu.

— Fernando, zdaje mi się, że Krystyna umiera. Pójdź natychmiast!

Doktór wstał spokojnie z fotela. Uczynił gest rezygnacji, wskazujący, że się tego spodziewał.

W domu księcia panował ruch ożywiony. Służba biegła w różne strony. Zawiadomiono doktora Velasco, który przybył niezwłocznie. Upredzono rów-

niez krewnych i przyjaciół księcia. Przybiegła ciotka Berenguela z synem, wicehrabią de la Presilla, ożenionym świeżo z córką bogatego bankiera. Zjawili się: książę del Real Saludo, oraz Perico Bendano, daleki kuzyn i towarzysz hulanek księcia. Książę, który był w teatrze Królewskim na przedstawieniu Tamberlicka, przybiegł jeden z pierwszych, wymalowany i wypomadowany, we fraku ozdobionym krzyżem Santiago.

Istotnie, margrabianka konała. Miała jeden po drugim kilka ataków duszności, i obawiano się, aby jej duszność nie zmogła. Gdy Rogelja i Vilches weszli do pokoju, otwarła oczy. Widząc tyle głów pochylonych nad sobą, powiodła po nich błędnym wzrokiem, poczem zamknęła znowu oczy, jakgdyby ten widok sprawił jej przykrość. Następnie cichutkim głosem przywołała ojca.

— Tatusiu, proszę sprowadzić ojca Benito.

Książę spełnił natychmiast jej życzenie. W przeddzień córka jego przyjęła wiatyk, lecz ponieważ przystępowała często do Komunii, nie przypuszczał, by koniec był tak bliski. Toteż aby się rozerwać, poszedł na chwilę do opery. Doktor Sanz y Forés przybył wkrótce. Obecni wyszli do sąsiedniej komnaty. Ksiądz udał się do pokoju chorej; powrócił niebawem, aby przywołać Rogelję. Krystyna prosiła, by ona sama tylko weszła. Książę jednak wsunął się za nią. Krystyna rzekła do niego słabym głosem:

— Tatusiu, wyjdź... Szkodziś sobie.

Książę usłuchał. Gdy ojciec Benito i Rogelja zostali sami w pokoju, w oczach chorej zabłysnął uśmiech.

— Nie płacz, Rogeljo — rzekła słabym jak tchnienie głosem. — Odchodzę w świat nieskończenie lepszy; odchodzę do Jezusa, do Panny Najświętszej, do aniołów i świętych... Ojciec Benito zapewnia, że wszystkie grzechy są mi darowane! Nieprawdaz, ojcze?



— Tak, drogie dziecko, tak... — odrzekł kapłan wzruszony. — Twoje drobne przewinienia przestały istnieć. Święte Ciało boskiego Zbawiciela, który nawiedził cię wczoraj, oczyściło twoją duszę z pyłu doczesności.

Zapanowało milczenie. Krystyna trzymała rękę Rogelji. Po chwili zapytała z uśmiechem:

— Czy myślisz, ojczy, że w niebie przyjmą z radością takie głupiątko jak ja?

— Moje dziecko, w niebie przyjmują zawsze z radością proste serca. Najwyższa mądrość, jaką możemy osiągnąć na tym świecie, jedyna, jaka przyda się nam na coś w życiu przysłem, to zdanie się na Opatrzność Bożą i wstępowanie w ślady Jezusa.

Znowu zapadło milczenie. Krystyna leżała z zamkniętymi oczyma. Nagle otwarła je szeroko.

— Patrzcie... patrzcie... Niebo! Widzę aniołów... Jakież to piękne! Jakie piękne... Widzę wśród nich Matkę Bożą. Ma płaszcz haftowany w gwiazdy... Słyszę precudną muzykę... Najświętsza Panna trzyma w ręku szkaplerz... Drugą ręką daje znak, bym się zbliżyła... Kto to stoi za nią?... Ach, to mama... Mamusiu, mamusiu, idę!... Prędey, prędey, prowadźcie mnie do niej!

Zamknęła ponownie oczy. Gdy je otworzyła, spojrzała z głęboką czułością na Rogelję.

— Rogeljo, siostrzyczko moja, oczekuję cię w niebie... Módl się za mnie!

Rogelja, pogrążona w bólu i wstydzie, jęknęła:

— Módl się za mnie ty, aniołku Boży! O gdybyś wiedziała...

I zakrywszy twarz dłońmi, załkała rozpaczliwie.

— Nie płacz, Rogeljo... Nie trzeba płakać nad tymi, co odchodzą ze świata.

Potem zdołała wyrzec tylko słów parę. Zamknęła powieki. Otworzyła usta, usiłując rozpaczliwie za-

czerpnać powietrza. Opuściła głowę. Rogelja pobiegła po Fernanda i doktora Velasco. Po zastosowaniu zwykłych prób stwierdzili śmierć. Doktor Sanz y Forés zapytał:

— Koniec?

— Tak, koniec.

Wówczas stanął we drzwiach salonu, gdzie wszyscy byli zgromadzeni, i oświadczył poważnym, uroczystym głosem:

— Czysta, dziewicza i święta dusza margrabianki de Santa Clotilda uleciała do nieba. Módlmy się, aby Bóg za jej wstawiennictwem udzielił nam łaski podobnej śmierci.

Padł na kolana. Wszyscy poszli za jego przykładem, nie wyłączając lekarzy. Modlono się w milczeniu dłuższą chwilę. Księżę chciał wejść do pokoju córki, ale mu przeszkodzono. Nie nalegał zresztą bardzo. Natomiast pojono go kwiatem lipowym i pomarańczowym oraz bromem; pod wpływem tych leków popadł w rozpaczliwy pesymizm: Nie warto się rodzić. Wszyscy ludzie skazani są na cierpienie — i t. p.

Wreszcie zaniesiono go niemal do sypialni. Przez drogę powtarzał ustawicznie:

— Jakie życie jest smutne! jakie smutne! jakie smutne!...

Wydano odpowiednie zarządzenia. Jeden z pokoi zamieniono na kaplicę. Rogelja i ciotka Berenguela ubrały zmarłą w habit karmelitanek, który nosiła w klasztorze. Położyły jej na piersiach piękny złoty krucyfiks, skrzyżowały jej ręce i zamknęły powieki. Ponieważ nie złożyła jeszcze ślubów, okryto jej łóżko kwiatami.

Po ukończeniu tej smutnej czynności wszyscy wrócili do salonu. Niektórzy rozeszli się do domów, inni zostali, aby czuwać przy zmarłej. Nikt jednak

nie chciał pozostać w jej pokoju. Tylko jedna Rogelja prosiła, by pozwolono jej spędzić noc przy tej, która była jej przyjaciółką. Przez czas pewien słyszała szmer rozmów z przyległego salonu, powoli jednak zapanowała cisza. Domyśliła się, że ludzie usadowili się na kanapach i fotelach i zasnęli albo rozmawiali szeptem.

W pokoju Krystyny słyszeć było tylko trzeszczenie wielkich świec woskowych. Rogelja nie mogła oderwać wzroku od istoty, którą tak kochała. Wyglądała, jak pogrążona w słodkim głębokim śnie. Co za kontrast pomiędzy tym spokojem a burzą, szalejącą w duszy Rogelji! Myśli tłoczyły się w jej mózgu, jakby go miały rozsadzić. Twarz jej ściągnęła się boleśnie.

— Czem jestem? — myślała. — Co tu robię? Jakież to dziwne okoliczności sprawiły, że zostałam przyjaciółką tej niewinnej istoty ze świata tak bardzo nad mój świat wyższego? Jakiem prawem zażywam szacunku, na który nie zasługuję? Przypadek losu wyniósł mnie w krótkim czasie z nizin na wyżyny. Doszłam do majątku, do bogactwa prawie; otrzymałam wykształcenie, jakim niewiele kobiet poszczycić się może: wszyscy darzą mnie uznaniem, podziwem nawet. Lecz niestety, zamek mojej wielkości wznosi się na bagnisku. Oddycham wonią wszelkich dóbr tego świata, miłości, zbytku, pochlebstwa, sztuki i nauki; lecz z wonią tą miesza się zawsze odrażający odór zgnilizny. Nie zdołam pozbyć się go nigdy. Kto wie? Zgnilizna jest nadole, niebo — wgórze. A do nieba każdy dostać się może: i łotr i jawnogrzesznica. Tajemną drogą, którą uważałam za przypadek, drogą wytkniętą niewątpliwie ręką Boga, spłynęła na mnie Łaska, zdolna dźwignąć mnie z grzechu. Czyż można wątpić, że anioł, który tu spoczywa, nie został zesłany przez Boga dla zbawienia mojej duszy?

Wstała z krzesła, zbliżyła twarz do twarzy zmarłej przyjaciółki i powiedziała, jakgdyby ta mogła ją słyszeć:

— Krystyno, dziecinko droga, jesteś teraz w niebie, wiesz wszystko. Przebacz mi i proś Jezusa, aby mi winę odpuścił. Błagaj Najświętszą Pannę, by mnie oświeciła i wskazała, jak mam postąpić.

Potem uklękła i modliła się czas pewien. Wreszcie zmożona znużeniem osunęła się na fotel i zasnęła. Gdy otwarła oczy — świtało. Wraz z jasnością dnia światło wewnętrzne wniknęło do jej duszy.

Wiedziała, co czynić.

Zeszła nadół, do swego mieszkania, gdzie wszyscy jeszcze spali, zarzuciła okrycie i udała się do znajdującego się w pobliżu kościoła św. Sebastjana.

— O której godzinie ojciec Sanz y Forés odprawia mszę świętą?

— Właśnie wychodzi ze mszą — odpowiedział zakrystjan, wskazując księdza, który wstępował na stopnie ołtarza.

— Proszę powiedzieć mu po mszy, że pewna pani pragnie się wyspowiadać. Gdzie jest jego konfesjonał? — zapytała, wsuwając mu monetę do ręki.

Wskazał jej. Rogelja uklękła i czekała. Wreszcie przyszedł ojciec Benito. Zasiadł w konfesjonale i spojrzał na młodą kobietę, lecz jej nie poznał. Spowiedź trwała długo. Rogelja powstała z klęczek. Twarz jej pałała. W zapłakanych oczach płonął blask powziętego postanowienia.

---

## CZĘŚĆ III.





## I.

Wyszedszy z kościoła, wsiadła do wynajętego powozu i kazała się zawieźć na ulicę Toledo. Weszła do kilku sklepów, które tylko co otwarto, i kupiła całą garderobę kobiety ze sfer robotniczych: grube koszule, suknię perkalową, pończochy, spódnice, zwykłą wełnianą chustkę, szalik fularowy na głowę, trzewiki, drewniaki. Ułożyła wszystko w tekturowym pudle, umieściła je w powozie i wróciła do domu. Schowała pudło do szafy, poczem udała się do pokoju, w którym spał jej synek. Przez długą chwilę wpatrywała się w śpiące dziecko. Oczy miała suche, ale na czole zarysowała się głęboka zmarszczka i ręce jej drżały. Do pokoju wszedł Vilches.

— Jesteś bardzo blada, Rogeljo. Popelniłaś prawdziwe szaleństwo, czuwając całą noc przy zmarłej. Podobne wzruszenia podkopują organizm i stają się niebezpieczne. Wypij filiżankę herbaty lipowej z kwiatem pomarańczowym i połóż się do łóżka. Ja idę do chorych.

Rogelja udała, że idzie za jego radą; wypiła ziółka, ale nie położyła się. Zamknęła się w swoim pokoju i napisała list następującej treści:

*„Drogi mój Fernando, wyrządzam ci straszną przykrość, a przynajmniej tak mi się zdaje. Odciodzę, może na zawsze. Nie możemy nadal żyć, obrażając Boga i gorsząc ludzi. Łączą mnie z tobą więzy serdeczne, lecz grzeszne. Grzech omroczył mi duszę, lecz Bóg miłosierny zapalił w niej*

światło, które nagle rozjaśniło mroki. Pozwól mi odpokutować za grzech, grzech cięższy od twego, ponieważ ja nie byłam wolna. Uczucia ziemskie, kochany mój, o ile świat niewidzialny nie istnieje, nie posiadają żadnej wartości: są to więzy czysto zwierzęce. A jeśli świat ten istnieje, w co głęboko wierzę, natenczas nabierają istotnej wartości, ale z warunkiem, że Bóg je błogosławi. Nie chcę, aby ludzie dobrzy spoglądali na mnie ze wstrętem, nie chcę zasługiwać na własną pogardę.

A dziecko? — zapytasz. — Dziecko, tracąc mnie, nic nie traci. Ja, słaba kobieta, mogłabym mu dać tylko miłość. Ty dasz mu miłość i to wszystko, co Bóg złożył w twe ręce. Dziś syn mój mnie kocha: jutro stać się dlań mogę zawadą i okryć go hańbą.

Żegnaj, Fernando. Nie staraj się szukać mnie ani śledzić: musiałabym bowiem przypomnieć ci, że związek nasz jest nieprawy, i że ciążą na mnie więzy inne, święte i nierozzerwalne. Przrzekam ci jednak, że jeśli Bóg wróci mi wolność choć na dzień jeden, choć na jedną minutę, — dzień ten, tę minutę poświęcę tobie i przytulę cię do serca. Wiedz bowiem, Fernando, powtarzam ci to po raz ostatni, że kocham cię całą duszą; byłeś jedyną moją miłością, jedynem marzeniem mego życia. Jedyną nadzieją, jaka ożywia mnie w tej chwili, jest myśl, że moja ofiara, przyjęta przez Boga, wysłuży mi szczęście połączenia się z tobą w niebie. Żegnaj, Fernando.“

Aż do pogrzebu margrabianki Rogelja spędziła dzień cały pomiędzy domem własnym a mieszkaniem księcia. Trumnę Krystyny na wspaniałym karawanie, zwanym *carozza estufa*, zaprzężonym w sześć białych koni, przewieziono do grobowca rodzinnego na

cmentarzu prywatnym „las Sacramentales“ w Madrycie.

Doktór Vilches przyjmował od godziny trzeciej do szóstej; potem miał zwyczaj studjować czas jakiś w swoim gabinecie. Następnie szedł do kawiarni „Café Suizo“, gdzie kilku kolegów lekarzy zbierało się przy stoliku, spędzając godzinę na wspólnej pogawędce. Następnie o ósmej wracał do domu na obiad i nie wychodził już więcej. Rogelja skorzystała z owej godziny, aby poczynić przygotowania do wyjazdu. Wysłała Joselina ze służącą do doktora Fuentes, słynnego okulisty i serdecznego przyjaciela Vilchesa; miał on synka w wieku Joselina. Przedtem wszakże zamknęła się z dzieckiem w swoim pokoju, ucałowała je i uściskała, zalewając się łzami. Zasmucony Joselin zapytał:

— Czy cię coś boli, mamusiu? Powiedz tatusiowi, on cię wyleczy.

Wreszcie wyszedł. Śledziła go długo z rozdartem sercem. Zapieczętowała list, napisany do Vilchesa, położyła go w widocznym miejscu pod przyciskiem na biurku doktora, potem udała się do swego pokoju, przebrała się szybko, zapakowała rzeczy i z zawiniątkiem w rękę, unikając ściągnięcia na siebie uwagi służby, wsiadła do dorożki i kazała się zawieźć na dworzec Południowy.

Pociąg andaluzyjski odchodził o ósmej. Kupiła bilet trzeciej klasy i weszła do przedziału. Było w nim pełno ludzi: ubogie kobiety, podobnie jak ona w chustkach na plecach i w szalikach na głowie, robotnicy w chodakach i beretach. Byli to jednak ludzie weseli i, zdawało się, szczęśliwsi od bogatych, z którymi podróżowała nieraz w pierwszej klasie. W nocy śpiewali, krzyczeli, grali na harmonji, opowiadali sobie wzajem niezliczone nadzwyczajne historie. Rogelja nie mogła spać. Nie byłaby zasnęła nawet w ciszy.

— Słuchajno, mała, czemużeś taka poważna?

Rogelja uśmiechnęła się, rozbrajając tym uśmiechem mężczyzn, którzy zaczepiali ją z nudów.

— Czy twój ukochany umarł? Nic nie szkodzi! Znajdziesz tu innego, choć brzydala.

Nazajutrz przyjechała do Algeciras. Noc spędziła w małym domu zajezdnym, na niewygodnym łóżku; zamiast umywalni miała tam żelazną miednicę. Rankiem udała się na przystań, kupiła bilet na statek, zwany „hiszpańskim parowcem pośpiesznym“; był to stary, brudny statek, który odbywał regularne przejazdy do Ceuty i nadawał się raczej do przewozu węgla na rzece niż dla pasażerów. O oznaczonej godzinie zajęła miejsce na ławce na pokładzie obok robotnic takich jak i ona. Stary okręt podniósł kotwicę, zakręcił leniwie i skierował się ku wybrzeżu afrykańskiemu. Szedł stamtąd gorący, duszny wiew. Słońce zalewało zielone fale zatoki, zapalając jaskrawym blaskiem wyloty armat Gibraltaru, które zdawały się grozić naszej biednej, bezbronnej ziemi. Niebawem minęli Penon, wielką skałę Gibraltaru, podobną zdaleka do powalonego olbrzyma.

Rogelja w zadumie wodziła roztargnionym wzrokiem po morzu, nie zdając sobie sprawy z gwałtownych ruchów statku, kołysanego przez prąd cieśniny. Dokuczało to bardzo pasażerom, którzy wyrażali swój zły humor. Po upływie godziny dostrzeżono Acho, cypel, wznoszący się nad Ceutą; znajduje się na nim twierdza. Potem ujrzano grupę rozsianych pod Acho białych domków, a wdali na widnokręgu grzbiety Sierra Bullones, spowitych w lekką błękitną mgłę. Stopniowo owa grupa białych domów poczęła się rozstępować przed oczyma podróżnych: widać było pomiędzy nimi miłe ogródki z małymi drzewkami, dzwonnice paru kościołów i kilka dużych szarych budynków.

Ceuta nie jest miastem afrykańskim. Jest to miasteczko andaluzyjskie, przeniesione na występ łądu afrykańskiego. Występ ten wchodzi w morze, i oblany niem ze wszystkich stron, łączy się z wybrzeżem tylko wąziutkim przesmykiem na zachodzie.

Obszerna przystań Północna, do której przybito, była prawie pusta; ani jednego większego statku, tylko parę łodzi rybackich, przewożących towary do Algeciras, Taryfy, Malagi, oraz kilka galarów, które sunęły leniwie, przewożąc piasek i inne materjały do budowy fortów. Niebawem dojrzano w przystani sylwetki urzędników celnych.

Statek zarzucił kotwicę pośrodku zatoki. Podjechała doń duża łódź, aby przewieźć na brzeg nielicznych pasażerów. Rogelja miała sposobność otrzeć się zbliżając o wielkich panów, którzy na statku gardzili jej towarzystwem. Na przystani znajdowała się grupa ciekawych, oczekujących zawsze z niecierpliwością przybycia parowca kurjerskiego. Był to pstry tłum, złożony z wojskowych, rybaków, sklepiarzy żydowskich i obszarpanych Arabów. Wraz z towarzyszami podróży Rogelja weszła po stromych schodach, wiodących na molo; zaledwie tam stanęła, ludzie oczekujący na przystani obrzucili ją, jak zresztą wszystkich przybyłych, badawczem spojrzeniem. Jej uroda zwracała uwagę, lecz nie dziwiła nikogo. Przedstawiała bowiem ten sam typ co kobiety z Cauty, które są wysokie, smukłe, mają duże, czarne, marzycielskie oczy; na nich właśnie kończy się Andaluzyja i zaczyna Afryka. Oczywiście musiała wysłuchać niesmacznych komplementów od żołnierzy, ale nie bacząc na nie, poważna i wyprostowana przeszła koło nich z zawiniątkiem w rękę, opuściła port i weszła do miasta.

Znalazła się na obszernym placu św. Sebastjana z ogrodem angielskim, zdobnym w posągi. Usiadła na

chwilę na ławce i spojrzała przed siebie na morze. Po podnieceniu, którego doznawała przez czas podróży, ogarnął ją teraz przedziwny spokój, spokój, jaki odczuwać musiał Ferdynand Cortez po spaleniu okrętów. Los jej był rzucony. Stała się tem, czem była niegdyś, zwykłą robotnicą. Dziwiło ją, że nie doznawała ani ostrego bólu, ani niepokoju, opuszczając swoje gniazdo ukochane, w którym zostawiła strzępy własnego serca. — To Bóg! to Bóg! — myślała ze wzruszeniem. Mam Boga w duszy i nikt mnie już nie zdoła z Nim rozłączyć. Z wzrokiem, utkwionym w błękit nieba, szeptała modlitwę dziękczynną.

Wstała z ławki i udała się do miasta. Na jednej z najbliższych ulic spotkała grupę mężczyzn, niosących ciężką lufę armatnią. Byli bez mundurów, lecz z twarzy ich smutnych i wynędzniałych domyśliła się, że to galernicy. Zwróciła się do jakiejś młodej pani, która właśnie przechodziła, i zapytała:

— Co to za ludzie?

Nieznajoma obrzuciła ją zdziwionym wzrokiem, przypatrzyła się jej uważnie i odparła:

— Jakto, pani nie wie? Przestępcy.

Przyjrzała się im baczniej i szła za nimi parę kroków myśląc, że może Maks znajduje się wśród nich. Wkrótce jednak zdała sobie sprawę, iż go tam niema. Szła więc dalej na chybi trafi. Dotarła do innego placu. Ujrzała tam duży stary dom, strzeżony przez wartowników. Dowiedziała się, iż jest to *comandancia general*<sup>1)</sup>. Ulice, któremi szła, z małym wyjątkiem były wąskie, spadziste, marnie brukowane i bez chodników. Domy naogół były niskie, o skromnym wyglądzie, miały okratowane okna, zdobne w kwiaty jak w wioskach andaluzyjskich.

---

<sup>1)</sup> Rezydencja generała komendanta.



Znużona dreptaniem i głodna weszła do jadłodajni, znajdującej się opodal placu Królów, ruchliwszego niż te, które przedtem minęła. Zawiodła ją tu chęć zasięgnięcia informacji. Był to zakład obszerny, ale odrapany i brudny, choć na wywieszce nad drzwiami pysznił się pompatyczną nazwą „Pod chwałą Ceuty“. Poprosiła o kawę. Brzydka, niezdatna, zezowata kobieta podała ją przybyłej tak, jakby jej z łaski rzucała jałmużnę. Coprawda napój nie wart był zapłaty: smak miał wstrętny. Toteż Rogelja przełknęła kawę z trudem, pogryzając chlebem, pozostałym z podróży. Ku wielkiemu zdumieniu ujrzała za bufetem starszego pana w tużurku; pan miał pozór bardzo przyzwoity. Był siwy, a na jego wygolonej twarzy malowała się dobroć i łagodność. Mył szklanki, a wytarłszy je, ustawiał uroczyście na półkach sosnowych, mieszczących się za kontuarem. Ponieważ w owej chwili nikogo prócz Rogelji nie było, oczy jego spoczywały na niej uporczywie, co jednak nie przeszkadzało mu w spokojnem wykonywaniu rozpoczętej pracy. W jego spojrzeniu było tyle powagi, a ruchy miał tak majestatyczne, że Rogelja spoglądała na niego z szacunkiem i z podziwem. Nie mogła zrozumieć, czemu osoba tak czcigodna oddaje się równie niskiej posłudze. Starzec wpatrywał się w nią uporczywie, ale ona przyglądała mu się z niemniejszą ciekawością, choć przez szacunek starała się tego nie okazać. Coby to miało znaczyć? Przyszło jej nawet na myśl, że ten stary pan, podobnie jak ona, odbywa pokutę.

— Don Heliodore — rzekła opryskliwie niemila kobieta — wynieś wiadro na podwórze.

Stary wziął wiadro pełne odpadków i śmieci i zniknął; skoro wrócił, kobieta zapytała go znowu szorstko:

— Czy wytarłeś stoły?

— Tak, moja droga, wytarłem je.

— Ale czyś je dobrze wytarł?

— Sądzę, że tak — odrzekł pan z niejakiem wahaniem.

Kobieta obeszła wszystkie stoliki, nie wyłączając tego, przy którym siedziała Rogelja, i obejrzała je nadzwyczaj skrupulatnie.

— Jak zawsze! Nie znam większej świni od ciebie. Wytrzymaj je raz jeszcze, ja idę po chleb.

Wzięła stojący na kontuarze koszyk i wyszła. Stary z gestem rezygnacji wyjął ścierkę, mydło, naczynie z wodą i począł myć stoły z tą samą uroczą powagą, z jaką przedtem wycierał szklanki.

Zdziwiona Rogelja utwierdzała się coraz silniej w przekonaniu, że odbywa on pokutę. Gdy przyszła kolej na mycie stolika, przy którym siedziała, chciała wstać.

— Nie wstawaj, moje dziecko, nie trzeba. Jesteś nietutejsza, prawda, mała? Nie widziałem cię jeszcze nigdy.

— Przyjechałam z Hiszpanji.

— Aha! Na parę dni?

— Szukam pracy. Mój mąż jest w więzieniu.

— Aha! Bardzo dobrze, moje dziecko, bardzo dobrze. Jaki masz zawód?

— Żadnego. Chcę iść do służby.

— Do służby?... bardzo dobrze, bardzo dobrze. Czy twój mąż jest dawno w katordze?

— Sześć lat.

Don Heliodore, zadając te pytania, nie przerywał swego zajęcia; maczał ścierkę w wodzie i wycierał nią wolniutko stoły.

— Dużo mu brak do końca kary?

— Skazany na dożywotnie ciężkie roboty.

Stary wykonał gest smutnej rezygnacji, znieruchomiał na chwilę i szepnął z współczuciem:

— Dziej się, wolo Boska! Dziej się, wolo Boska!.. Dobrze. A ty co chcesz robić? Za kucharkę chcesz iść czy za pokojówkę?

— To mi obojętne. Potrafię wszystko.

— Bardzo dobrze, bardzo dobrze.

Wyprostował się, zamyślił, trzymając ścierkę w ręku, wreszcie rzekł:

— Otóż tak: mogę ci nastreczyć doskonale miejsce. Żona komendanta Manso odprawiła właśnie służącą i poleciła mi, abym jej wyszukał nową. Mieszkają niedaleko. Znana rodzina, jedna z najlepszych w Ceucie. Będiesz się tam czuła jak królowa.

W zachowaniu i w słowach starca było tyle słodyczy, że Rogelja doznała wzruszenia. Jego uprzejma powaga, spokój, którym tchnęła ta głowa, uwieńczona koroną rzadkich siwych włosów, głęboki głos, mile wpadający w ucho, majestatyczna okągłość jego gestów, wszystko to wpływało na wzbudzenie szacunku i uwielbienia. Starzec tchnął łagodnością i spokojem.

— Dziękuję panu bardzo, bardzo, niech panu Bóg wynagrodzi!

Istotnie spotkanie to było opatrnościowe. Starzec wypytywał Rogelję o szczegóły podróży, o przeszłość, o winę jej męża i o okoliczności, które wywołały zbrodnię. Rogelja przezornie powiedziała mu to tylko, co można było powtórzyć.

— I powiadasz, że już bardzo dawno nie miałaś od niego wiadomości?

— Już dosyć długo.

Don Heliodore zamyślił się.

— W takim razie może nie żyje. — Serce Rogelji zadrżało. — Tak — mówił dalej — praca skazańca jest ciężka, pożywienie — nędzne, klimat — wyczerpujący. Wielu nie może tu wytrzymać. Powinnaś dowiedzieć się w zarządzie.

— Dobrze, pójdę — odrzekła Rogelja głosem stłumionym i drżącym, co don Heliodore wytłumaczył sobie zgoła błędnie.

— Nie martw się, dzielna kobieto. W zarządzie przetrzymają cię długo, zanim udzielią informacji. Najlepiej będzie, gdy się przejdiesz wpobliżu fortów. Jeżeli twój mąż, jak mówisz, jest górnikiem i jeśli żyje, będzie pracował napewno w pierwszym pasie fortecznym, gdzie teraz prowadzą roboty.

— Gdzie to jest?

— Patrz: wrócisz na to miejsce, któreśdy weszłaś do Ceuty, pójdiesz brzegiem morza i znajdziesz się zaraz na placu Afrykańskim, gdzie jest katedra i kwatery artylerji. Tam zapytasz, gdzie są magazyny wojskowe, a tuż za nimi ciągnie się pierwszy pas fortów.

Rogelja wstała. W tej samej chwili weszła owa niemiła i brzydka kobieta, która podawała jej kawę. Właściwym sobie rozkazującym i szorstkim tonem oznajmiła:

— Don Heliodore, pójdiesz w tej chwili do Makara; powiesz, aby przysłał mi dziś koniecznie pięćdziesiąt butelek piwa, które zamówiłam wczoraj. Najlepiej, byś mi zaraz przyniósł ze dwanaście. Masz tutaj koszyk.

I wypróżniwszy koszyk, który trzymała w ręku, podała go staremu. Ten wziął go i sposobił się do wyjścia, aby wykonać zlecenie. Przedtem jednak przysunął się do Rogelji i rzekł tonem słodkim i ojcowskim:

— Nie obawiaj się, moje dziecko. Licz na mnie; wyszukam ci pracę, abyś mogła sobie dać radę. Przyjdź dziś popołudniu; zaprowadzę cię do komendanta Manso; myślę, że to się da zrobić.

Kobieta ogarnęła ich oboje pogardliwem spojrzeniem. Nikły cień ironicznego uśmiechu skrzywił przelotnie jej usta.

## II.

Rogelja wyszła z jadłodajni i stosownie do wskazówek starca wróciła na plac, na którym odpoczywała po przyjeździe. Następnie przeszła przez most de la Almina i ulicą, biegnącą wzdłuż wybrzeża morskiego, dostała się szybko na plac Afrykański, gdzie ujrzała katedrę i front parku artyleryjskiego. Tutaj spotkała inną grupę skazańców, ciągnących olbrzymi wóz, naładowany wypchanymi workami. Z takim samym jak rano niepokojem wpatrywała się bacznie w nieszczęśliwych, szukając męża. Potem weszła do katedry i modliła się chwilę. Była zupełnie spokojna, nie lękała się niczego, nie czuła nawet smutku; dziwiła się sama swej rezygnacji i ciszy, panującej w jej duszy.

— To Bóg! To Bóg! — powtarzała w wewnętrznym rozradowaniu. — Jakże sama znalazłabym w sobie dość siły na dokonanie tej zmiany?

Przed bramą pułku artyleryjskiego stało kilku żołnierzy, którzy usiłowali ją zaczepić słodkimi słówkami:

— Dokądże płynie ta fregata? Zarzuć tu kotwicę, mała! A może pójdziesz ze mną, ślicznotko? Dla ciebie zostałbym dezterterem.

Rogelja przeszła spokojnie, myśląc o czem innem, nie widząc ich nawet i nie słysząc; była przejęta jedną tylko myślą: oto czy w pierwszym pasie fortów znajdzie Maksa. Zapytała jakąś kobietę, gdzie są magazyny wojskowe. Minęła je szybko i znalazła się w pierwszym pasie. Ujrzała wysoki mur i baterje. Na tej rozległej przestrzeni widać było tylko kilka wiejskich domków, pustelnię św. Antoniego i olbrzymie mury, potężne fortyfikacje. Słońce, bezlitosne, skwarne słońce afrykańskie zalewało ową przestrzeń; powiew od morza nie mógł złagodzić jego okrutnej mocy. Rogelja, która pozostawiła za-

winiątko z rzeczami „Pod chwałą Ceuty“, w tem piekle męczennika Heljodora, szła dalej. Zmierzała ku grupie ludzi, pracujących woddali. Z objaśnień, udzielonych jej przez litościwego starca, wyniosowała, że są to zapewne skazańcy. Po drodze spotkała mały jednokonny wózek. Powoził nim chłopiec, którego zagadnęła:

— Czy pomiędzy tymi, co tam pracują, niema niejakiego Maksa?

— Nie wiem, bo dziś po raz pierwszy przywiozłem tu wapno. Zapytajcie ojca Zenona.

— A kto to jest ojciec Zenon?

— Dozorca; siedzi w cieniu baraków.

Rogelja poszła we wskazanym kierunku i ujrzała siwego w podeszłym już wieku człowieka, siedzącego na kamieniu przed barakiem. Trzymał w ręku duży kapelusz filcowy i ocierał pot z czoła chustką, która ongi musiała być czysta. Utkwiwszy weń oczy, zbliżała się, a on wpatrzony w nią, czekał.

Dozorca miał włosy siwe, kręcone, szorstkie, włeniste jak murzyn. Niezbyt się zresztą różnił od murzyna, gdyż twarz jego, całkowicie wygolona, była tak ciemna, że niektórzy mulaci nie byli z pewnością czarniejsi; miał szerokie bary, krzepką budowę, bardzo czarne i głęboko osadzone oczy.

Rogelja, czując utkwione w sobie te straszne oczy, straciła odwagę, głos jej więc drżał silnie, gdy zapytała:

— Może pan byłby łaskaw mi powiedzieć, czy pośród przestępców, którzy pracują opodal, znajduje się człowiek, nazwiskiem Maks Garcia?

Dozorca przypatrywał się jej bacznie w milczeniu. Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głowy, poczem ochryplym i stłumionym głosem odrzekł, nie spuszczaając z niej oczu:

— Naturalnie.



Rogelja nie zrozumiała. Zwróciła głowę ku grupie więźniów, którzy skolei przerwali pracę i przypatrywali się jej uważnie.

Jedni mieli w rękach łomy żelazne, inni trzymali dłonie na rękojeści taczek lub stali wsparci na łopatach. Była to gromada ludzi brudnych, obszarpanych, o zniszczonych twarzach, o chytrem i umykającym w bok spojrzeniu, cechującym niektóre dzikie zwierzęta. Nie mieli mundurów; odzież ich była różnorodna i dziwaczna; jedni byli prawie nadzy, inni — okryci skórami kozłemi, jakgdyby znajdowali się na Syberji. Na wszystkich twarzach malowało się cierpienie, ale u jednych ból przybrał wyraz rezygnacji, u innych — nienawiści, nikczemności i występku.

Dozorca, napatrzywszy się Rogelji dosyta, zapytał:

— Szukasz Maksa Garcia?

— Tak, panie.

— Jest tutaj. Oczywiście chcesz się z nim rozmówić.

— Poto przychodzę. Jestem jego żoną.

Dozorca, coraz bardziej zdziwiony, przyjrzał się jej znowu w milczeniu, tym razem z taką przenikliwą ciekawością, że Rogelja zmieszała się.

— Dobrze — rzekł wreszcie. — Podczas pracy rozmawiać nie wolno, lecz jeżeli idzie o parę słów tylko, nie będę robił trudności.

Powstał z kamienia, na którym siedział, podszedł do grupy skazańców i powrócił z jednym z nich. Serce Rogelji trzepotało w piersi jak ptak spłoszony.

Nie byłaby go poznała. Człowiekiem, którego prowadził dozorca, był istotnie Maks, lecz tak zmieniony, tak zestarzały, taki zmarnowany, że Rogelja zadrżała z przerażenia. Nie był nigdy piękny; lata katorgi uczyniły z niego istotę brzydką i wstrętną.

Rogelja zbladła jak płótno.

Dwaj mężczyźni zbliżyli się ku niej.

— Maks, oto kobietka, która mówi, że jest twoją żoną.

— Dzieńdobry, Maksie. Jak się masz? Czyż nie prawda, że jestem twoją żoną?

Górnik, ogarnięty zdumieniem wobec tej prześlicznej kobiety, popatrzył na nią oczyma bez wyrazu. Wreszcie jego znikczemniała twarz wykrzywiła się chytrym uśmiechem. Rzekł:

— Przyjechałaś, bo cię twój gagatek wypędził?

Wypluł te niegodziwe słowa z widocznym zadowoleniem i zaśmiał się głośno.

— Nie, nikt mnie nie wypędził — odpowiedziała łagodnie. — Przyjechałam, bo jestem twoją żoną wobec Boga i wobec ludzi. Żałuję, że nie dotrzymałam tego, com ci niegdyś zaprzysięgła przed ołtarzem.

Katorżnik nie zrozumiał lub zrozumieć nie chciał.

— Bo jeżeli przyjechałaś poto, abym cię utrzymywał, to się grubo mylisz. Za te trzydzieści cztery *maravedisy*<sup>1)</sup>, które mi płacą, musielibyśmy się żywić korzonkami.

— Nie przyjechałam poto, abyś mnie utrzymywał, ale by pracować i pomagać ci w miarę mej możności.

— Zdaje mi się, że musiałaś zapomnieć pracować. Nie wyglądasz na to, byś się zabijała z pracy.

— Przypomnę sobie znowu, a Bóg udzieli mi siły.

Więźniowie zdziwieni i zaciekawieni zbliżyli się i przypatrywali tym dwojgu. Niektórzy, obdarzeni zaufaniem Maksa, wiedzieli, że ma piękną żonę; wiedzieli też, że jej zdrada doprowadziła go do zbrodni, za którą został skazany. Im wszystkim Rogelja zdała się niebiańskim widzeniem: nie mogli nasycić nią oczu.

— Nietylko ja, ale i ty również — mówiła dalej — uchybiłeś swoim obowiązkom. Zawiniliśmy oboje.

<sup>1)</sup> *Maravedi* — półtora centyma francuskiego.

Poczem Rogelja w dłuższem przemówieniu zaczęła męża do poddania się woli Bożej i niesienia krzyża z radością, gdyż cierpienia ziemskie niczem są wobec szczęścia, jakie na tamtym świecie czeka żałującego i pokutującego szczerze grzesznika.

Maks słuchał z szeroko rozwartemi oczyma, okazując wyraźne zainteresowanie. Nagle wybuchnął śmiechem tak grubjańskim i brutalnym, że Rogelja zdumiała się i zmieszała. Skazańcy zawtórowali mu. Tylko dozorca zachował powagę.

— Dobrze — szepnęła Rogelja, wzruszając z rezygnacją ramionami — Bóg nie zawładnął jeszcze twojem sercem. Jeśli zechce wysłuchać moich pokornych modlitw, stanie się to niebawem.

Maks odwrócił się od niej, by odejść na miejsce pracy; na odchodnem jednak zawołał:

— Słuchajno, Rogeljo? Czy takie kazanie wygarnęłaś także twemu lubemu?

Skazańcy przyjęli tę zniewagę głośnemi okrzykami. Dozorca uśmiechnął się tylko.

Rogelja patrzyła na oddalającego się męża. Stała chwilę bez ruchu, wreszcie zdecydowała się pójść za nim. Zbliżyła się do niego i rzekła, wyciągając rękę:

— Nie gniewajmy się, Maksie. Zapomnijmy o tem, co było, i rozpocznijmy życie szlachetniejsze, bardziej zgodne z wolą Bożą.

Maks bez słowa rzucił jej spojrzenie, zionące niewiścią i pogardą.

Rogelja szła dalej obok niego z wyciągniętą ręką i powiedziała ściszym głosem:

— Ujmij moją dłoń, Maksie; znajdziesz w niej coś, co ci się będzie podobało.

Skazaniec spojrział: ujrzał błyszczący duro.

Schwycił pieniądz i ukrył go szybko pod koszulą na piersiach. Rozejrzał się podejrzliwie dokoła, poczem wrócił do przerwanej pracy, nie zwracając uwagi na żonę. Ta pozostała chwilę, przyglądając mu się

ze smutkiem; wreszcie zawróciła i podeszła do miejsca, gdzie siedział dozorca.

— Dziękuję panu — rzekła — dowidzenia. Pozwoli mi pan przyjść tu czasami i zamienić parę słów z mężem?

— Najlepiej, abyś zwróciła się do naczelnika; jeżeli to istotnie twój mąż, uzyskasz pozwolenie na rozmowę i... na inne rzeczy.

Spojrzał na nią badawczo.

— Więc to naprawdę twój mąż?

— Tak, panie. Pobraliśmy się na jakiś rok przed jego skazaniem.

— W takim razie muszę ci z przykrością powiedzieć, że to bandyta. To jeden z najgorszych, jakich mieliśmy tutaj. Dobry pracownik, niema co gadać, i dlatego niejedno mu się przepuszcza; ale pozatem zwierzę prawdziwe. W parę dni po przybyciu tutaj wdał się w kłótnię z jednym ze swych towarzyszków i łupnął go po głowie łomem żelaznym. Ten ledwo się wymignął od śmierci. Oczywiście, nie uszło mu to płazem. Przez cały miesiąc trzymano go *amarrado en blanca*.

— Co to jest?

— O, nic wielkiego — odrzekł dozorca z ironicznym uśmiechem. — Przykuwa się przestępcę łańcuchem do ściany tak, że może tylko trochę zgiać ciało podczas nocy.

Rogelja zadrżała.

— To straszne.

— Potem przeszedł do *los solitarios*.

— A to?

— Są to doły, jakgdyby studnie, wykopane na wysokość człowieka. Przebył tam miesiąc, a wreszcie dostał rok celi z okuciem w kajdany. Nie poprawił się jednak. Boją się go wszyscy. Ani się obejrzymy, jak znowu dopuści się podobnego wybryku.

Zamilkł i przyglądał się dalej młodej kobiecie.

— Ale ty, moje dziecko — rzekł wreszcie ze współczuciem — pocóżeś przyjechała do tej dziury? Nie powiodło ci się gdzieindziej, — to i tu napewno spotka cię niepowodzenie... Tem więcej, że nie wyglądasz na przywykłą do trudów i cierpienia... Jesteś zdrowa i młoda jeszcze...

— Przyjechałam, bo to mój obowiązek. Mój mąż nie jest dobry; ale i ja również dobrą nie byłam. Słyszał pan, jak mnie zelżył. Ma słuszość. Zawiniłam wobec niego, ale chcę to naprawić. Mam nadzieję, że Bóg miłosierny odpuści mnie i mężowi.

— Co do Boga — rzekł dozorca z uśmiechem — to nie wątpię; ale twój mąż wyrządzi ci niejedną przykrość... Bo to łotr, wiesz o tem?

— Kto wie, czy Bóg wreszcie nie skruszy jego serca.

— Daleko prawdopodobniejsze, że jeżeli nie będziesz się miała na baczności — Maks przebije cię nożem. W ciągu roku zabraliśmy mu już trzy noże. Nie pojmuję, skąd ta bestja je zdobywa. Kiedy przyjechałaś?

— Dziś rano, dwie godziny temu.

— Kto cię tu przyprowadził?

— Weszłam do jadłodajni *Pod chwałą Ceuty*. Był tam jakiś pan bardzo przyzwoity...

— Pan w tuzurku?

— Tak.

Dozorca wybuchnął śmiechem.

— To zajazd Heljodora. Moja mała, weszłaś w paszczę wilkowi.

— Ależ on mi się wydał bardzo zacny, udzielił mi wszelkich potrzebnych informacji.

— Słuchajno, Marceli! — zawołał dozorca, zwracając się do jednego z więźniów, który przechodził właśnie, pchając taczkę. — Ta mała była w zajęz-dzie notariusza, który jest bardzo zacnym panem...

Więzień postawił na chwilę taczkę i również wybuchnął śmiechem.

Dozorca odzyskał wreszcie powagę i zwrócił się znowu do Rogelji:

— To najgorszy łotr spomiędzy wszystkich przestępców, przysyłanych do Ceuty. Ci tutaj wszyscy — to anioły w porównaniu z nim.

— Jakto? Przestępców? Więc on jest przestępcą?

— Oczywiście, taksamo jak ja i wszyscy inni. Popelniał mnóstwo oszustw i fałszerstw testamentowych. Skazany został na dziesięć lat, a odbył tylko dwa.

— Jakim więc sposobem jest wolny i ma przedsiębiorstwo?

— Zaraz ci wytłumaczę! — rzekł, zniżając głos, i dał znak więźniowi, by wracał do swojej pracy.

— Temu szubrawcowi wkrótce po przybyciu tutaj udało się wkręcić do kancelarji jenerała komendanta; pomagał mu pisać listy, przepisywał na czysto dokumenty, ma bowiem bardzo piękne pismo. U komendanta służyła za kucharkę stara i brzydka Restituta... Notariusz zrozumiał, że przez nią może wiele zyskać, toteż począł jej nadskakiwać. Oczywiście, ponieważ był to pan w tużurku, zwróciła na niego uwagę... Ten nicpoń nie zdejmował tużurka nawet przy pracy w forcie... Udało mu się opętać kucharkę; ożenił się z nią i jenerał ich proteguje; pozwolił mu otworzyć jadłodajnię i pozostawia go na wolności.

— Więc ta brzydka kobieta w karczmie?...

— Która zezuje lewem okiem do prawej kieszeni?

— Tak, zdaje mi się, że ma zeza.

— To właśnie ona.

— Nie mogłam się tego domyślić, bo mówi do niego „don Heliodore“.



— Owszem; nazywa go don Heljodorem, ale pogania go batem, możesz mi wierzyć. Wolałbym tysiąc razy wiercić skałę jak twój mąż, niż mieć przy sobie tę starą podeszew, tę zgniłą cytrynę.

Rogelja, widząc, że dozorca rozgała się na dobre, chciała uzyskać od niego nieco wskazówek. Gdzie stołują się więźniowie? gdzie sypiają? ile mają godzin pracy? jakie otrzymują pożywienie?

Dozorca odpowiadał na wszystkie pytania uprzejmie.

— Moja kochana, żywią nas gorzej niż świnie, a sypiamy też nie lepiej. Ta brygada, którą tu widzisz, złożona z pięćdziesięciu ludzi, mieszkała dłuższy czas na górze, gdzie się znajduje forteca. W sypialniach było miejsce na trzystu ludzi, a nas było siedmiuset. Możesz sobie wyobrazić, jak nam było wygodnie. Niedawno kazano nam zejść do Principal; jest to dzielnica, położona u podnóża góry Acho; nie lepiej nam tu jednak. Sypia nas tam przeszło tysiąc. Nie radzę ci zaglądać do naszych sypialni: straciłabyś apetyt. Brudne łóżka polowe ustawione pod ścianą, pomiędzy niemi na noc rozkłada się łóżka dodatkowe. Przykrywamy się lichymi dziurawymi kocami, ale nie odczuwamy chłodu, nawet zimą, bo powietrze jest tam tak gęste, że siekierę w niem zawiesić można; a co za woń!... Wyobraź sobie, że pośrodku stoi duża kadź, służąca dla wszystkich... Niezła kadzielnica, nieprawdaż, moje dziecko?

Rogelja zdrętwiała z obrzydzenia. Spuściła głowę i wyszeptała:

— Nie potrzeba wam innego czyścca. Jeśli zdołacie znieść to cierpliwie, zasłuzycie na niebo.

— W katordze niema mowy o cierpliwości, moja droga. Na kwaterze słyszy się takie bluźnierstwa, że i sam arcybiskup nie wymyśliłby straszniejszych... I gdyby kończyło się na słowach...

— W takim razie — rzekła Rogelja, drżąc na całym ciele — zasłużyliście na podwójne piekło: jedno za życia, a drugie — po śmierci.

Dozorca spojrział na nią z ciekawością i podziwem.

— Masz słuszość, moje dziecko, masz słuszość. Dwa piekła, jedno tu, a drugie — tam.

Zachwycił się temi słowami jak najlepszym dowcipem.

Ale Rogelja była smutna i strwożona. Toteż choć czuła, że dozorca ma wielką chęć jeszcze porozmawiać, podziękowała mu powtórnie i odeszła.

Oddaliwszy się nieco, odwróciła głowę i stanęła. Tam, wdali, więźniowie roili się i poruszali jak mrówki. Rozróżniła wśród nich męża i poczęła drzeć na całym ciele. Przybyła tu pełna energii; pod niebiańskim powiewem natchnienia, który orzeźwiał jej duszę, wszystko wydawało się możliwem. A teraz nagle siły ją opuszczały; czuła, że słabnie; ogarniał ją śmiertelny smutek, gorzycz i odraza. Myśl należenia do męża przejmowała ją dreszczem zgrozy, kolana ugięły się pod nią, zimny pot występował na czoło. Ach nie, nie, nie! Zanic!

Żołnierze przed koszarami artylerji, widząc, że wraca z twarzą ściągniętą bólem, pozwolili jej przejść spokojnie, nie zaczepiając żadnym żartem. Gdy przeszła, jeden z nich zawołał głośno:

— Koledzy, ta mała ma boleści!

Istotnie czuła ból, ale ból serca. Cierpiała tak bardzo, że zatrzymała się i przycisnęła dłoń do piersi. Miała wrażenie, że upadnie. Wreszcie odetchnęła głębiej i poszła dalej.

Przechodząc koło katedry, spostrzegła, że drzwi są otwarte. Weszła. Chłodne powietrze kościoła orzeźwiło jej ciało i duszę. Pośród zupełnej pustki słyhać było dźwięki organów, które to ciszej to głośniejsz przelewały się pod uśpionem sklepieniem.

Organista, korzystając z nieobecności wiernych, ćwiczył się zapewne. Uklękła przed wielkim ołtarzem. Sercem kołatała do drzwi tabernakulum, błagając ukrytego tam Boga o pomoc i pociechę. Trwała długi czas na modlitwie. Modliła się jak Jezus owej pamiętnej nocy w Getsemani, gdy dusza Jego, przepełniona goryczą, drżała przed gotującą się dlań męką. Jak On powtarzała z łękiem: „Ojcze mój, jeśli chcesz, przenieś ode mnie ten kielich, a wszakże nie moja wola, ale twoja niechaj się stanie“.

I kielich został przeniesiony.

Po modlitwie siadła na ławce, aby posłuchać muzyki. Gra na organach wzruszyła ją i łzy potoczyły się po twarzy. Płacz przywrócił jej spokój. Wyszła z kościoła, pełna poddania, gotowa ponieść najcięższą ofiarę, największe męczeństwo.

Rozpytując przechodniów o drogę, doszła do domu karnego. Był to budynek ciemny i brudny, jak wszystkie niemal w Ceucie. W brudnym, zapyłonym przedsionku zastała kilku mężczyzn w niechlujnym stroju. Mieli podejrzaną wygląd, ale Rogelja śmiało zapytała, czy może się rozmówić z dyrektorem. Kazali jej usiąść i zaczekać, poczem wrócili do przerwanej rozmowy, nie zwracając na nią uwagi. Mówili o dostawcy żywności dla więźniów; nazywali go oszustem i bandytą. Dostarczał zgniłe ryby, robaczywą fasolę, chleb z piaskiem. Nie byłoby nic dziwnego, gdyby to wywołało *plante*, t. j. bunt w więzieniu.

— To złodziej spod ciemnej gwiazdy, rozbójnik pierwszej klasy — zakonkludował jeden. — Temu nie sprzykrzy się kraść.

— Ba! — rzekł inny, wzruszając ramionami. — Jabym robił to samo na jego miejscu.

Pozostali poczęli się śmiać, uznając snąc, że myśl jest niezła.

Wreszcie przypomnieli sobie o Rogelji. Poczęli spoglądać na nią badawczo. Co to za jejmość? Zapewne jakaś dziewczyna z Malagi, która przyjechała za oficerem.

Rogelja wstała i rzekła:

— Jeżeli pan dyrektor nie może mnie przyjąć teraz, to przyjdę jutro.

— Słuchaj, Manuel — zwrócił się jeden do drugiego — idźno zobacz, czy naczelnik może przyjąć tę małą.

Tamten wyszedł. Po chwili wrócił, prosząc Rogelję do biura naczelnika.

Pokój, do którego weszła Rogelja, nie grzeszył również wytwornością. Skromny gabinet o starych sprzętach niezbyt starannie utrzymanych, szafa zastawiona jednakowo oprawnemi książkami, prawdopodobnie rocznikami *Gazety*, krzesła trzcinowe, biurko zarzucone papierami. Przy biurku siedział naczelnik i pisał.

Był to człowiek lat około pięćdziesięciu, łysy, z długimi, siwymi obwisłemi wąsami. Nos miał zakrzywiony, duże czarne oczy ocienione gęstemi, zrosniętymi na czole brwiami. Nosił czarne ubranie, czarny krawat, kołnierzyk i koszulę ze sztywnym gorsem.

Podniósł głowę i zmierzył surowym wzrokiem wielce onieśmieloną Rogelję. Spojrzenie tego człowieka było istotnie osobliwe: jakieś ostre, niesamowite i magnetyczne, jak u pogromcy dzikich zwierząt. I rzeczywiście don Eulogio Ballester, zajmujący od kilku lat stanowisko dyrektora kolonji karnej w Ceucie, był takim pogromcą. Ilekroć trzeba było zaryzykować życie, czynił to bez najmniejszego wahania. Opowiadano o nim nadzwyczajne historie. Kilkakrotnie, gdy więźniowie, doprowadzeni do ostateczności przez skąpe i ohydne jadło, otrzymywane z łaski chciwych dostawców, porywali się do

buntu, gotowi drogo sprzedać swe życie, wystarczyło, by Ballester wszedł do sali jak pogromca do klatki i spojrzał milcząco na te rozjuszony bestje. Bunt mijał momentalnie. W głębi duszy był to człowiek uczciwy i sprawiedliwy; przytaczano fakty, świadczące o tem niezbiacie. Wśród więźniów wzbudzał strach bez nienawiści. Sprawiedliwość bowiem jest kwiatem, który nawet wśród cierni wydaje zapach kojący.

— Czego pani sobie życzy? — zapytał, przypatrzywszy się Rogelji w milczeniu.

— Jestem żoną jednego z więźniów. Przyjechałam z Hiszpanji. Słyszałam, że skazanym na ciężkie roboty wolno tutaj mieszkać z żonami.

— W jakim oddziale znajduje się więzień?

— Zdaje mi się, że w Principal.

— Jak się nazywa?

— Maksymiljan Garcia.

— Nie znam go. Owszem, zezwala się niekiedy na przebywanie żon skazańców, lecz jedynie tych, którzy dobrem sprawowaniem zasłużą na wyróżnienie.

Zadzwoił. We drzwiach, znajdujących się za biurkiem, ukazał się szczupły i blady młodzieniec, który stanął na baczność przed naczelnikiem.

— Manolo, przynieś akta więźniów z Principal. Potrzeba mi danych o niejakim Maksymiljanie Garcia.

Młodzieniec skłonił się i powiedział szeptem kilka słów naczelnikowi.

— Jakto! — zawołał ten, zmarszczywszy czoło — to ten łotr, co wkrótce po przybyciu chciał łomem żelaznym zabić jednego ze swych towarzyszków?

Poczem zwrócił się do Rogelji, mówiąc do niej tym razem przez „ty“:

— Nie, moja droga, nie! Twój mąż należy do najgorszych; jest niebezpieczny, pozwalam zaś mie-

szkać z rodziną tym tylko, którzy okazali skrucę i sprawują się bez zarzutu. Dowidzenia.

Gdy miała wychodzić, naczelnik przywołał ją jeszcze.

— Słuchaj, mała, musisz mieć dokumenty, świadczące, że jesteś jego prawowitą żoną.

— Nie mam żadnych.

— Ach, tak! — rzekł z irytacją. — Podniósł rękę i odprawił kobietę z pogardliwym gestem.

Rogelja przyjęła ów gest pogardy jak błogosławieństwo...

### III.

Wyszła lekkim krokiem z więzienia i udała się do karczmy Heljodora, gdzie zostawiła zawiniątko z rzeczami. Rumieńce powróciły jej na twarz i znikły bolesne zmarszczki wyryte przez dojmującą trwogę. Bóg nie chciał zesłać na nią tej próby, uznając, iż jest ponad jej siły. Uczuła w sercu spokój, a nawet radość, jakgdyby uniknęła śmiertelnego niebezpieczeństwa. Wdychała z rozkoszą zapach morza i cieszyła się pieszczotą płomiennego słońca. Ogarnęło ją poczucie odwagi i siły; każda inna ofiara wydawała jej się igraszką w porównaniu z tą, której los jej oszczędził. Bóg — myślała pod wpływem wiary, która oświecała jej duszę — zsyla nam tylko takie krzyże, które zdołamy podźwignąć.

Gdy wróciła do karczmy, czcigodny don Heliodore, który w dalszym ciągu zmywał i wycierał szklanki, przerwał na chwilę swoje zajęcie i zbliżył się do niej, promieniający dobrocią i serdecznością. Ale Rogelja wiedząc już teraz, co ma myśleć o świętnych i szczególnych przywilejach, z których korzystał, powitała go wzrokiem pełnym współczucia raczej niż szacunku.



— Chcesz coś zjeść, mała? Czas na śniadanie.

Rogelja była rzeczywiście głodna, toteż zjadła ze smakiem, co don Heliodore przyniósł jej z kuchni: mało zachęcającą potrawę z kabeljana z ziemniakami. Szanowny gospodarz usiadł przy niej.

— Jak się nazywasz, moje dziecko? — zagadnął, ogarniając ją ojcowskiem spojrzeniem.

— Rogelja.

— Otóż, Rogeljo, mam dla ciebie dobrą nowinę: przed chwilą mówiłem z żoną komendanta Manso, która mieszka niedaleko stąd; powiedziałem, że mam dla niej młodą, przystojną pokojówkę. Bieda tylko, że nie masz świadectw. Nie znasz w Ceucie nikogo, prawda?

— Nie, panie.

— Do licha! — mruknął, trąc dłonią czoło z niezadowoleniem. — To wielka szkoda, bo z serca chciałbym ci usłużyć.

— Trudno — odrzekła Rogelja obojętnie. — Poszukam tu sobie jakiejs pracy.

— Niełatwo to będzie. Nigdzie cię nie przyjmą bez referencyj.

— W takim razie będę wyładowywać piasek w porcie.

— O, szkoda by cię było do takiej pracy! — zawołał don Heliodore z gorącym współczuciem. — Z takim ślicznym buziakiem! To niemożliwe, to niemożliwe!

Zamyślił się chwilę.

— Czy widziałaś się z naczelnikiem domu kar-nego?

— Tak, panie.

— I co ci powiedział?

— Że nie mogę zamieszkać z mężem.

— Wiedziałem o tem, ale nie chciałem mówić.

W swoim czasie popuszczono więźniom cugli i wy-

nikły stąd nadużycia: awantury, świństwa, bezecenstwa...

Don Heliodore wydał policzki i wytrzeszczył oczy na znak zgorzelenia.

— Dobrze — oświadczył wreszcie. — Ja oświadczyć nie sądzę, byś chciała nas oszukać. Jestem pewien, że jesteś porządną kobietą; toteż zrobię dla ciebie, co tylko w mojej mocy.

— Dziękuję panu bardzo.

Don Heliodore zamyślił się znowu.

— Mogę cię uratować — rzekł wreszcie. — Mogę powiedzieć komendantowej, że znam cię z Madrytu, gdzie służyłaś w przyzwoitym domu.

— Bardzo panu dziękuję.

— Ale rozumiesz oczywiście, że oddaję ci wielką przysługę... i że oczekuję wzamian od ciebie pewnej drobnej ofiary. Czasy są ciężkie. W Ceucie w handlu napojami panuje silna konkurencja, podatki są coraz wyższe, import z półwyspu uciążliwy i kosztowny: z trudem możemy związać koniec z końcem. Pragnąłbym z serca usłużyć ci bezinteresownie, ale nie mogę... okoliczności...

— Dobrze, więc co? — rzekła Rogelja niecierpliwie.

— Daj mi tylko pięć durów za to.

Rogelję ogarnął głęboki wstręt. Chciała zerwać się i odejść, aby nie widzieć tego chciwca, lecz oparowała się i została. Zastanowiła się, że istotnie bez referencyj trudno jej będzie znaleźć jakiekolwiek miejsce, i że nie czuje się na siłach powrócić do ciężkiej pracy, od której odwykła.

— Dobrze — odparła poważnie, wydobywając z kieszeni chusteczkę. Wysupłała z niej pięć durów. — Proszę, oto zapłata za pańską pracę.

Ostatnie słowa wymówiła z naciskiem. „Notariusz“ wziął pieniądze z zasmuconą miną i schował je do kieszeni w kamizelce.

— Bardzo mi przykro, moje dziecko, że biore od ciebie te pieniądze.

— Niech się pan nie martwi. Kiedy pójdziemy do tej pani?

— Choćby zaraz.

Do izby weszła była kucharka jenerała, godna małżonka dostojnego Heljodora. Złośliwie się uśmiechając, ciekawie śledziła zza lady tę obławę na pięć durów.

Pieniądze, dane karczmarzowi, stanowiły cały niemal majątek Rogelji, gdyż zabrała z domu tylko tyle, co na podróż. Mimo to ogarnęła ją jakaś święta radość na myśl, że jest teraz zupełnie uboga, tak jak Bóg chciał, że jest to pokuta za lata, przeżyte w nagannym zbytku; musi żyć wyłącznie z pracy rąk, jak w dniach niewinności, gdy zarabiała na chleb noszeniem koszów w kopalniach Langreo.

Don Heliodore włożył na głowę stary zniszczony cylinder i szepnął coś swej godnej połowicy. Choć starał się mówić cicho, Rogelja zrozumiała, że oddał jej zarobione pięć durów.

— Chodźmy, moje dziecko.

Rogelja poszła za nim. Gdy się znaleźli na ulicy, notariusz zatrzymał się, i patrząc z powagą na młodą kobietę, rzekł uroczyście:

— Wejdiesz, moja droga, do świątyni sztuki.

Rogelja spojrzała na niego zdziwiona.

— Nie rozumiesz?

— Nie, proszę pana, niebardzo rozumiem.

Don Heliodore zadął głowę i z miną pewną siebie, wydymając swoim zwyczajem policzki, oświadczył:

— Oczywiście; nie masz, biedaczko, wykształcenia, toteż nie rozumiesz wyrażeń, których używają ludzie kulturalni. Postaram się zniżyć do twego poziomu. Otóż chcę przez to powiedzieć, że dom, w którym będziesz służyła, jest domem nie byle ja-

kim i że państwo, do których się godzisz, nie są pierwsi lepsi. Zrozumiałaś?

— Owszem, panie, doskonale.

— Państwo ci otrzymali świetne wykształcenie i są wielkimi artystami. Oczywiście nie rozumiesz, co to znaczy. Artysta — to taki, co się poświęca sztuce, to jest muzyce, malarstwu. Rozumiesz teraz?

— Tak, panie: owi państwo są muzykami i malarzami.

— Nie, biedaczko, nie! — zawołał porywczo notariusz z pogardliwym zniecierpliwieniem. — Malarze i muzycy to ludzie, co zarabiają na utrzymanie malarstwem albo grą na instrumentach, a ci panowie nie potrzebują zarabiać, bo mają dosyć pieniędzy.

— Dobrze, więc pracują za darmo.

— Nie. Nie pracują, ponieważ czynią to dla własnej przyjemności, bez niczyjego nakazu.

— To ślicznie!

Don Heliodore popatrzył na nią ze współczuciem, a doszedłszy do przekonania, że nie trafi do tej surowej i pierwotnej inteligencji, przestał mówić. Szli dalej w milczeniu. Niebawem dotarli do domu komendanta Manso, jednego z najpiękniejszych na owej ulicy. Dom, utrzymany w stylu andaluzyjskim, był niski, parterowy, o dużych oknach, wychodzących na ulicę, i z bramą, zaopatrzoną w kratę wewnętrzną, przez którą widać było dziedziniec, okryty z góry płótnem i urządzony z wytwornym smakiem. W bramie już usłyszeli dźwięki fortepianu. Don Heliodore stanął i, utkwivszy okragłe, pełne podziwu oczy w swej towarzyszcze, wyrzekł tonem triumfalnym:

— Widzisz! Wstąpiłaś do świątyni sztuki.

Świątynia nie była gotycka. Melodja, którą słyszeli, była popularną polką, wygrywaną wówczas przez wszystkie katarynki madryckie. Don Heliodore

zadzwoił. Otworzyła im brzydka i niechlujnie odziana służąca.

— Wincencjo, czy dona Heloiza w domu?

— Czego pan chce? — odpowiedziała służąca, patrząc na notariusza pogardliwym wzrokiem.

— Przyprowadziłem pokojówkę, o której mówiłem z panią.

Służąca obrzuciła Rogelję nieżyczliwym spojrzeniem i rzekła:

— Proszę wejść.

Dziedziniec, według andaluzyjskiego zwyczaju, zdobiły zielone rośliny i kwiaty. W rogu stał fortepian, okryty wspaniałym szalem Manilla, na ziemi leżało kilka jaskrawych dywaników; porozstawiane tu i owdzie krzesła i kanapki wypełniały niezbyt obszerną przestrzeń.

Przy fortepianie siedziała wykonawczyni owej sławetnej polki, młoda panna, tak szczupła, że wyglądała jak świeca paschalna, umieszczona na taburecie. Gdy don Heliodore i jego towarzyszka weszli do pokoju, polka urwała się, i panna zwróciła się ku nim. Nie była ani ładna ani brzydka; rysy miała prawie idealne, oczy smutne i podkrążone, co nadawało całej twarzy wyraz chorowity.

Don Heliodore oddał jej kilka ukłonów; nie raczyła odpowiedzieć na nie i spoglądała na niego i na Rogelję z pogardliwą obojętnością.

— Gdzie mama panienki?

Panna dała znak oczyma, wskazując kąt, gdzie starsza pani, ubrana w biały muślinowy strój poranny, siedziała na kanapce z książką w ręku. Dama ta prowadziła widocznie nierówną walkę z dziełem czasu; Rogelja zauważyła odrazu, że miała wszystko młotowane: włosy, usta, policzki, oczy, podobnie jak oczy córki interesująco podkrążone. Usłyszawszy kroki notariusza, podniosła oczy znad książki, lecz

opuściła je natychmiast, jakgdyby nie zauważyła przybyłych.

Don Heliodore z kapeluszem w rękę czekał; widząc jednak, że ani pani komendantowa ani jej córka, która zaczęła znowu grać na fortepianie, nie zwracają nań żadnej uwagi, odezwał się nieśmiało:

— Dono Heloizo, przyprowadziłem służącą, o której mówiliśmy.

Dama podniosła znowu głowę, spojrzała na przybyłych roztargnionym wzrokiem, i zwracając się do córki, rzekła:

— Cudowne. Ten romans jest boski; subtelny i wzruszający ponad wszelką pochwałę. Młoda dziewczyna, przygarnięta z litości przez pewnych książąt, zwraca na siebie uwagę księcia Roberta, narzeczonego hrabianki, pięknej, lecz szatańsko dumnej. Małżeństwo zostaje zerwane, książę żeni się z ubogą dziewczyną, która w ten sposób zostaje księżną. Zachwycają mnie takie powieści!

— Mnie znowu — odpowiedziała panna, siedząca przy fortepianie — podobają się powieści, których akcja rozgrywa się w dworach wiejskich, we wspaniałych pałacach, tonących w zieleni parków, gdzie rodziny arystokratyczne spędzają lato i przyjmują licznych gości z wysokich sfer. O, życie w pałacach jest bardzo interesujące! Tam rodzą się i rozwijają najwznioślejsze i najarystokratyczniejsze namiętności. Czytałam niedawno powieść, którą mi pożyczyła pułkownikowa. Występuje tam młoda arystokratka, córka barona Ledoyen; zakochuje się ona w swym ojczymie. Jej matka, baronowa, wysłała drugi raz zamaż za bardzo pięknego młodzieńca, hrabiego de Maldant. Julja kocha go do szaleństwa. Wyobraź sobie jej cierpienia! Z jednej strony przywiązanie do matki, szacunek jej należny; z drugiej — płomienna miłość, która ją skłania do wyznania miłości ojczymowi. Ostatecznie, nie mogąc znieść tych mę-



czarni, topi się w jeziorze parkowem. O, te samobójstwa w jeziorach mają dla mnie urok niewysłowiony!

— Wszystko to jest mdle, zniewieściale, cukierkowe — odezwał się głos z przeciwległego końca podwórza.

Rogelja, która dotychczas widziała tylko dwie pannie, odwróciła głowę ze zdziwieniem i ujrzała ukrytego za filarem młodzieńca, który rysował na desce wspartej o kolana. Po tych słowach młodzieniec odłożył ołówek, oparł deskę o mur i wyszedł na środek dziedzińca, rzuciwszy na Rogelję zaciekawione i niewolne od zachwyty spojrzenie.

Był to chłopak blady, wąty, garbaty, z długimi włosami na modłę artystów francuskich. Twarz miał sympatyczną, rysy regularne, oczy czarne, duże i smutne, podkrążone podobnie jak oczy obydwu pań.

— Wiemy, Leonie, że ty lubisz tylko średniowiecze: bitwy, turnieje, zdobywanie zamków! — zawołała panna podrażniona.

— Tak, uwielbiam średniowiecze, nie zapieram się tego. Znajduję tam męskość, energję, która zanikła we współczesności. Gdzie niema męstwa i poczucia siły, tam mężczyzna staje się kobietą, a kobieta — lalką. Czyż można porównać bohaterów krucjat z ich zwyrodniałymi potomkami, z arystokratami, których podziwiacie, z owymi rachitycznymi młodzieńcami, którzy wystrojeni jak manekiny przewróciliby się, gdyby ich trącić laną.

Don Heliodore z kapeluszem w ręku słuchał zdziwiony tej dysertacji, tak obcej dla jego umysłu. Zniecierpliwiona Rogelja pociągnęła go za połę surduta.

— Dono Heloizo — wyrzekł onieśmielony — ta dziewczyna jest osobą, którą poleciłem pani na służącą.

Dama spojrzała na Rogelję, poczem zwróciła się do córki:

— Beatryczo, poproś ojca.

Komendant Manso przybiegł śpiesznie. Na pierwszy rzut oka był bardziej jeszcze niż syn mężem z epoki średniowiecza. Słusznego wzrostu, szeroki w barach, miał gęstą brodę, krzaczaste brwi i grube wargi, długi nos, głos spiżowy jak Achilles, syn Peleja. On jedyny w całej rodzinie nie miał podkrążonych oczu.

— Co się dzieje? — spytał energicznym tonem.

— Proszę cię, Abelardzie, rozmów się z tą dziewczyną, którą nam polecają na służącą. Wiesz doskonale, że takie sprawy bardzo mnie deranżują.

— Wiem, moja droga — odrzekł komendant, łagodząc brzmienie swego bohaterskiego głosu. — Pozwól mi to załatwić.

Ruchem, przypominającym musztrę wojskową, kazał Rogelji i Heljodorowi udać się za sobą. Weszli do obszernej, wytwornie umeblowanej jadalni. Komendant usiadł, poczem tubalnym głosem zwrócił się do stojących w progu notariusza i Rogelji:

— O co idzie?

Don Heliodore, uniżony, wyjaśnił, że owa kobieta przybyła tego samego dnia z Hiszpanji i szuka miejsca służącej; on, Heljodor, zna ją oddawna z Madrytu, gdzie służyła w bardzo porządnym domu, ale wyszła zamaż, jak się okazało — nieszczęśliwie, ponieważ mąż jej został skazany za zabójstwo na ciężkie roboty.

Sprawę załatwiono szybko, gdyż Rogelja zgodziła się bez protestu na warunki komendanta. Prosiła jedynie, by jej pozwolono dwa razy w tygodniu odwiedzać męża. Komendant zasadniczo przystał, zastrzegając się wszakże, iż musi zasięgnąć opinji żony.

— Żona moja — oświadczył, podnosząc głos — nie może zajmować się takimi szczegółami, ponie-

waż, jak orły, przebywa na wyżynach. W każdym bądź razie muszę się jej poradzić i uzyskać jej pozwolenie. Niekiedy — zdarza się to jednak rzadko — zajmuje się sprawami domowymi. Nie można się temu dziwić, gdyż talent jej uznany jest wszędzie. Żona moja jest genjuszem, prawda, Heljodorze?...

— Tak, panie komendancie — potwierdził zapytany. — W Ceucie zdobyła sobie zaszczytne imię; wszyscy wiedzą, że pisze przepiękne wiersze.

— Píše wiersze lepsze niż Zorrilla, a jej powieści przewyższają utwory Pereza Escricha. Czy znasz wiersz, poświęcony jej bratu, który zmarł na okręcie w drodze powrotnej z Kuby?

— Nie, panie; nie czytałem ich w żadnem piśmie.

— Nie wydrukowano ich jeszcze... ale ukaza się niebawem; przyrzekł mi to redaktor *Herolda Ceuty*. Co za natchnienie! Są przepyszne!

Sięgnął do portfelu, wyjął z niego przybrudzony nieco i złożony w kilkoro arkusz, rozwinął go, poczem głosem drżącym i emfatycznym odczytał wiersze tak płytkie i pospolite, że Rogelja nigdy w życiu nie słyszała nic równie lichego. Dlatego też nie mogła wyrazić żadnej pochwały: słuchała poważna i milcząca. Heljodor natomiast dławił się z zachwytu, klaskał, wydymał policzki i unosił brwi; następnie uczynił dyskretny znak, by zwrócić uwagę komendanta na obojętne zachowanie Rogelji, i rzekł z politowaniem:

— Takie piękne rzeczy, don Abelardo, są dla osób wykształconych, a nie dla biedaków, pozbawionych oświaty.

Wrócili na dziedziniec. Dama w bieli czytała dalej, kołysząc się na fotelu. Jej chuda córka grała na fortepianie, a garbus rysował na desce. Komendant zbliżył się z szacunkiem do swej genjalnej żony i zakomunikował jej półgłosem wynik pertraktacji. Dama, nie odrywając oczu od książki, rzekła:

— Dobrze: niech idzie do kuchni.

Komendant powtórzył ten najwyższy rozkaz Rogelji i wprowadził ją osobiście na widownię jej przyszłej działalności.

Krzętał się tam mężczyzna i dwie kobiety. Jedna z nich, ta, która otworzyła drzwi, gotowała; druga, znacznie młodsza, prała, a chłopak w czapce policjanta na głowie czyścił buty w kącie.

Praczką powitała Rogelję uprzejmie; kucharka — niechętnie, a ordynans — skamieniał z wrażenia. Przybyła poprosiła, by jej pozwolono pójść po rzeczy, zostawione w obergerzy Heljodora; gdy wróciła, kazano jej prasować koszule. Wieczorem pani-poetka wezwała ją do siebie i rzekła:

— Jak się nazywasz?

— Rogelja, do usług.

— Otóż, Rogeljo, będziesz spała nadole, ponieważ ja i panienska możemy cię w nocy potrzebować. Niech kucharka idzie spać na taras.

Zarządzenie to sprawiło, że nastrój nieprzyjazny zamienił się odrazu w otwartą wojnę. Kucharka, która sypiała zawsze w pokoiku na tarasie, po odejściu pokojówki przeniosła się do jej pokoju, sąsiadującego z sypialniami państwa. Przypuszczała, iż zajmie go na stałe. Toteż obecnie, dowiedziawszy się o dyspozycji pani, zagryzła usta i rzuciła nowo-przybyłej wyzywające spojrzenie.

Rogelja spędziła noc na ubogiem, twardem posłaniu, a zrana po sprzątaniu, skoro ubrała panią, poprosiła, by jej pozwolono wyjść i powiadomić męża o nowem zajęciu i miejscu zamieszkania.

Poszła w stronę fortyfikacyj; weszła za pierwsze ogrodzenie i zobaczyła zdaleka grupę skazańców przy pracy. Podobnie jak w przeddzień stary dozorca siedział przed barakiem i wachlował się starym, brudnym kapeluszem filcowym. Zobaczył Rogelję i uśmiechnął się dziwnie: było w tym uśmiechu

ironiczne współczucie, a także trochę gniewu. Pogardliwym ruchem wskazał jej grupę skazańców. Więźniowie spostrzegli jej obecność, przerwali pracę i przyglądali się jej złośliwie i drwiąco. Maks oddzielił się od grupy i podszedł do Rogelji z dziwnym wyrazem twarzy.

— Ach, to ty, ślicznotko! — zawołał już zdaleka. — Chodź tutaj, królewski przysmaczku! Czy nie czujesz, jak wielką mam chęć cię uścisnąć?

Istotnie szedł z rozpostartymi ramionami, chwytając się silnie. Zatrzymał się jednak na chwilę, odwrócił ku towarzyszom i rzekł:

— Wy tam, słuchajcie... Nie znacie nawet polowy tej historii.... Moja żona to rarytas, to cukierek!...

Rogelja chciała się cofnąć, lecz pijak rzucił się na nią.

— Chodź tu, szelmutko... Podaj mi usteczka, słodsze od miodu, abym się z nich napił.

Przerażona kobieta chciała mu się wyrwać, lecz nie zdołała. Maksowi udało się schwycić ją w ramiona i wycisnąć na jej twarzy pocałunek, który przejął ją wstrętem.

Skazańcy śmieli się do rozpuku.

— Nie widzieliście w życiu nic piękniejszego! — wołał pijak. — Jej ciało ma zapach goździka, a jest białe jak ser śmietankowy! Zaraz zobaczycie, zaraz zobaczycie!

Brutalną dłonią chciał zerwać chustkę z piersi kobiety. Rogelja broniła się zawzięcie. Zawrzała gwałtowna i wstrętna walka.

Więźniowie przyjęli okrzykami zadowolenia obietnicę towarzysza.

Rogelja wrywała się rozpaczliwie; czuła jednak, że słabnie i że pijany Maks zedrze z niej odzienie. Nagle dozorca zerwał się z miejsca, potężnym ku-

łakiem odepchnął Maksa, który padł na ziemię jak długi.

— Dosyc zgorzenia, bydlaku! — krzyknął w uniesieniu.

— Ale to przeciez jego zona, ojcie Zenonie — zawołalo jednoczesnie kilku galernikow. — Ma prawo robic, co mu sie podoba.

— Nikt nie ma prawa wywoływać zgorzenia, nicponie! Do pracy, szybko! Inaczej niech mnie piorun trzaśnie, jeśli mnie któryś z was nie popamięta do śmierci!... Hej! Rafaelu, Nawarro! Weźcie to bydłę i zaprowadźcie do koszar, a powiedzcie tam Michałowi, aby go otrzeźwił... Do pracy, świnie! I stulić gęby!

Rogelja była blada jak płótno. Ojciec Zenon ujął ją za rękę i poprowadził do baraku.

— To wszystko twoja wina! Czy nie wiesz, że nie można dawać pieniędzy tym hultajom? Czy nie wiesz, że pomimo naszej czujności znajdują zawsze kogoś, kto się im wystara o wódkę?

Rogelja usunęła się na kamień, gdzie siadywał zwykle dozorca, i wybuchnęła płaczem.

#### IV.

Związek ów tak płodny i zewszehmiar godny szacunku skojarzył przypadkowy zbieg imion oraz pochodzenia historycznego i literackiego.

Abelard Manso jako młody porucznik piechoty, przebywający w garnizonie w Hawanie, został przedstawiony na zebraniu Heloizie Perez, która jaśniała na firmamencie życia towarzyskiego niby gwiazda pierwszej wielkości.

„Abelard i Heloiza! Jakie to śliczne!“ — orzekli zebrani. Młodzi, zachęcani wspomnieniem słynnej, staroświeckiej miłości, uważali za swój obowiązek



pójść w ślady swych literackich imienników. A ponieważ Heloiza Perez nie miała wuja - kanonika, któryby sprzeciwił się ich związkowi, przeto pobrali się w parę miesięcy potem. Heloiza była zupełną sierotą. Jej wuj i opiekun, u którego mieszkała, nie był kanonikiem, lecz kasjerem w fabryce cygar; nie był też człowiekiem bez sumienia, jak wuj romantycznej Heloizy, toteż oddał majątek, przypadający jej po ojcu, i młode małżeństwo osiedliło się w Hawanie, gdzie urodziło się dwoje dzieci: Leon i Beatrycza. Mieszkali tam do chwili, gdy Manso, awansowany na kapitana, mógł wrócić na półwysep. Przebywał z garnizonem kolejno w Valladolid, Saragossie, Sewilli. Wreszcie przeniesiono go jako komendanta do Ceuty.

Don Abelardo nie przypominał w niczem swego imiennika, wielkiego teologa francuskiego, współzawodnika świętego Bernarda. „Ten Abelard — mawiał o nim pułkownik — nie jest z rasy Abelardów.“

Dona Heloiza przypominała zato bardziej rozkochaną zakonnicę z *Parakleta* przez skłonność do pisania długich, sentymentalnych listów. Gdy się jej urodził syn, owa niezwykła dama powzięła myśl zaiste szczęśliwą, by go nazwać Leonem<sup>1)</sup>.

Don Abelardo wychwalał przez całe życie ten oryginalny i subtelny pomysł. „Leon Manso<sup>2)</sup> — mawiał, podnosząc głos i zwracając oczy ku niebu — czyż to nie wspaniała myśl?“

Lew wszakże musiał siłą faktu być oswojony. Urodził się drobny, był rachityczny, w ósmym roku życia uwydatniły się u dziecka łopatki; niebawem wzdęła się klatka piersiowa, i choć nie było zdeklarowanego garbu, niepodobna było zaprzeczyć, że chłopak jest ułomny. Być może, iż wybrane mu przez matkę imię miało jakiś ukryty, tajemniczy

<sup>1)</sup> Leon znaczy: lew.

<sup>2)</sup> Leon manso — lew oswojony.

wpływ na jego usposobienie. Jakkolwiek bowiem nie wzmocniło ciała, jednak wytworzyło w duszy kaleki nieprzepartą skłonność do czynów energicznych, porywczych i okrutnych. Leon Manso żył wyobraźnią w średniowieczu, dosiadał ognistych rumaków, które poskramiał potężnym uciskiem kolan, wysadzał lancą z siodła najsłynniejszych rycerzy, cięciem miecza rozbijał hełmy, przesadzał fosy, spuszczał się z ostrołukowych okien po sznurowych drabinach, polował na dziki, odcinał głowy, słowem, wykonywał wszystkie mniej lub więcej subtelne czyny, które zapełniały wywczasy naszych sławetnych przodków. Widok żelaznej zbroi wprowadzał go w ekstazę, choć wyglądał przy niej jak nędzny szczur; z drżeniem rozkoszy urządzał w wyobraźni nocne wyprawy i pogrążał szpadę w gardle wartownika. Specjalnością jego było porywanie niewiast. W ciągu długich bezsennych godzin nocnych porwał był już prawie wszystkie piękne kobiety w Ceucie. Pozatem grał na fortepianie, rzępolił na skrzypcach, malował akwarele, przypominające do złudzenia sałatę, opisywał w długich rymach straszne legendy. Matka jego utrzymywała, że współczesność nie umie ocenić jego talentu, choć młodzian podobnie jak Leonardo da Vinci jest zdolny do wszystkiego. Istotnie, potrafił wszystko, nie umiał jednak skończyć nauk i obrać zawodu. W rezultacie w dwudziestym roku życia zdobył zaledwie tytuł bakałarza.

Dona Heloiza Perez grała na fortepianie i pisała wiersze od najwcześniejszej młodości; malowała wprawdzie własną twarz tylko, lecz czyniła to dłonią tak pewną i wprawną, osiągała przytem koloryt tak świetny, że mogła śmiało iść w zawody z najsławniejszymi mistrzami szkoły weneckiej. Nienawidziła pospolitości; szczyciła się tem, że nie zagląda nigdy do kuchni, złożyła na męża obowiązek robienia rachunków z kucharką; jadła cukierki i czytała ro-

manse Pereza Escricha. W rezultacie doszła do takiego rozleniwienia, że z trudem wymawiała literę r.

Beatrycze wyglądała jak figurka z sewskiej porcelany. Odnosiło się wrażenie, że gdyby upadła, rozłukłaby się na drobne kawałki. Trudno było zrozumieć, by ciało tej paniенki tak eterycznej, subtelnej i delikatnej, pełniło normalne funkcje organiczne. Kucharka Wincencja twierdziła, że utrzymywał ją przy życiu ognisty temperament. Miała istotnie charakter tak zapalny i porywczy, że można ją było porównać z rurką ołowianą, napelnioną zgęszczonym kwasem węglowym. Gdy się jej kto sprzeciwił, dostawała konwulsyj. W domu wszyscy, nie wyłączając atletycznego papy, drżeli przed nią. Grała na fortepianie i śpiewała jak mysz przyduszona. Pisywała również wiersze.

Komendant Manso grywał na gitarze i robił papierosy. Czynił to o każdej porze dnia i nocy. Palił też namiętnie. Nikt z mieszkańców Ceuty nie pamiętał go bez papierosa w ustach. Uwielbiał swoją żonę bezkrytycznie, tak jak ona — swego syna Leona, a ten — Cyda walecznego. Komendant nie był śpiewakiem w całym znaczeniu tego słowa, nie posiadał bowiem repertuaru; pozyskał jednak sławę przez wykonanie piosenki pod tytułem *Pocztyljon*. Do śpiewu akompanjował sobie na gitarze. Zgodnie z logiką śpiewał ją przepitym głosem, gdyż pocztyljoni, zatrzymując się w oberżach, piją zawsze po parę kieliszków. Podczas śpiewu naśladował też dźwięk dzwonów, tętent mułów, okrzyki, zachęcające je do biegu, jak „Wio, Marszałkowo! Wiśta, Szlachetna!“ Następowały kuplety, a wreszcie piosenka kończyła się rykiem osła. Manso wykonywał ów efekt końcowy z taką maestrią, że nawet osła mógł w błąd wprowadzić. W kasynie wojskowem panowała opinja, że dla przyjemności usłyszenia owego ryku komendanta warto było przebyć cieśninę.

Rzeczywiście, don Heliodore mógł śmiało oświadczyć Rogelji, że wkracza do świątyni sztuki. Przyśtaąpiła do pracy dzielnie, ożywiona gorącym pragnieniem odbycia pokuty. Mimo to cierpiała bardzo wskutek niezliczonych upokorzeń. Stara poetka, pogrążona w słodkich wzruszeniach, jakie budziły w niej losy opuszczonych sierot, poślubiających hrabiów, traktowała ją z pogardą, godną sułtanki. Wydawała jej rozkazy, nie patrząc na nią, jakgdyby w obawie zbrukania swego wzroku. Dopiero gdy Rogelja, nie dosłyszawszy rozkazu, prosiła o powtórzenie, wyniosła dama spoglądała na nią roztargnionym wzrokiem; wzrok ten jednak zaraz zapalał się gniewem, i dona Heloiza spuszczała znowu oczy, nie racząc odpowiedzieć. Wówczas Rogelja zwracała się do komendanta; ten, domyślając się, jakie przypuszczałnie mogło być życzenie małżonki, tłumaczył służącej, czego od niej żądano.

— Nie dziw się, moja droga, że pani nie chce powtarzać rozkazów. Na Kubie przywykła do niewolnic i miała zawsze w ręku biczyk, który służył jej do tłumaczenia rozkazów dziewczynom, nie rozumiejącym ich odrazu. Zdaje mi się, że teraz brak jej bardzo owego biczyka — dodawał śmiejąc się.

Trudno to było pojąć Rogelji, zwłaszcza, że dona Heloiza miała pretensję do wielkiej subtelności uczuć. Musiała pomagać pani przy ubieraniu (malowanie nie do niej należało); była obowiązana myć jej codziennie nogi i kapać ją dwa razy w tygodniu. Jednakże te niemiłe czynności nie były dla Rogelji uciążliwe. Przejęta do głębi *Życiem i Męką Jezusa Chrystusa*, którą czytała w każdej wolnej chwili, żadna cierpień dla Jego miłości, a także pokuty za grzechy, przyjmowała te umartwienia nietylko z rezygnacją, ale nawet z pewną radością. Jednakże porywczy charakter Beatryczy i grubiańskie traktowanie były istotnie trudne do zniesienia i omal że nie zni-

weczyły jej zbożnych planów. Panna, szorstka i zu-chwała względem wszystkich, obchodziła się wyjąt-kowo źle z Rogelją, zazdrościła jej bowiem urody. Odzywała się do niej stale tonem ironicznym i po-gardliwym, a po paru dniach nazywała ją wprost głupią idjotką. Wiele łez wylała Rogelja, zanim po bohaterskich wysiłkach i gorących modlitwach wy-robiła w sobie cierpliwość do znoszenia wybryków tej złośliwej jędzy.

Brat jej, ułomny Leon, napawał ją innego rodza-ju, lecz jeszcze mocniejszą obawą. Ów artysta, po-dobny ze swych różnorodnych talentów do Leonarda da Vinci, przyglądał się jej z nieprzyjemną uporczy-wością; ilekroć znalazła się w jego obecności, nie spuszczał z niej oka. Rogelja czuła, że śledzi ją wzrokiem nie malarza, lecz satyra. Toteż unikała go, jak tylko mogła.

Jedynym człowiekiem, który nie budził w niej żadnej obawy i nie wyrządzał żadnej przykrości, był komendant. Przeważnie nie było go w domu; o ile pozostawał w domu, poświęcał się swemu ulubione-mu zajęciu — robieniu papierosów. Był niezmordo-wanym wielbicielem artystycznych produkcji swej rodziny, a pozatem nie przeszkadzał nikomu.

W kuchni panował nastrój niejednolity. Kuchar-ka nie ukrywała niechęci względem Rogelji, prze-szkadzając jej wszelkimi siłami w wykonaniu obo-wiązkowej pracy: to wyrzucała jej dusze od żelazka z ognia, to chowała szczotkę do zamiatania i pióro do odkurzania, aby znienawidzona pokojówka za-służyła na naganę; obrzucała ją badawczem spojrze-niem i wydymała pogardliwie usta, jakgdyby chciała powiedzieć, że nie wszystko złoto, co się świeci, i że ta nowa służąca przyszła niewiedzieć skąd.

Ordynans Kacperek, który oddawał się duszą i sercem czyszczeniu butów, rzemieni, guzików

i ostróg komendanta, żył w sferze całkiem oderwanej. Wypadki życia doczesnego nie obchodziły go wcale. Lecz właśnie niedawno nauczył się pisać, i chcąc złożyć dowody świeżo nabytej umiejętności, ozdabiał ściany, drzwi, okładki książek starannie wykaligrafowanemi napisami. Obrywał za to od swego szefa niezliczone kopniaki i kuksańce. Zachowywał się jednak wobec tych kar z niezachwianym stoicyzmem. Uważał, że owe kopniaki wyrobią mu może kształtne pismo, które stanie się czytelne i wytworne.

Natomiast kobieta, która przychodziła prać bieliznę, szczotkować posadzki i załatwiać sprawunki, okazała Rogelji od początku sympatję i życzliwość. Nazywała się Baldomera; była to wdowa, młoda jeszcze, choć postarzała przedwcześnie w ciężkiej pracy i troskach. Mąż jej był sierżantem; za jego życia zażywała względnego dobrobytu. Miała domek przy ulicy Matadero i dlatego mogła zachować pewną niezależność, sypiać co noc w domu i nie iść do służby, czego się najbardziej lękała.

Młode kobiety zaprzyjaźniły się wkrótce. Raz popołudniu Baldomera pokazała Rogelji swój domek. Mieszkanko było szczupłe, lecz tak czyste i miło urządzone, że wywierało nader sympatyczne wrażenie. Na ścianach wisiały obrazy święte i piękny rzeźbiony krucyfiks, co najwięcej ujęło Rogelję. Zmarły sierżant był niezwykle pobożny; należał do kilku bractw i zapisał żonę do bractwa Matki Boskiej Miłosierdzia. Za domem znajdował się ogródek, w którym mąż Baldomery uprawiał warzywa i kwiaty; po jego śmierci wdowa nie miała go czasu uprawiać, toteż był zaniedbany i opuszczony.

Stosownie do udzielonego pozwolenia dwa lub trzy razy tygodniowo Rogelja chodziła odwiedzać męża. Zrazu przyjmował ją dość uprzejmie. Oczekiwał zapewne, że Rogelja da mu znowu pieniądze.



Skoro się jednak przekonał, że nic mu nie przynosi, wrócił do dawnej obojętności i pogardy. Rogelja nie martwiła się tem wcale; przeciwnie, cieszyło ją to, gdyż zachowanie Maksa oddalało moment pogodzenia się z mężem, a czem taka zgoda musiałaby się zakończyć, Rogelja nie śmiała nawet pomyśleć. Ale i ta radość nawet budziła w niej wyrzuty sumienia. Ostatecznie powiedziała w duchu: „Nie przyjechałam tu z miłości, jeno z obowiązku: miłości nie można sobie nakazać“. To ją trochę uspokoiło.

Upłynął miesiąc. Genjalna dona Heloiza wpadła na pomysł, by urządzić u siebie herbatkę połączoną z koncertem. Projekt ów, jak się niebawem przekonamy, miał cel nietylko artystyczny.

Dona Heloiza postanowiła, że przyjęcie to musi zapisać się w pamięci mieszkańców Ceuty niezatarłymi głoskami, zarówno pod względem wartości artystycznej jak zewnętrznej świetności. Była to herbatka inauguracyjna, wspaniała zwiastunka wszystkich herbatek, jakie następnie odbędą się w historycznej fortecy, gdzie dotychczas nie miano pojęcia o podobnych ucztach, zaprawionych aromatycznym zieleń z Chin. Dona Heloiza sprowadziła z Malagi ciasta, cukierki, zimne mięsa, szampana i likiery. W ciągu kilku dni powtarzano na fortepianie i na skrzypcach parę sztuczek z rodzinnego repertuaru muzycznego. W każdym razie, skoro tylko Rogelja usłyszała śpiew Beatryczy, biegła ukryć się w swoim pokoju, zamykając starannie drzwi. W rezultacie zauważono ten manewr, co jednak wprawiało całą rodzinę w doskonały humor.

— Prostacy — oświadczyła dona Heloiza — są jak psy: muzyka sprawia im przykrość. Zobaczycie, że ta kobieta zacznie niebawem szczeleć.

Zaproszenia rozesłano według zwyczaju, przyjętego już w Europie, lecz tutaj jeszcze nieznanego: „Państwo komendantostwo Manso mają zaszczyt

prosić na herbatę w środę, 18 b. m. o godz. 5-ej po południu“. Rogelji i kucharce kazano ustroić się w czepki, ordynansa odziano w stary frak pana Abelarda, Baldomerę osadzono w kuchni, by zmywała naczynia, mieszkanie ozdobiono kwiatami, a dona Heloiza i Beatrycza ubrały się w wytworne suknie, zamówione na tę uroczystość w Sewilli.

Prawie wszyscy goście pochodzili ze sfer wojskowych: komendant zaprosił nawet generała, lecz przypuszczano ogólnie, iż nie przyjdzie. Panie postroiły się w najpiękniejsze suknie, panowie byli w mundurach. Wśród wojskowych najżyczliwiej traktowany przez mężczyzn, najuprzejmiej przez kobiety był młody porucznik artylerji Bruno Soler. Był to młodzieniec o miłej twarzy i dumnej postawie, syn najbogatszego armatora z Barcelony. Majątek jego ojca był tak olbrzymi, że nikt nie umiał go ocenić; składał się z całych tuzinów statków, wspaniałych domów, akcyj we wszystkich bankach. Opowiadano, że porucznik Soler został wysłany do Ceuty dla odbycia kary za liczne i poważne wybryki, jakich dopuścił się w Madrycie. Podobno znaczne sumy pieniędzy, przesyłane mu przez ojca, okazały się niewystarczające, toteż młody Soler pozaciągał ogromne długi i zdążył w krótkim czasie roztrwonić niezłą fortunę. Ojciec wpłynął na to, że go przeniesiono do Ceuty, gdzie przebywał od paru miesięcy.

Oczywiście chwalebne dzieje onego młodzieńca budziły szacunek w mężczyznach, a entuzjazm w kobietach... Zresztą zachowanie i maniery Solera przyczyniały się w znacznej mierze do ogólnego uwielbienia młodzieńca. Był wyjątkowo skromny, nienaganny w służbie wojskowej, pełen szacunku dla zwierzchników, uprzejmy dla podwładnych. Był bardzo usłużny dla kobiet, zarówno młodych i ładnych, jak starych i brzydkich. Cóż więc dziwnego,

że w całej Ceucie mówiono ciągle o poruczniku Brunonie Soler?

Jedną z najbardziej oczarowanych była natchniona dona Heloiza. Pogarda, jaką żywiła dla pieniędzy, nie wychodziła poza sferę romantyczną, gdzie jaśniały cnoty sierot opuszczonych lub tyranizowanych przez dumną rodzinę. Lecz kiedy duch jej zstępował z eterycznych wyżyn feljetonu i powracał do stanu normalnego, owe skromne cnoty bladły silnie, a duma bogaczy nabierała niezwykłego blasku. Dlatego też ułożyła sobie ambitny plan wydania córki za don Brunona Solera; zapewniłoby to jej zamożność i nie potrzebowałaby już wówczas czekać na interwencję Opatrzności, która w romansach powołuje sierotę do godności hrabiny. Herbatka miała właśnie na celu zbliżenie tych dwojga młodych, zdaniem genjalnej poetki, przeznaczonych dla siebie istot.

Należy wyznać, że pomysł ów nie grzeszył zbytnią oryginalnością. Był znany, a nawet zgoła pospolity wśród wszystkich matek, posiadających córki na wydaniu. Owego zwłaszcza wieczoru można było zaobserwować, że zapuścił mocne korzenie w dojrzałych umysłach płci niewieściej. Skoro tylko wesół porucznik wszedł do artystycznej siedziby państwa Manso, został napadnięty i oblężony nie przez Maurów riffeńskich, lecz przez tłum szlacheckich chrześcijanek wszelkiego wieku i temperamentu. W owym oblężeniu było wszystko: zabójcze uśmiechy, podstępne apele, ataki, utarczki w pojedynkę: „Brunonie! weź to ciasteczko. — Panie Brunonie, proszę o rękawiczki, które zostawiłam na krześle. — Panie Soler, proszę wypić za moje zdrowie! — Brunonie, może kawałeczek szynki? — Niech pan zechce łaskawie powachlować mnie trochę, duszę się z gorąca...”

Rzeczywiście, trzeba było wielkiej przytomności umysłu i rozległych wiadomości strategicznych, aby

wytrzymać tak uporczywe oblężenie. Porucznik czasami posuwał się naprzód, kiedyindziej cofał się wstecz, w rezultacie trzymał się w defensywie, licząc, że szczęśliwy przypadek przyniesie mu ocalenie. Gdy goście przeszli do jadalni, a Rogelja w rurkowanym czepeczku i w białym fartuszk przyszła rozlewać wino i zbierać talerze, porucznik Soler tak się nią zachwycił, że nie spuszczał z niej oczu. Nie uszło to czujnej uwagi oblegających. Jedne odstąpiły od oblężenia, inne pozostały jeszcze czas jakiś, choć w duszy były przekonane o niepowodzeniu, inne poczęły śmiać się histerycznie; były i takie, co wzruszały pogardliwie ramionami; nieliczne tylko zdobyły się na chrześcijańską rezygnację. Najfatalniejsze oczywiście wrażenie wywarła zdrada porucznika na paniach domu; pozagryzały usta, zaczęły szeptać między sobą, a dona Heloiza tym samym tonem, jakim przemawiała do swych niewolnic na Antyllach, rozkazała Rogelji, żeby poszła do kuchni, ponieważ w pokoju jest już niepotrzebna.

Przyjęcie było wspaniałe. Herbatka dony Heloizy rozmaitością i doborem ciast, słodczy, zimnych mięs i napojów mogła iść w zawody z najwytworniejszymi przyjęciami w Madrycie. Szampan lał się strumieniami. Niestety lała się też potokiem poezja i muzyka. Beatrycza odśpiewała rondo z *Łucji*; dona Heloiza z oczyma, wzniesionemi ku niebu i zaciśniętemi konwulsyjnie dłońmi, wyrecytowała jakieś pół tuzina pięknych poezyj; jej kudłaty i garbaty syn odczytał zebrany legendę z czasów Alfonsa Walecznego tak długą, że zarówno przedstawiciele sfer wojskowych jak cywilnych oblewali się potem niczem przy sypaniu fortów. Na szczęście komendant Manso, ulegając prośbom kilku kolegów, odśpiewał na końcu przy wtórze gitary swój popisowy numer, *Pocztyljona*. Była to dla zgłębionych gości prawdziwa oaza na pustyni, ożywczy powiew,

który ochłodził im płuca i tchnął siłę w serca mdlejące. Pocziwy komendant wzbudził szczerą wesołość, gdy ochryplym, przepitym głosem począł nawoływać muły, naśladować na gitarze ich tętent, brzęk dzwonek, a wreszcie ryczeć tak świetnie na zakończenie. Wszakże sława tego ryku przedostała się na drugą stronę cieśniny! Wśród braw i wiwatów musiał ryczeć trzykrotnie; nie chciał powtarzać tego więcej, gdyż gardło wypowiadało mu posłuszeństwo. Ów ryk klasyczny, tak pełen artyzmu, wywołał wśród zebranych silne wzruszenie estetyczne, toteż goście ochłonęli niebawem ze zmęczenia, spowodowanego przez rondo, elegję i legendę z czasów Alfonsa...

Gdy zacny komendant okrywał się w salonie nieśmiertelną chwałą, na podwórzu w jednym z zakątków domu zaszedł wypadek napozór nieznaczny, który jednak wywarł wpływ na dalszy rozwój niniejszej prawdziwej historii. Porucznik Soler, niewiadomo pod jakim pretekstem, opuścił salon i znalazł się wpobliżu kuchni. Wychodziła wtedy stamtąd Rogelja, a porucznik, który jej właśnie szukał, zaczepił ją i dotknął ręką jej twarzy. Oburzona Rogelja odepchnęła go gwałtownie, lecz kucharka, obecna przy tej scenie, nie miała nic pilniejszego, jak po rozejściu się gości opowiedzieć swoim paniom o „bezwstydnem“ zachowaniu Rogelji.

Była to ostatnia kropla, która przepelniła... woreczek żółciowy. Nazajutrz Rogelja zauważyła ze zdziwieniem, że zarówno utalentowana śpiewaczka jak genialna poetka patrzą na nią z nietajoną nienawiścią. Beatrycza zwróciła się do niej raz jeden tylko, nazywając ją idjotką; dona Heloiza, gdy Rogelja myła jej nogi, kopnęła ją w brodę, twierdząc, że niedość szybko wykonywa tę czynność. Kucharka odzywała się do niej ze złośliwym uśmiechem. Rogelja nie mogła zrozumieć, co to znaczy, sądząc

jednak z zachowania swoich pań, doszła do wniosku, że zostanie wkrótce wydalona.

Stało się to jeszcze rychlej, niż przypuszczała. Tegoż dnia nad wieczorem, wszedłszy do swego pokoju, aby zmienić fartuch przed podawaniem do stołu, uczuła, że ktoś ją chwyta w ramiona i całuje w usta. Był to kudłaty Leon. Zrazu zaskoczona niespodziewanym atakiem, potem oburzona, odepchnęła silnie kalekę. Garbaty artysta potoczył się po podłodze jak kłębek i uderzył głową o żelazne łóżko, raniąc się głęboko w czoło. Na odgłos upadku i na krzyk rannego zbiegły się wszystkie kobiety: Wincencja, Baldomera, dona Heloiza i Beatrycza. Rozegrała się wówczas scena wstrętna i gorsząca. Choć zrozumiały odrazu, co zaszło, rzuciły się na Rogelję, jak rozzarte zwierzęta. Matka, córka, kucharka nie tylko zasypały ją stekiem obelg i wyzwisk, ale zaczęły ją bić. Rogelja była bardzo silna, mogła się była obronić z łatwością; nie uczyniła jednak tego. Wyswobodziła się z ich rąk i wyszła z domu. Kobiety nie śmiały ścigać jej na ulicy; zrozumiały, że skandal zaszkodzi nie służącej, lecz komu innemu.

Rogelja, oszołomiona, napół przytomna, szła niepewnym krokiem w stronę oberży Heljodora, aby odetchnąć nieco i ochłodzić twarz płonącą. Niebawem jednak usłyszała, że ktoś ją goni i woła:

— Rogeljo! Rogeljo!

Zatrzymała się i ujrzała Baldomerę, która zdyszana śpieszyła ku niej.

— Masz tu klucz — rzekła — idź do mego mieszkania i czekaj. Niezadługo przyjdę.

Zawróciła do domu swych państwa, a Rogelja poszła do jej mieszkania. Tam obmyła twarz posiniaczoną przez rozwścieczone jędze. Baldomera, która przyszła wkrótce, zastała ją spokojną i radosną.

— Co za niegodziwość, moja droga! — zawołała zacna kobieta. — Wiedziały doskonale, jakie zamiary



miał ten wstrętny garbus; ale niecierpiały cię i skorzystały ze sposobności.

— O, to nic!

— Jakto, nic? To ohyda! To łajdactwo! Rozpowiem o tem wszystkim!

— Nie mów nic, Baldomero, błagam cię... Jestem zupełnie spokojna i przebaczam im z całego serca. Czyż nie wiesz, że boski Jezus, nasz Zbawiciel, był policzkowany w domu Kajfasza? Pluto mu w twarz, a zasłoniwszy oczy, pytano: „Zgadnij, kto cię bije?“ Uważam więc za wielki zaszczyt, że i mnie spotkała taka sama zniewaga.

Baldomera spojrzała na nią zdumiona. Zamilkła, nie śmiejąc ujawniać swego oburzenia.

## V.

Tej nocy przyjaciółki spały w jednym łóżku. Baldomera nie chciała, by Rogelja szukała innego mieszkania.

— Wiesz co, Rogeljo? — rzekła nazajutrz. — Na twojem miejscu nie szukałabym innej służby. Możesz zarabiać doskonale prasowaniem. W całej Ceucie niema lepszej od ciebie prasowaczki.

— Ale, moja kochana, przecież ja tu nie znam nikogo. Upłynęłoby wiele czasu, zanimbym sobie wyrobiła klientelę, a pieniędzy wystarczy mi na kilka dni zaledwie.

Baldomera zamyśliła się.

— Gdybyś zechciała, mogłybyśmy pracować wspólnie. Jabym brała bieliznę do prania, a tybyś prasowała. Znam wiele osób w Ceucie i łatwo znajdę domy, które nam dadzą pracę, skoro tylko przekonają się, jak pięknie prasujesz. Nie chcę już wracać do komendanta Manso. Te niegodziwe kobiety

rzucą się na mnie jak żmije, skoro się dowiedzą, że udzieliłam ci schronienia.

— Jakże mogłabym nie chcieć? — zawołała Rogelja, ściskając dobrą kobietę. — Jestem ci bardzo wdzięczna... Ale masz tylko jedno łóżko, i będzie ci niewygodnie.

— Przeciwnie, nie będę się przynajmniej bała samotności.

Od samego rana Baldomera udała się na poszukiwanie pracy. Zgodnie ze swem przewidywaniem znalazła ją szybko. Obie kobiety zarabiały wkrótce więcej, niż im było potrzeba. Po upływie dwóch miesięcy zaoszczędziły już trochę, tak iż Rogelja mogła nabyć łóżko polowe z materacem. Baldomera odbierała od klientów brudną bieliznę do prania, Rogelja roznosiła czystą i wyprasowaną do domów. Musiała więc z konieczności wychodzić na ulicę, gdzie jej uroda zwracała uwagę mężczyzn. Było jej to przykre, gdyż mąciło nastrój wewnętrznego skupienia i przeszkadzało żyć w pokucie, jak postanowiła. Zrana przed rozpoczęciem pracy chodziła na mszę do pobliskiego kościoła, przystępowała często do Komunii św., a w niedzielę prawie dzień cały spędzała u stóp ołtarza.

Najuporczywszym jej wielbicielem był porucznik Soler, który ją poznał w domu komendanta Manso. Sprawiało to Rogelji nietylko przykrość. Niepokoiła się bardzo, ponieważ rozpieszczony i zepsuty chłopiec, nie pojmując, aby biedna służąca mogła stawiać mu opór, podwajał wysiłki w celu jej zdobycia. Kilkakrotnie usiłował zatrzymać ją na ulicy; raz nawet schwycił ją za rękę. Rogelja wyrwała mu się gwałtownie i odepchnęła niefortunnego zalotnika tak mocno, że zatoczył się i omal nie padł na ziemię.

Przyjął to jednak ze śmiechem.

— Moja mała! — zawołał. — Jesteś tak silna, że mogłabyś zabić Maurów, nietylko chrześcijan.

Raz koło południa Rogelja odnosiła właśnie bieżącą do pułkownika Cerezo, kiedy przechodząc koło więzienia Principal, usłyszała ostry dźwięk trąbki.

— Co się stało? — zapytała jakiejś kobiety.

— To hasło na obiad — odrzekła zapytana, nie zatrzymując się.

— Czy można wejść i popatrzeć?

— Owszem, nie bronią tego.

Rogelja przyłączyła się do nieznajomej. Przez ogromną, brudną bramę weszły na rozległy dziedziniec koszarowy; jeden bok podwórza stanowiła ściana wysokiego budynku o szerokich drzwiach; z trzech pozostałych boków wznosiły się szczątki muru, baraki i zabudowania gospodarcze.

Więźniowie wychodzili właśnie z cel i ustawiali się w dwa szeregi pod murem. Rogelję przeraził ich wygląd ponury. Rzekłby kto, że to wygłodzone dzieki zwierzęta, wypuszczone z żelaznej klatki.

W chwilę potem poczęły nadciągać partje więźniów, pracujących przy fortyfikacjach. Ustawili się szeregiem przed towarzyszami. Rogelja poznała grupę, do której należał jej mąż. Ukryła się za gromadką kobiet, które przyniosły duże kotły blaszane i umieściły je na piecykach z rozżarzonemi węglami. Nie mogła zapanować nad dreszczem odrazy, a nawet strachu, jakim przejmował ją zawsze widok Maksa, choć wyrzucała to sobie, uważając uczucie takie za grzech.

Każdy więzień miał metalowy ronderek lub misę. Rozległ się ponownie dźwięk trąbki i rozpoczęto przegląd. Dozorcy odczytywali głośno nazwiska więźniów, a ci odpowiadali: „obecny“. Następnie otwarto kotły, zawierające zupę. W każdym naczyniu mieściło się dwanaście porcyj. Pod strażą dozorców więźniowie zbliżali się jeden za drugim i zanurzali drewniane lub metalowe łyżki w kotle, zając je zupę. Trwało to zaledwie kilka minut.

Więźniowie rozproszyli się swobodnie po podwórzu. Niektórzy podeszli do kobiet, które przyniosły dyumiące blaszanki. Za cenę dwóch *cuartos*<sup>1)</sup> dostawali szklankę napoju, który nazywali kawą. Byli to „bogacze“, co pracowali przy fortyfikacjach. Przez kilka minut wolno im było rozmawiać. Niebawem zabrzmiała trąbka, nakazująca milczenie. Więźniowie powrócili do cel. Oddziały robotników odmaszerowały do pracy.

Rogelja wróciła do domu pod smutnem wrażeniem. Nie myślała właściwie o mężu, lecz o tych wszystkich biedakach, tak uciśnionych, wynędzniałych, zbolałych.

Popołudniu udała się jak zwykle do fortyfikacji, gdzie w dalszym ciągu pracował Maks. Spędzała tam zazwyczaj godzinę na rozmowie z dozorcą, ponieważ ze skazanymi wolno było zamieniać tylko słów parę. Za każdym razem kupowała kilka pudełek tanich papierosów: jedno pudełko dawała Maksowi, a resztę dzieliła równo między wszystkich. Pomimo to Maks nie przestawał traktować jej z pogardą; nie dziękował jej, nie patrzył na nią wcale, odpowiadał jak z łaski na jej serdeczne pytania. Natomiast jego towarzysze byli dla niej coraz życzliwsi. Jej uroda, łagodność, wreszcie ofiarowywane papierosy wzruszały ich skamieniałe serca. Doszło wreszcie do tego, że gdy pewnego dnia Maks mruzczał pod nosem jakieś obelgi pod jej adresem, towarzysze poczęli go mitygować. Rogelja usłyszała, jak jeden z nich mówił:

— Wiesz, Maks, co ci powiem? Jeśli żona twoja przyjechała tutaj, pracuje i żyje byle jak, to dlatego tylko, że tak chce i że jest dobra; bo z taką śliczną twarzyczką znalazłaby w Madrycie kogoś, kto by się nią zaopiekował i mogłaby żyć jak pani.

---

<sup>1)</sup> Dawna moneta wartości około  $\frac{1}{2}$  franka.

Słowa te zmartwiły Rogelję, lecz były dla niej zarazem pewną pociechą. Owego popołudnia ofiarowała dozorcę całe pudło papierosów.

— Nie, Rogeljo — rzekł, nie przyjmując podarunku — dziękuję bardzo; nie wezmę jednak papierosów od ciebie: jesteś uboga, musisz pracować na utrzymanie. Daj mi tylko jednego papierosa.

— Proszę, ojcie Zenonie! Nie wiecie nawet, jak wielką sprawiacie mi tem przyjemność.

Była to prawda. Rogelja miała dla starego dozorcę niewytłumaczoną sympatję. Wszakże musiał być wielkim przestępcą, skoro przebywał w ciężkich robotach od młodości. Czemu więc darzyła go tak serdeczną życzliwością, a nawet przywiązaniem? Po dłuższem zastanowieniu doszła do wniosku, że sympatja ta jest wynikiem dobroczynnego wpływu, jaki wywierała na starym katorżniku; zauważyła bowiem, że stopniowo powstrzymywał się od klątw i wyzwisk, któremi co czas pewien sypał obficie. Wówczas twarz Rogelji kurczyła się boleśnie; stary zauważył to i był jakby zmieszany.

— Przepraszam cię, moje dziecko; w tej świńskiej dziurze człowiek może się tylko świństw nauczyć.

Rogelja, jak wszystkie dusze płonące żywą wiarą, miała gorącą żarliwość katechetki.

— Dam wam, ojcie Zenonie, małą książeczkę, która wam przyniesie wielką korzyść; pocieszy was napewno, złagodzi troski i zbudzi nadzieję.

Stary uśmiechnął się pokornie.

— Co mi z niej przyjdzie, moje dziecko, skoro nie umiem czytać? Mów do mnie, bo mam wrażenie, że to mi ulgę przynosi.

Rogelja spojrzała nań ze współczuciem. Zamilkła. A potem wzniosłszy oczy do nieba, rzekła poważnie i smutno:

— Zdaje mi się, ojcze Zenonie, że wam nietyłe tego potrzeba, co tym biedakom, którzy tu pracują. Gdyby Bóg zmiękczył ich serca, zwróciliby oczy ku Niemu i położyliby nadzieję w Chrystusie. Jakżeby wtedy los ich się zmienił! Jakiej ulgi doznaliby w cierpieniu!

— Nie spodziewaj się tego. To łotry, którzy rozumieją tylko bat. Kierować dadzą się jedynie strachem. Ale najgorszy apasz ze wszystkich — dodał, zniżając głos — to twój mąż.

— Dlatego właśnie jest najnieszczęśliwszy. Gdybym go mogła odkupić, gdybym mogła wlać w jego duszę trochę wiary i miłości, uczyniłabym to za cenę życia... Widzę jednak, że jest w przyjaźni z tym biednym karłem, którego nazywacie „ojcem dziecka“. Czemu nadaliście mu to przezwisko?

— Otrzymał je w wiosce, skąd pochodzi, niedaleko Burgos. Opowiadają, że był żonaty i miał syna. Gdy zaniesiono dziecko do chrztu, zakrystjan wyrzucił z kościoła ciekawych malców, którzy chcieli zobaczyć ceremonję, a przy tej okazji wyprosił również i jego. Wówczas karzeł oświadczył mu z powagą:

— Powoli! powoli! Jestem ojcem dziecka.

Zdaje się, że karzeł miał pieniądze i ożenił się z kobietą młodą i ładną. Jak łatwo przewidzieć, żona go zdradzała. Karzeł dowiedział się o tem i pewnej nocy zabił ją, wbijając jej w brzuch igłę tapicerską.

— To straszne!

— Kobieta była w ciąży. Zabił równocześnie matkę i dziecko. Został skazany na dożywotnie więzienie.

Zamilkli oboje. Wreszcie dozorca rzekł przyciszonym głosem:

— Przykro mi ci to powiedzieć, Rogeljo, ale według mnie Maks zbliżył się z karłem dlatego właśnie,



że on zabił swoją żonę... Ten łotr nienawidzi cię. Mówił, iż żałuje jednego tylko: że nie zabił ciebie zamiast żandarma.

— Lepiejby było, gdyby to był zrobił: oszczędziłoby mi to wielu grzechów — rzekła Rogelja smutno.

— Nie mów tak, Rogeljo. Jesteś dobrą kobietą. Szkoda, że nie powiesili tego łajdaka.

W tej chwili podszedł do dozorczy jeden z młodszych więźniów i oświadczył, że pękła mu taczka. Był to chłopak mały, drobny, o posępnej twarzy i wąskich jak szparki oczach. Miał na sobie brudną koszulę, spodnie nierówne, wiszące na jednej tylko szelce.

Dozorca powiedział mu, co ma robić. Więzień oddalił się nieco. Ojciec Zenon przywołał go znowu, i zwracając się do Rogelji, rzekł:

— Przypatrz się dobrze temu chłopcu. Zabił człowieka dla sześciu reali.

— Nie dla sześciu reali, ojcie Zenonie — zawołał gniewnie chłopak — lecz dla oddania przysługi przyjacielowi! Zrobilibyście to samo na mojem miejscu.

— Wynoś się, bydlę! Wynoś się, bo dostaniesz po łbie!

— Znacie historję wszystkich tych biedaków, nieprawdaż, ojcie Zenonie? — zapytała Rogelja.

— Prawie wszystkich. Opowiadają o tem jedni drugim. Przechwalają się swemi zbrodniami, jakby to były czyny bohaterskie.

— Nie żalują tego, co zrobili?

— Aha, właśnie! Ładnie żalują! Czy ci nie mówiłem, że to wszystko gałgaństwo?

Rogelja pomyślała chwilę.

— Ale przecież — rzekła cicho, jak gdyby sama do siebie — to nie są istoty pozbawione rozumu. Mają duszę.

— Jeżeli mieli, to stracili ją oddawna.

— Kto jest ten delikatny młodzieniec z gładkimi włosami, który rozrabia w tej chwili wapno?

— To panicz z Madrytu, zwyrodnialec, któremu rodzice zostawili znaczny majątek. Przepuścił go i to nawet nie z kobietami... Gdy już nic nie miał, wtedy przyjaciel jego ojca dał mu u siebie posadę administratora, a ten niepoń odwdzieczył mu się w ten sposób, że go okradł; podrabiał jego podpis i podnosił z banku olbrzymie sumy. Skazany na osiem lat; odbył rok dopiero. Ten drugi obok, co ma spłoszony nos i spadające na oczy włosy — to taki sam zbój jak twój mąż. W sprzeczce przy podziale majątku zabił brata. Mieszkańcy wsi, gdzie się to stało, ścigali go, schwytali i przywiązali do drzewa. Gdy przybył sędzia, ów dzikus powiedział mu bezczelnie: „Panie sędzio, jestem tu przywiązany od rana, a mam dużo roboty“. Został skazany na śmierć, lecz znalazł się w liczbie ułaskawionych z racji Wielkiego Piątku. Ów zaś przystojny chłopiec, co oparł się w tej chwili na łopacie, aby odpocząć, również jest paniczem z Madrytu. Miał bogatą ciotkę, po której dziedziczył; ale staruszka nie umierała jakoś, a jemu sprzykrzyło się czekać, więc ją otruił. Został skazany na dożywotnie ciężkie roboty. Widzisz przy nim tego człowieka w niebieskiej bluzie z nosem papuzim? To fałszerz pieniędzy. Dostał piętnaście lat. Czy nie uważasz, że to kara zbyt surowa za kilka monet ołowianych?

— A tamten, taki szeroki w barach? On jeden tylko ma kajdany u nóg.

— To sławny Juanillo, o którym musiałaś słyszeć. Nie? Cała Hiszpanja zna go z imienia. Jest to bandyta, który przez długi czas był postrachem okolic Kordoby. Z trzema czy czterema kamratami trzymał w szachu całą żandarmerję. Wpadł wreszcie w ręce policji, jak mówią, wskutek doniesienia pewnej dziewczyny, która wskazała jego kryjówkę. Jest

to człowiek olbrzymiej siły i wielkiej odwagi. Naczelnik uważa go za bardzo niebezpiecznego, dlatego nie zdejmują mu kajdan; według mnie jest on lepszy od innych. Nie sprawił mi nigdy żadnego kłopotu.

Rogelja przyglądała mu się z wyteżoną uwagą. Oboje milczeli długą chwilę. Duszę młodej kobiety nurtowała wielka ciekawość: jedno pytanie rwało się jej oddawna na usta. Wreszcie zdobyła się na odwagę i wyrzekła zarumieniona:

— A wy, ojcze Zenonie? Trudno mi uwierzyć, abyście i wy byli przestępcą.

Galernik drgnął, a jego ponura twarz zasępiła się jeszcze bardziej. Ociągał się czas jakiś z odpowiedzią.

— Otóż jestem przestępcą, Rogeljo.

— Nie mogę w to uwierzyć.

— Ależ tak, tak!

Choć siedzieli tuż przy sobie i dotykali się ramionami, unikali się wzrokiem. Dozorca przygnębiony przesunął dłonią po czole.

— Posłuchaj. Jestem góralem. Urodziłem się w małej wiosce, w dolinie Pas, w prowincji Santander. Miałem lat czternaście, gdy straciłem ojca. Mój brat Telesfor miał wtedy ledwie dwa lata. Uprawialiśmy ziemię i dzierżawiliśmy parę gospodarstw. Matka chciała je prowadzić w dalszym ciągu, lecz okazało się to rzeczą niemożliwą. Byłem wówczas wątłym chłopcem, nie mogłem pracować. Właściciel zrozumiał to i odebrał nam dzierżawę. Matka moja pracowała nad siły, aby nas wychować. Sprzedawała owoce, warzywa i masło na targu. Mieliśmy jednak kawałek własnego gruntu: nazywano go *łką dony Marji*. Była niewielka, lecz położona w środku wsi; pozwalało nam to wyżywić jedną krowę. Matka oddała mnie na naukę do murarza; korzystałem dużo i wkrótce począłem zarabiać. Mijały lata. Matka zachorowała i nie mogła

już pracować; zato mnie podwyższono zarobki, tak że wiązaliśmy jakoś koniec z końcem. Naturalnie nie myślałem nawet o ożenku; musiałem bowiem żywić młodszego brata i matkę, która z trudem trzymała się na nogach. Tak trwało lat kilka. Później jednak, gdy miałem już blisko lat trzydzieści, nawiązałem znajomość ze służącą pewnych państwa z Madrytu, którzy przyjeżdżali w nasze strony na lato. Była to wysoka, przystojna brunetka, podobna trochę do ciebie, choć nie taka ładna... Zakochałem się w niej na zabój. Byłem już w tym wieku, że należało pomyśleć o małżeństwie. Brat mój nie zarabiał jeszcze na siebie; miał chęć wyjechać do Buenos-Ayres, do stryja, któremu dobrze się tam powodziło. Powiedziałem tedy matce: „Mamo, wszystko dałoby się urządzić, gdybyś sprzedała nasz grunt. Za otrzymane pieniądze mogłabyś wyekwipować Telesfora i kupić mu bilet na przejazd do Ameryki. Powiększylibyśmy dom, a ty mogłabyś zamieszkać przy nas; nie potrzebowałabyś pracować, myślałabyś tylko o swoim zdrowiu. Zarabiam nieźle, a niebawem otrzymam podwyżkę płacy.“

Była to prawda; doszedłem do wielkiej biegłości w rzemiośle; miałem nadmiar zamówień i pracy więcej niż inni mularze. Matka odmówiła: ten kawałek łąki był jej droższy nad życie; należał do jej ojca, dziada i pradziada; w dzieciństwie pasła tam krowę; po zamążpójściu — mnie tam wysyłała; kochała ów kawałek ziemi tak, jak się kocha kogoś z rodziny. Czas płynął. Byłem smutny, zgębiony. Matka też była smutna. Wreszcie pewnego dnia rzekła:

„— Zenonie, zrób, jak chcesz: sprzedaj łąkę, ale pamiętaj, nie bierz za nią mniej niż szesnaście tysięcy reali, bo warta jest tyle.“

Uradowany pobiegłem do don Olegaria. Powiedziano mi, że jest w kasynie. Otóż wioska nasza,

choć nieduża, ma aż dwie liche kawiarenki. W jednej z nich na piętrze znajdowało się coś w rodzaju kasyna, gdzie zbierali się na czytanie gazet i na grę w *tutę* surdutowcy, to jest sędzia, prokurator, archiwista hipoteczny, notariusz oraz paru kupców i gospodarzy. Wśród tych najbogatszym był don Olegario. Tak jak i ja był synem rolnika; gdy miał może szesnaście lat, zjawili się w naszej okolicy inżynierowie, którzy budowali szosę do Santander. Przyjęli go do służby; ponieważ był bardzo sprytny, miał zamiłowanie do rachunków i do rysunku, zabrali go ze sobą. Ze służącego awansował na pracownika, następnie stał się przedsiębiorcą, a wreszcie zarządzającym wydziałem szos i dróg. Stał się bogaty, bardzo bogaty. Mówiono we wsi, że bogactwo zdobył nieprawnie. Wszedłszy w porozumienie z władzami i z inżynierami, przywłaszczył sobie pieniądze wspólnika. Ten strzelał do niego, lecz chybił. Don Olegario uchodził za tyrana robotników... Wszystko to powtarzano sobie pocichu, nikt bowiem we wsi nie odważył się potraktować go zgóry. Stał się, jak to mówią, kacykiem. Był przez długi czas wójtem; gdy mu się to sprzykrzyło, mianował wójtów według własnego uznania; miał możnych przyjaciół w Santander i w Madrycie, robił wszystko, co chciał; listek na drzewie nie drgnął bez jego pozwolenia. Gdy przybył do wsi, miał już lat zgórą czterdzieści, był żonaty i dietny. Począł skupować wszystkie gospodarstwa, jakie były na sprzedaż; stał się niebawem najbogatszym obywatelem w okolicy. Na krańcu wsi przy drodze do Santander zbudował wspaniałą willę, istny pałac; pracowałem przy jej budowie. Trzymał konie i liczną służbę. Wiedziałem, jak zresztą wiedzieli wszyscy, że miał chęć nabyć naszą łączkę, ponieważ leżała w środku wsi i graniczyła z jego gruntami. Dlatego też teraz, chcąc ją sprzedać, zwróciłem się wprost do niego. Był w kasynie i grał

w karty. Gdy mu oznajmiono, że przyszedłem, wstał, podszedł do mnie i zapytał, czego sobie życzę. Powiedziałem mu szczerze, o co idzie. Odpowiedział mi zirytowany:

„— Daj mi święty spokój z swoją łąką, Zenonie! Mam ziemi więcej, niż mi potrzeba, nie wydam już na to ani grosza!“

— Dobrze, don Olegario — odparłem — nic nie szkodzi. Przyszedłem najpierw do pana, ponieważ łąka graniczy z dwóch stron z pańskimi posiadłościami.

Odmowa nie zmartwiła mnie, wiedziałem bowiem, że sprzedamy łączkę każdej chwili. Istotnie, tego samego wieczora, gdyśmy siedzieli przy obiedzie, przyszedł do nas stary Rufo z Robledad, który uciulał trochę grosza na handlu bydłem.

„— Pani Kleofasowo — rzekł, zwracając się do mojej matki — podobno chcecie sprzedać *łączkę dony Marji*. Ile za nią chcecie?“

„— Szesnaście tysięcy reali, ani *cuarto* mniej“ — odrzekła matka.

„— Oszalała pani! Łączka nie warta nawet dwunastu.“

„— Jeśli oszalałam, to mnie odwiozą do domu obłąkanych; ale nie sprzedam łąki, o ile nie dostanę za nią szesnastu tysięcy.“

„— Kiedy możecie podpisać kontrakt?“

„— Kiedy zechcecie.“

„— W takim razie jutro o dziesiątej zrana pójdziemy do notariusza don Izydora i załatwimy sprawę.“

Nazajutrz poszliśmy z matką do notariusza. Zastaliśmy już tam starego Rufa. Miałem wyciąg z aktu, stwierdzającego prawa mojej matki. Spisano umowę. W trakcie jej sporządzania Rufo rzekł do matki:



„— Pani Kleofasowo, nie robi wam chyba różnicy, o ile wstawimy do aktu sumę czterech tysięcy zamiast szesnastu; inaczej zapłacimy bardzo znaczny podatek. Dla was to wszystko jedno, bo otrzymacie szesnaście tysięcy, które są już złożone u don Izydora.“

Notariusz potwierdził istotnie, że ma już u siebie owe szesnaście tysięcy, toteż matka przystała na propozycję.

„— Przyjdźcie wieczorem po pieniądze, gdyż złożyłem je do kasy depozytowej przy sądzie Pokoju.“

Byli przy tem świadkowie, toteż nie podejrzewając nic złego, wróciliśmy spokojnie do domu. Po południu zgłosiliśmy się powtórnie do notariusza po pieniądze. Don Izydor z zafrasowaną miną oświadczył:

„— Przykro mi bardzo, ale był u mnie don Olegario; ponieważ jako właściciel gruntów przyległych ma prawo pierwokupu, zatrzymał waszą łączkę za wymienione w umowie cztery tysiące reali. Oto pieniądze.“

Byłem wprost oszołomiony. Zrazu nie podejrzewałem zdrady Rufa, w której uczestniczył również notariusz.

„— To niemożliwe!“ — zawołałem.

„— Nie krzycz! Tu nie wolno krzyczeć. Don Olegario był w swoim prawie.“

Matka zemdłała. Musieliśmy cucić ją wodą. Notariusz tłumaczył się, mówiąc, że o niczem nie wie; jest tylko urzędnikiem, nie mógł się więc sprzeciwić. Wreszcie wyrzucił nas prawie z kancelarji.

Możesz sobie wyobrazić, Rogeljo, w jakim stanie opuściliśmy dom notariusza. Padał śnieg, ale nie zwróciliśmy na to uwagi. W domu przy obiedzie nie mogliśmy przełknąć ani kęska. Matka rzuciła się na

posłanie, płacząc i wyrzekając. Ja biegałem po kuchni jak szalony, złorzeczając i rwąc sobie włosy. W owej chwili przyszedł brat cioteczny matki, wuj Grzegorz.

„— Cóżś zrobił, Zenonie? — zapytał. — Don Olegario oszukał was; śmiał się głośno w kasynie, opowiadając, jakiego wam wypłatał figla, a jego przyjaciele śmiali się z nim razem. Mówił mi o tem Cefero, urzędnik u don Izidora.

„— To prawda, wuju Grzegorzu, to prawda!“

„— Jesteś osioł, Zenonie. Czy nie wiesz, że don Olegario to złodziej, że wszystko, co ma, pochodzi z kradzieży, a stary Rufo z Robledad jest także złodziejem, zaś don Izidor jest największym ze wszystkich? Czemu nie poradziłeś się pierwszej don Fulgencjusza, adwokata? To porządny człowiek, byłby ci otworzył oczy i ostrzegł.“

„— Masz słuszość, wuju Grzegorzu, jestem osioł.“

Wuj wyszedł, a ja biegałem dalej po mieszkaniu oszalały z rozpacz. Matka, leżąc na łóżku, narzekała coraz głośnie. Brat Telesfor, który siedział przy niej i starał się ją pocieszyć, płakał i lamentował również. Straciłem głowę. Wziąłem strzelbę, nabiłem ją i wyszedłem z domu. Biegłem, zapadając się w śniegu. Doszedłem do willi don Olegaria, wspiąłem się na parkan, zeskoczyłem do ogrodu. Wielka jadalnia na parterze była jasno oświetlona. Okna były zamknięte, lecz okiennice — otwarte. Ujrzałem całą rodzinę zebraną przy obiedzie: żonę, jedną z jej siostr i gromadkę dzieci. Don Olegario, rozpromieniony, podawał dzieciom jedzenie.

Oparłem lufę o szybę i celowałem; celowałem długo, bo nie chciałem zranić dziecka ani kobiet. Jego tylko zabić chciałem, jego, przekłętego nikczemnika, co dławił się pieniędzmi, a mimo to ukradł ubogiej wdowie jej ostatnie grosze. Strzeli-

łem: widziałem, jak padł twarzą na stół. Przeskoczyłem znów przez parkan i pobiegłem do domu...

— Podajcie mi rękę, ojcze Zenonie — zawołała porywczo Rogelja ze łzami w oczach. — Serce mnie nie myliło. Jesteście nietyłe występni, ile nieszczęśliwi.

Katorżnik podniósł jej dłoń do ust.

— Dziękuję, Rogeljo. Niech ci Bóg nagrodzi. Nie wiesz nawet, jak wielką ulgę sprawiły mi twoje słowa.

Potem mówił dalej:

— Śnieg zamarzył i moje ślady pozostały widoczne. Nazajutrz przyszli po mnie żandarmi. Obejrzeni strzelbę, którą pozostawiłem nienabitą; zmierz yli kroki, porównali ślady z mojem obuwiem i zabrali mnie do więzienia. Tam groźbą i biciem zmusili mnie do wyznania prawdy. Prokurator, który był przyjacielem don Olegaria, żądał dla mnie ni mniej ni więcej tylko kary śmierci. Sąd pierwszej instancji skazał mnie na trzydzieści lat ciężkich robót. Dwadzieścia trzy lata jestem w Ceucie, ale skrócono mi karę, tak iż pozostał mi tylko rok katorgi.

— Co zamierzacie robić po odzyskaniu wolności? — zapytała Rogelja, ocierając oczy. — Wróćcie w swoje strony?

— Nigdy! Matka umarła wkrótce po mojem przybyciu do Ceuty; brat Telesfor przed trzema laty umarł w Buenos-Ayres; narzeczoną wyszła za mąż, ma gromadę dzieci. Cóżbym tam robił? Synowie don Olegaria dorośli już i oczywiście staraliby się wyrzucić mi jaknajwięcej złego. Zostanę w Ceucie. Cieszę się tu szacunkiem ponad zasługę, a ponieważ jestem jeszcze silny, łatwo zapracuję na kawałek chleba.

Rogelja, poruszona do głębi tą bolesną opowieścią, wracała do domu. Przechodząc przez aleję San Amaro, usiadła na ławce. Lubiła bardzo ten ogród,

zawsze prawie pusty; zatrzymywała się tam często, by wypocząć w chłodzie i spokoju.

Słońce chyliło się ku zachodowi. Cień gęstniał. Rogelja myślała ciągle o ojcu Zenonie.

— Biedaczysko! Biedaczysko! — szeptała. — Co za nieszczęście!

I poczęła się modlić zań żarliwie.

Nagle zarysował się przed nią cień jakiejś postaci.

Był to porucznik Bruno Soler. Rogelja poznała go odrazu i zerwała się z miejsca. Porucznik rzekł, żartując:

— Nie odfruwaj, lękliwa gołąbko! Nie jestem jastrzębiem.

Rogelja, urażona w swej ambicji kobiety odważnej i silnej, odparła, siadając z powrotem:

— Nie jestem gołąbką, ani lękliwą; jestem tylko ubogą kobietą i byłabym wdzięczna, gdyby mnie pan zostawił w spokoju.

— Czemuż ty mnie nie zostawisz w spokoju, ślicznotko? Gdy tylko spojrzę w twoje cudne oczy, czuję się poruszony i mam chęć wykonać taniec świętego Wita, jakby mnie tarantula ukąsiła. Coś ty mi zadała, cyganeczko? Jestem urzeczony, Rogeljo, sam nie wiem, co robię i co mówię.

— To rzeczywiście prawda. Nie wie pan, co pan mówi. Pańskie piękne słówka, pochlebne i zuchwałe, są dla mnie upokarzające. Toteż nietylko, że nie jestem panu za nie wdzięczna, lecz uważam je za zniewagę.

— Cóż w nich upokarzającego, moja ślicznotko? Wypowiadam je szczerze i gotów jestem powtórzyć je na kolanach.

— Czy pan nie wie, że jestem mężatką?

— Wielka rzecz! — zawołał Soler z gestem pogardy. — To jest wstrętne małżeństwo. Słyszałem, że twój mąż jest brzydki i odrażający.

— Mimo to jest moim mężem. Dla nas, chrześcijan — a przypuszczam, że i pan się do nich zalicza — małżeństwo jest sakramentem, a ci, co zawierają je z wolnej i nieprzymuszonej woli, wstępują w związek nierozzerwalny.

— Ale przecież twój mąż jest przestępcą!

— Ja również popełniłabym przestępstwo, gdybym złamała przysięgę.

— To jest zbrodnia, której prawo nie karze, a świat wybacza, o ile popełnia się ją dyskretnie — rzekł porucznik ze śmiechem. — Zresztą ty mogłaś powołać się na okoliczności łagodzące.

— Owszem: mogłabym powołać się na to, że mój mąż jest brzydki i odrażający, a pan jest ładny, bogaty i wytworny, tak?

Porucznik wzruszył ramionami.

— Nie śmiałem tego powiedzieć... albo raczej nie wypadało mi tego mówić.

Rogelja siedziała. Soler stał przed nią, patrzył i uśmiechał się do niej przymilnie.

— Niech pan posłucha. Gdyby wszystkie mężatki rozumowały tak, jak pan chce, bym ja myślała, gdyby poznawszy przystojnego chłopca porównywały go ze swym mężem, a stwierdziwszy, że porównanie wypada na korzyść nowego znajomego, oddawały mu się natychmiast — małżeństwo i rodzina przestałyby istnieć. Naco tyle ceregieli? Naco chodzić do kościoła, zapraszać świadków i drużbów, naco składać podpisy?... Ludzie mogliby spokojnie naśladować ptaki leśne albo psy na ulicy.

— O, do diabła! moja mała, doskonale mówisz! Zapomniałem zgola języka w gębie. Tam, na Kubie, nazywają uczonych murzynów *morenos catedraticos*. Ty także jesteś *morenita catedratica*.

— Dziękuję pięknie za porównanie.

— Przepraszam za żart. Serjo, mogę cię zapewnić, że ani tutaj, ani w Madrycie, ani w Barcelonie

służba nie mówi tak jak ty. Albo otrzymałaś wykształcenie, albo też jesteś z natury bardzo zdolna. W każdym razie dowodzi to, że w obecnem położeniu nie jesteś na właściwem miejscu. Nie powinnaś być ubogą służącą, warta jesteś czegoś lepszego.

— A czego, don Bruno? — zapytała Rogelja z uśmiechem.

— Warta jesteś, by żyć jak pani, gdyż niewiele znam pań, które dorównywają ci urodą, inteligencją, obejściem. Ja osobiście niewiele jestem wart; jestem jednak młody i bogaty, mogę ci dać ładny dom, klejnoty, stroje...

— Tak, wzbogaciłby pan moje ciało, lecz zubożyłby duszę. Położenie moje, według pana tak smutne, mojem zdaniem jest znośne, pozwala mi bowiem żyć ze spokojnem sumieniem. Żyjąc, jak pan mi proponuje, nie zaznałabym spokoju: wyrzuty sumienia dręczyłyby mię, mąciły myśli i wreszcie doprowadziłyby do tego, że poczęłabym pogardzać sobą. Czy pan sądzi, że wzamian za to zaznałabym szacunku u ludzi? Pan się myli. Zbytek i przepych imponowałby im zrazu, lecz gdyby się wydało, że zdobyłam go za cenę czci, obrzuconoby mnie błotem.

Soler spoglądał na nią z prawdziwem zdumieniem.

— Jesteś szlachetna, dzielna, mądra, Rogeljo. Sama nawet nie wiesz, jak wysoko mogłabyś zejść, gdybyś tylko chciała. Wczoraj podobaaś mi się; dziś — budzisz we mnie podziw; jutro, być może, pokocham cię do szaleństwa. Zapomnij o skrupułach, zatruwających życie; świat o nich prawie nigdy nie wie, a lekceważy je, o ile je zna...

— Świat nie; lecz Bóg...

Porucznik zawahał się chwilę.

— O! — rzekł wreszcie cicho — to coś bardzo dalekiego...



— Dla mnie — to coś bardzo bliskiego — zaprzeczyła Rogelja z uniesieniem. Pragnę na tym świecie jednego tylko: żyć w obecności Boga.

Zerwała się z miejsca i dodała śpiesznie:

— Dość tej rozmowy, don Bruno. Nie przystoi panu ani mnie, by nas widziano razem o tej porze.

— Dowidzenia, piękna Rogeljo, mam nadzieję, że prędzej czy później będziemy przyjaciółmi.

— Przyjaciółmi jesteśmy już teraz: nigdy nie odmówiłam przyjaźni komuś, kto szczerze ofiarował mi swoją.

— Wiesz doskonale, że pragnę innej przyjaźni.

— Inna jest niemożliwa.

— Pociągają mnie rzeczy niemożliwe.

I odszedł, śmiejąc się, a Rogelja przebiegła szybko krótką przestrzeń, dzielącą ją od domu. Scena ta nie pozostawiła żadnego śladu w jej myśli ani w sercu.

## VI.

W niedzielę o godzinie trzeciej popołudniu oberża „Pod chwałą Ceuty“ była przepełniona. Jedni stali, inni siedzieli przy stołach, które czcigodny don Heliodore umył starannie zrana a teraz ścierał szmatką, ilekroć gość rozlał parę kropel wina. Różnorodny tłum składał się z górników, żołnierzy, robotników, tragarzy portowych. Był tam również jakiś przekupień żydowski i jeden jedyny pijany Arab, który chrapał już pod stołem.

Don Heliodore ubrany był jak zawsze w surdut, spod którego wyglądała świeżo wyprana i wyprasowana biała pikowa kamizelka. Nosił bardzo wysoki sztywny kołnierzyk, który wprawdzie krępował mu ruchy i męczył bardzo, lecz zato nadawał mu do-

stojny wygląd członka najwyższego trybunału. Wodził teraz dobrotliwym wzrokiem po zebranych. Z wyraźną satysfakcją podawał wszystko, czego domagali się krzykliwi goście. Zezowata jego małżonka była w lepszym nastroju. Czyniła, co mogła, aby obsłużyć wszystkich, obnosząc śpiesznie butelki i szklanki.

W tłumie można było zauważyć i katorżników, którzy na mocy szczególnych przywilejów, z racji osobistych zasług korzystali ze względnej swobody. W ich liczbie znajdował się ojciec Zenon, zażywający w Ceucie wielkiej popularności.

Stał właśnie i wychylał zwolna szklankę wina, gdy podszedł do niego jakiś napół pijany marynarz.

— Słuchajcie, ojcze Zenonie, powiadają, że Arabom nie wolno pić wina. Czy to prawda?

— Zdaje się — odrzekł chłodno stary, nie patrząc na niego.

— Więc dlaczego tamten, co leży pod stołem, tak zalał sobie pałę?

— Ponieważ ów Arab ma zamiar zostać chrześcijaninem, a uważa, iż najlepiej dowiedzie swych dobrych chęci, gdy się co czas pewien upije — odparł poważnie dozorca.

Marynarz spojrział na niego szeroko otwartemi oczyma, poczem nic nie rozumiejąc, odszedł do swych towarzyszy. Ojciec Zenon popijał zwolna wino ze szklaneczki. Jakiś żołnierz odezwał się do niego:

— Słuchajcie, ojcze Zenonie, kiedy kończą się roboty w pierwszym rzędzie fortyfikacyj?

— Skąd mogę wiedzieć, mój kochany? Robotami kierują inżynierowie. My, dozorczy, mamy tylko obowiązek poganiać bydło przy pracy.

— W waszym wypadku nie jest to prawda, ojcze Zenonie. Nie słyszałem, by ktoś z waszej brygady skarżył się na was.

— Bo mam zwyczaj poganiać głosem, a nie batem.

— I tak być powinno, do pioruna! Jesteśmy ludzie czy muły? Porucznik Fernandez wczoraj podczas ćwiczeń trzasnął mnie w głowę tak, że sto świec zobaczyłem. Ale wy, ojcie Zenonie, jesteście człowiekiem, a porucznik Fernandez — to świnia, przyczepia się o byle co, nie przebierając w środkach; nie ma żadnych zasad, żadnego wstydu, nie!

Ojciec Zenon, zaniepokojony tą obmową oficera, odwrócił się do żołnierza plecami.

Marynarz, który zaczepił go był poprzednio, coraz bardziej pijany zapytał znowu:

— Ojcie Zenonie, czy to prawda, że tę suchą tykę, Mahometa, trzymają w żelaznej skrzyni, i że wisi na magnesach pod stropem meczetu?

— Synu, nie byłem w Mecce i nie widziałem tego, ale ten Arab, co tam śpi, będzie mógł cię objaśnić napewno. Zapytaj go.

— Jak mu na imię?

— Józef.

Marynarz począł ciągnąć Józefa za nogi, lecz nie udało mu się go rozbudzić. Ciągnął go jednak tak zawzięcie, że wydobył go spod stołu; szarpał go z uporem pijaka, aż wreszcie tamten otworzył oczy. Wstał, chwając się na nogach, i rozglądał się nieprzytomnie: nie mógł zrozumieć, gdzie się znajduje.

— Józef, powiedzno mi, czy prawda, że ta sucha tyka, Mahomet, jest zamknięty w skrzyni stalowej i wisi na magnesach pod stropem meczetu?

Arab przyjrzał mu się chwilę i za całą odpowiedź wymierzył mu zaciśniętą pięścią potężny cios w twarz.

Wszczęło się wielkie zamieszanie. Marynarz, któremu krew buchała z nosa, krzyczał przeraźliwie i klął, wkońcu rozwścieczony wyciągnął zza bluzy nóż, usiłując ugodzić Araba.

Obecni rzucili się, aby go rozbroić. Zezowatej babie udało się wreszcie wyprowadzić go na podwórze, gdzie mu obmyła twarz.

Po chwili zapanował spokój. Arab zażądał szklanki wina, a wychyliwszy ją jednym łykiem, wyszedł, zataczając się. Uszedł zaledwie parę kroków i rozciągnął się jak długi na środku ulicy, wywołując śmiech i głośne okrzyki wśród gapiów. W owej chwili wszedł do oberży porucznik Soler. Był po cywilnemu, toteż nie zauważono jego obecności. Jednakże któryś z żołnierzy poznał go, szepnął o tem drugiemu, i wkrótce wszyscy żołnierze wynieśli się cichaczem.

Dostojny don Heliodore, spostrzegłszy porucznika, podbiegł doń usłużnie, kłaniając się uniżenie jak przed dygnitarzem. Dał mu znak porozumiewawczy i zaprowadził w najdalszy kąt izby, gdzie przy stole siedziało kilku marynarzy. Don Heliodore zbliżył się do jednego z nich, szepnął mu coś na ucho, poczem wszyscy wstali z szacunkiem i odeszli od stołu. Porucznik i oberzysta usiedli.

Ojciec Zenon przyglądał się tym manewrom bez wielkiego zainteresowania i miał już wyjść, gdy ujrzał wchodzącą Baldomere, przyjaciółkę Rogelji, którą znał dobrze z widzenia. Jej obecność w gospodzie zastanowiła go, toteż zatrzymał się.

Baldomera zbliżyła się naprzód do zezowatej baby i zamieniła z nią parę słów; ta wskazała jej kąt izby, gdzie znajdował się Heljodor w towarzystwie porucznika. Szynekarz na jej widok wstał śpiesznie i z wielkiem uszanowaniem zaprosił ją, by usiadła.

Narada zaciekała ojca Zenona. Zaniepokojony przysunął się nieznacznie i stanął możliwie najbliżej, udając, że rozmawia z katorżnikami. Wiedział, że Rogelja mieszka z tą kobietą, wiedział, że don Heliodore jest łajdakiem, znał również z widzenia porucznika Solera; z drugiej strony słyszał, że mło-

dzieniec jest bardzo bogaty i narwany. Wystarczyło to, by owa konferencja wydała mu się podejrzana; zdjęła go obawa o Rogelję, dla której czuł teraz prawdziwe przywiązanie. Począł nasłuchiwać: udało mu się pochwycić parę oderwanych wyrazów. Usłyszał imię Rogelji i zauważył, iż don Heliodore, zwracając się do wdowy, mówił z wielkiem ożywieniem, jakgdyby pragnął przekonać ją o czemś, a ta milcząc opuściła głowę. Była bardzo blada. Kilkakrotnie uczyniła ruch przeczący. Don Heliodore próbował usilnie ją przekonać, przyczem podniósł mimowolnie głos. Ojciec Zenon usłyszał powtórzony kilkakrotnie wyraz *drzwi*. Wreszcie porucznik Soler, który dotąd milczał i był pozornie roztargniony, powiedział wyraźnie tonem rozkazującym:

— Tylko drzwi! Nic więcej!...

Poczem ku najwyższemu zdumieniu dozorca wyjął z sakiewki okazały rulon i wręczył go Baldomerze. Ta zawahała się, lecz w następnej chwili schowała go szybko do kieszeni. Don Heliodore przerwał potok swej wymowy, porucznik Soler wstał i z wyraźnym wstrętem, nie ukłoniwszy się im wcale, wyszedł z gospody, jakgdyby uciekał z jakiejś cuchnącej nory. Don Heliodore szeptał jeszcze z wdową, której twarz chmurzyła się chwilami. Wreszcie Baldomera odeszła. Ojciec Zenon domyślił się, że rulon zawierał złoto, i był prawie pewien, że knuje się coś przeciwko Rogelji.

Czy ją uprzedzić? Gdzie może być w tej chwili? Przypomniawszy sobie, iż zapytał kiedyś, co robi popołudniu; odparła, że zazwyczaj spędza ten czas w kościele. Ojciec Zenon nie wiedział jednak, w którym. Instynktem wiedziony udał się do kaplicy garnizonowej, ponieważ była najbliżej domu Rogelji. Wszedł. W ciemnej nawie kilka kobiet odbywało drogę krzyżową pod przewodnictwem księdza. Przyjrzał się uważnie owej gromadce, lecz Ro-

gелji tam nie było. Obszedł kaplicę dokoła. W mrocznym zakątku przed ołtarzem Matki Boskiej ujrzał kobietę z różańcem w ręku. Poznał ją odrazu. Zbliżył się w milczeniu i dotknął jej ramienia. Rogelja odwróciła się żywo; twarz jej wyrażała wielkie zdziwienie.

— Co się stało, ojciec Zenonie? — zapytała przestraszona.

Dozorca szepnął:

— Muszę pomówić z tobą niezwłocznie. Bądź łaskawa wyjść na chwilę.

Ruszył ku drzwiom. Rogelja szła za nim. Na ulicy ojciec Zenon opowiedział jej pokrótce o scenie, której był świadkiem.

Rogelja była zdumiona. Nie mogła wątpić o zdradzie, inaczej bowiem narada Baldomery z poręcznikiem byłaby zgola niezrozumiała. Bez żadnej więc obawy, lecz z głębokim smutkiem szepnęła:

— Niech się dzieje wola Boża. Kobieta napozór taka dobra!

— Wszyscy jesteśmy dobrzy, dopóki nie stanemy się zli — oświadczył ojciec Zenon sentencjonalnie.

— To prawda. Czyhają na nas zewsząd pokusy; winniśmy czuwać i modlić się, aby nie upaść.

— Dobrze. Teraz już wiesz wszystko, moje dziecko — rzekł stary szorstko jak zwykle. — Dowidzenia. Ale jeśli cię kto skrzywdzi, ja się z nim rozprawię. Niewiele już mam życia przed sobą; wszystko mi jedno, gdzie je zakończę: w szpitalu czy na szubienicy.

Wzruszona Rogelja uścisnęła mu rękę.

— Dziękuję, ojciec Zenonie. Nie dojdzie do tej ostateczności. Bóg mnie uchroni, jak chronił mnie dotychczas.

— Amen.



Odszedł. Rogelja wróciła do kościoła, szepcząc:  
— Nieszczęśliwa! Nieszczęśliwa kobieta!

Uklękła i modliła się gorąco za zdrajczynię. Potem, ożywiona ufnością w opiekę Bożą, pewna siebie i spokojna wróciła do domu.

Zastała tam już Baldomerę. Powitała ją ze zwykłą serdecznością. Odrazu zauważyła w jej zachowaniu coś niezwykłego, coś, co potwierdzało przypuszczenie ojca Zenona. Wdowa była widocznie jakgdyby wystraszona; mówiła mało, unikała wzroku towarzyszki, starała się być od niej zdala, nie wychodziła z kuchni. Skoro Rogelja stawiała na progu, ona uciekała na podwórko pod byle jakim pretekstem. Przy obiedzie nie jadła nic, tłumacząc się brakiem apetytu, i wyszła do przyległej izdebki.

Rogelja obserwowała ją spod oka, śledząc jej kroki. Po obiedzie wyszła za nią do izby, wzięła książkę i zaczęła czytać przy świetle lampki naftowej. Baldomera krążyła po domu jak spłoszona jaskółka. Zachowanie jej było zagadkowe. Wreszcie podeszła do drzwi wejściowych i odsunęła zasuwę, zamierzając wyjść. Rogelja, która udawała, że czyta, nie spuszczała jej z oka. Spostrzegłszy jej manewr, zerwała się z miejsca, podbiegła ku niej, schwyciła ją mocno za rękę i patrząc jej prosto w oczy, zapytała:

— Dokąd idziesz, Baldomero?

Kobieta zmieszała się. Fala krwi uderzyła jej do głowy. Zdołała wyjąkać:

— Chcę zapłacić pięć reali, które jestem winna sklepikarzowi.

— Nieprawda. Sklepik jest już zamknięty o tej porze. Idziesz, aby splamić sumienie ohydny grzechem. Idziesz, aby za garść złota sprzedać cześć nieszczęśliwej kobiety, która ci nic nie zawiniła, przyjaciółki, siostry prawie, która dzieli się z tobą

pracą i chlebem. Wstępujesz w ślady zdrajcy Judasza, aby spotkać się z nim kiedyś w piekle.

Baldomera zgnębiona, przypuszczając, że jej towarzyszka otrzymała jakieś ostrzeżenie z nieba, padła przed nią na kolana.

— Przebacź! Przebacź!

Rogelja, promieniejąca natchnieniem wewnętrznym, zawołała:

— Nie mnie proś o przebaczenie, bo ja jestem nędzna istota i zasługuję na to jedynie, aby mię podeptać! Błagaj o łaskę Boskiego Męczennika, w którego głowę nowy cierń wbić zamierzałaś.

I nie wypuszczając jej dłoni, zaciągnęła ją przymocą do stóp krucyfiksu.

— Przebacź! przebacź! — powtórzyła Baldomera, łkając rozpaczliwie.

Rogelja uklękła również i poczęła modlić się żarliwie:

— Panie, przez krew niewinną, którą przelałeś na krzyżu, odpuść tej nieszczęśliwej, odpuść mnie, odpuść nam wszystkim, bo wszyscy Twego potrzebujemy przebaczenia.

Nastąpiło długotrwałe milczenie. Baldomera płakała. Rogelja, nie troszcząc się o nią, z oczyma utkwionemi w Ukrzyżowanego, modliła się w duchu.

Nagle u drzwi wejściowych rozległo się dyskretne pukanie. Obie podniosły głowy i zdziwione poczęły nasłuchiwać. Pukanie dało się słyszeć ponownie. Wówczas Baldomera zerwała się z klęczek. Podeszła do komody, gdzie chowała bieliznę, otworzyła górną szufladę i wyjęła rulonik, otrzymany od porucznika Solera. Następnie uchyliła zakratowane okienko, znajdujące się obok drzwi, i wyjrzała przez nie.

— Czy to ty, Rogeljo? — zapytał jakiś cichy głos.

— To nie Rogelja. Jestem Baldomera. Niech pan zabierze te pieniądze, które palą mi dłonie. Niech pan prosi Boga o przebaczenie, tak jak ja Go proszę, za niegodziwy czyn, który mieliśmy popełnić.

Wyrzuciła na ulicę rulon i zamknęła okno.

Rogelja otoczyła ją ramieniem i ucałowała serdecznie.

— Doskonale, Baldomero, doskonale! Bóg podał ci dłoń miłosierną. Nie ulegniesz już nigdy pokusie. Jezus jest z tobą.

Trwały tak długo, przytulone do siebie. Wreszcie Rogelja podniosła głowę.

— Czy nie słyszysz?

— Co? Wraca ten bezczelny człowiek? — zapytała Baldomera, z oczyma płonącymi oburzeniem.

— Nie, to aniołowie w niebie śpiewają, radując się z tego, coś uczyniła — odrzekła Rogelja z uśmiechem.

— O, na miłość Boską! Nie zawstydzaj mnie! — zawołała wdowa, kryjąc czoło na ramieniu Rogelji.

## VII.

Od owego wieczoru zacieśniła się przyjaźń między dwiema kobietami. Baldomera usiłowała wszelkimi sposobami zatrzeć swoją zdradę w pamięci przyjaciółki. Usługiwała jej, dogadzała, słuchała we wszystkim. Na drugi dzień po owym wypadku poszła do spowiedzi; odtąd za przykładem Rogelji poczęła wieść życie pobożne, spędzając w kościele wszystkie wolne od pracy chwile. Rogelja z głęboką radością obserwowała skrucę swojej przyjaciółki i jako gorliwa apostołka utwierdzała jej kroki na zbożnej drodze, powtarzając za świętym Augustynem: „O szczęsna wino!“

Minęło pięć miesięcy od jej przyjazdu do Ceuty. Zgoła niedorzeczne i nieprawdopodobne byłoby

przypuszczenie, że przez cały ten czas nie zaznała chwil zniechęcenia, że wspomnienia minionego szczęścia, obraz syna, pamięć człowieka, którego tak głęboko kochała, nie dręczyły jej serca. Bywają godziny straszne, kiedy dusza miota się w człowieku, jęczy głucho jak wulkan przed wybuchem, aż wreszcie wybuchnie gorącą lawą łez. Rogelja umiała jednak dzięki niezłomnej woli i wierze niemal nadprzyrodzonej wychodzić z prób takich zwycięsko. Po każdym takim wstrząśnieniu czuła się silniejszą, odważniejszą, jak stał hartowała się w ogniu. I zasypiała ponownie w pięknym śnie miłości Bożej, nadziei i niebiańskiej radości.

Pewnego ranka, gdy zajęta była pracą w domu, ujrzała wchodzącego ordynansa więziennego. Dyrektor domu karnego wzywał ją, by stawiała się niezwłocznie w jego biurze. Zdziwiło ją to. Nie czuła jednak niepokoju w sercu. Nie miała sobie nic do wyrzucenia, a myślą tkwiła w niebie, toteż sprawy ziemskie stawały się dla niej z każdym dniem obojętniejsze. Natomiast wezwanie zaniepokoiło mocno Baldomerę. Rogelja przygotowywała się do wyjścia, a wdowa gubiła się w przypuszczeniach. Czy doniesiono coś dyrektorowi? Czy Maks popełnił jakieś nowe przestępstwo? Czy chciano zmusić Rogelję do opuszczenia Ceuty? Rogelja udała się spokojnie do domu karnego.

Niechlujni ordynansi, rozmawiający w przedpokoju, nie przyjęli jej tym razem z pogardliwą obojętnością: przeciwnie, zachowali się wobec niej z widocznym szacunkiem. To nasunęło Rogelji przypuszczenie, że sprawa nie jest groźna, a przynajmniej, że naczelnik nie gniewa się na nią. Niedługo kazano jej czekać. Żołnierz, który poszedł oznajmić jej przybycie, wrócił natychmiast, prosząc, by weszła.

Dyrektor siedział przy biurku. Podniósł głowę; surowym, badawczym wzrokiem ogarnął przybyłą.

Potem, szybko, jakgdyby chciał czempredzej załatwić niemiłą sprawę, rzekł:

— Jest rzecz taka, moje dziecko. Mam tu pieniądze, które podsekretarz wojny polecił ci doręczyć. Otrzymałem przekazem dwa tysiące pesetów na twoje nazwisko. Już je podniosłem. Oto są. Podpisz kwit.

Równocześnie podsunął jej dwa rulony złotych monet i papier do podpisania. Rogelja, nie okazując najmniejszego zdziwienia, odrzekła z wielkim spokojem:

— Panie dyrektorze, nie mogę wziąć tych pieniędzy, bo mi się nie należą. Nikt mi nie jest nic winien.

Dyrektor spojrział na nią zdziwiony.

— Ale skoro kazano mi doręczyć je tobie...

— Nie mogę, nie powinnam i nie chcę przyjmować podarków.

Zapadło milczenie. Dyrektor patrzył na nią zdumiony, lecz wzrok jego tracił stopniowo zwykłą surowość.

— Więc co według ciebie mamy zrobić z temi pieniędzmi?

— Zwrócić je temu, kto je przysłał.

— Podsekretarzowi wojny?

— Tak?

Dyrektor nie spuszczał z niej wzroku, a spojrzenie jego łagodniało coraz bardziej.

— Dobrze, moje dziecko — rzekł uprzejmie. — Zrobimy tak, jak sobie życzysz. Możesz odejść.

— Dziękuję, panie dyrektorze. Dowidzenia.

Ballester śledził ją wzrokiem, dopóki nie znikła za drzwiami. We wzroku jego malowało się zdziwienie i sympatja. Ordynansi w przedpokoju wstali, gdy przechodziła, jakgdyby była wytworną damą, a jeden z nich pośpieszył otworzyć jej drzwi. Wiedzieli prawdopodobnie, poco była wzywana.

Rogelja, znalazłszy się na ulicy, zatrzymała się i otarła łzy, które napłynęły jej do oczu. Nie wątpiła, że pieniądze pochodzą od Vilchesa. Z wielkim wysiłkiem zdołała opanować wzruszenie w obecności dyrektora. Chcąc uspokoić się nieco, wstąpiła na chwilę do ogrodu San Amaro. Baldomera czekała na nią, dręczona ciekawością i obawą. Rogelja uznała wszakże, iż nie należy wtajemniczać jej w prawdziwy stan rzeczy, powiedziała więc tylko, że dyrektor wezwał ją, by udzielić wiadomości o rodzinie.

Po śniadaniu, ponieważ był to wtorek, czyli dzień, w którym chodziła odwiedzać Maksa, udała się do fortyfikacyj smutniejsza i bardziej zgnębiona niż kiedykolwiek. Skoro podeszła do grupy pracujących, ojciec Zenon swoim zwyczajem pośpieszył na jej spotkanie. Zauważyła jednak nie bez zdziwienia, że katorżnicy, którzy naogół nie zwracali na nią żadnej uwagi, przerwali pracę, podeszli ku niej i przyglądali się jej ciekawie.

— Wiemy, że jesteś bogata, Rogeljo — oświadczył dozorca ze szczerą radością.

— Skąd wiecie, ojcze Zenonie? — zapytała Rogelja, zbliżając się do Maksa, który siedł ku niej słodko uśmiechnięty.

— Więc otrzymałaś jednak dwa tysiące pesetów? — zagadnął, oblizując się łakomie jak kot na szperkę.

— Skąd wiesz?

— Wszyscy to wiedzą.

— Więc wszyscy się mylą. Wprawdzie przesłano mi przekazem te pieniądze; ale odesłałam je nie-  
tknięte.

— Odesłałaś je? — krzyknął górnik głosem ochryłym i przenikliwym, jak ryk dzikiego zwierzęcia.

— Tak, odesłałam — odrzekła dumnie, patrząc mu w oczy.



Groźna błyskawica zamigotała w oczach galernika, który zebrał się w sobie jak tygrys. Jednym skokiem rzucił się na Rogelję i silnym ciosem w głowę powalił ją na ziemię. Zanim ojciec Zenon zdążył nadbiec, łotr skopał leżącą. Dozorca chwycił Maksa za kark i byłby go udusił, gdyby towarzysze nie byli pośpieszyli mu z pomocą.

Rogelja leżała na ziemi bez życia. Ojciec Zenon pobiegł ją ratować, nie mógł jednak przywrócić jej przytomności. Przygotował śpiesznie nosze, wysłał je bluzami galerników i kazał przenieść zemdloną do szpitala.

Lekarz dyżurny stwierdził złamanie żebra i silne wstrząśnienie mózgu. Baldomera, powiadomiona o wypadku, przybiegła zapłakana. Błagała zakonnice, by jej pozwoliły zostać i pielęgnować chorą. Zabraniał tego wszakże regulamin zakładu.

Otoczono Rogelję staranną opieką. Szarytki, ujęte łagodnością, zbudowane pobożnością chorej, miały dla niej szczególne względy. Przesiadywały chętnie przy jej łóżku, zachwycone i zdziwione umysłowemi zaletami Rogelji, chora bowiem wskutek osłabienia zapewne przestała ukrywać swą wartość wewnętrzną, jak to czyniła dotychczas, i nie tała swej wiedzy i uczuć. Nabrały dla niej takiego szacunku i sympatji, że przedłużyły ponad konieczność pobyt chorej w szpitalu, prosząc lekarza, aby jej jak najdłużej nie wypisywał.

Po trzech tygodniach przyszła do zdrowia. Spędziła jednak dwadzieścia sześć dni w szpitalu. Baldomera odwiedzała ją, o ile tylko było wolno, i przesadywała możliwie jaknajdłużej. Ojciec Zenon nie opuszczał ani jednego dnia, by dowiedzieć się o chorą; niekiedy przynosił jej kwiaty.

W towarzystwie zakonnic, które otaczały ją szacunkiem i życzliwością, Rogelja czułaby się szczęśliwą, gdyby nie silne pokusy, jakim podlegała

w owym czasie. Wspomnienie syna i Ferdynanda występowało wyraźnie w jej umyśle, obraz kochanych osób nie znikał ani na chwilę z pamięci. Ogarnął ją śmiertelny niepokój. Daremnie usiłowała oddalić pokusę, napróżno modliła się: nie mogła odzyskać spokoju, którym cieszyła się dotychczas w okrutnej ofierze, podjętej dla zbawienia duszy. Żarliwa jej pobożność zewnętrznie nie uległa zmianie, lecz w głębi duszy rozgościł się chłód, który zaczynał ją obezwładniać. Miała bezustannie w pamięci szczęście dni minionych, pieszczoty dziecka, miłość uwielbianego Ferdynanda, serdeczne ciepło domowego ogniska, szacunek i przywiązanie, jakie ją otaczały; dźwięczał jej ustawicznie w uszach rozkoszny szczebiot synka, rozkochane słowa czulego i szlachetnego człowieka, który wyniósł ją tak wysoko; tysiączne szczegóły życia w Madrycie stawały jej przed oczyma jak wizja raj utraconego... Obecne życie wydawało się jej jakimś straszliwym piekłem. Czy na nie zasłużyła? Bezbożne zwątpienie poczęło budzić się w jej duszy. Zwalczała je, ale bezskutecznie.

Po opuszczającej szpital przyszła Baldomera. Zauważyła głęboki smutek przyjaciółki. Rogelja straciła dawną żywość ruchów, wdzięk w sposobie mówienia, szczerą i spokojną pogodę obejścia, które tak silnie działały na otoczenie.

— Smutna jesteś, Rogeljo. Czy źle się jeszcze czujesz?

Przyznała, że czuje się osłabiona, ale to przejdzie niebawem. Osłabienie jednak nie mijało. Po tygodniu oświadczyła, iż chce odwiedzić męża. Oburzona Baldomera starała się wszelkimi sposobami odwieść ją od tego zamiaru.

— Po niegodziwości, której się względem ciebie dopuścił, chcesz jeszcze iść do niego? Nie, Rogeljo, nie czyn tego!

— To mój obowiązek — odrzekła nieszczęśliwa zgębnionym głosem.

— To nie jest twój obowiązek. Dość już zrobiłaś. Bóg nie żąda niemożliwości.

— Ale to rzecz możliwa, Baldomero, wypełnię obowiązek do końca, niech się co chce dzieje — odpowiedziała słodko.

Nie płakała, lecz w głosie jej drżały łzy tłumione. Baldomera ucałowała ją zaklinając, by poniechała zamiaru.

Nic jednak nie wskórała. Rogelja wyszła z domu i wolnym krokiem udała się ku fortyfikacjom. Wyglądała jak skazaniec, wiedziony na miejsce kaźni. Każdy krok był rezultatem bohaterskiego wysiłku woli. Duszę jej gnębił niewypowiedziany, śmiertelny smutek. Odraza, jakiej dotychczas doznawała, zamieniała się w uczucie ohydneho wstrętu i przerażenia.

Zatrzymała się koło katedry; nie miała sił iść dalej. Była blisko dwunasta. Wszystkie msze już się skończyły. Kościół był pusty. Tuż przy drzwiach wisiał duży krucyfiks. Padła przed nim na kolana. Łzy popłynęły jej z oczu.

— Panie, dodaj mi sił albo pozwól mi umrzeć, bo już nie mogę dłużej!

Wśród łkań, które wstrząsały jej ciałem, powtarzała uporczywie:

— Nie mogę już! Nie mogę!...

Lecz oto, gdy podniosła wzrok ku Ukrzyżowanemu, ujrzała z przerażeniem, że oczy Jego poruszyły się i opuściły ku niej słodkie i współczujące.

Wylękała, lecz zachwycona zarazem, rozkrzyżowała ramiona, wołając:

— Mów, Panie!

I Chrystus przemówił:

„Córko moja, skończyły się twoje udręki. Odpuszczają ci się grzechy.“

Głos Zbawiciela zabrzmiał jak muzyka uroczysta. Rogelja padła na ziemię zemdlna. W parę minut potem zakrystjan, który obchodził kościół przed zamknięciem drzwi, zastał ją leżącą bez przytomności. Przerażony, sądząc, że kobieta nie żyje, począł wołać głośno księdza, który był jeszcze w zakrystji. We dwóch przenieśli ją tam, spryskali jej twarz wodą, włąli do ust parę kropel wina. Odżyła przytomność, lecz zaraz wybuchnęła niepomowanym płaczem. Zdziwiony ksiądz zapytał:

— Co ci jest, moje dziecko? Czy widziałaś coś?

Rogelja nie mogła odpowiedzieć; szlochała coraz bardziej.

— Widziałaś coś, moje dziecko? Widziałaś coś? — powtarzał ksiądz zaniepokojony.

Milczała.

— Jeśli widziałaś coś, mów; twoim obowiązkiem jest powiedzieć.

— Teraz nie mogę, ojciec... Teraz nie mogę; powiem później.

Pozostawili ją wreszcie w spokoju. Gdy przyszła do siebie, otarła łzy i opuściła kościół.

I wtedy uczuła, że w sercu jej budzi się niewysłowiona radość.

— Umrę! — pomyślała.

Ta pewność, którą słowa Ukrzyżowanego zbudziły w jej duszy, wstrząsnęła nią tak głęboko, dała jej tak zawrotne uczucie szczęścia, że omal powtórnie nie straciła przytomności.

— Umrę! Umrę! — powtarzała radośnie, idąc ku fortyfikacjom. Doznawała niebiańskiej pociechy, była oszołomiona; zdawało jej się, że dostała skrzydeł: nie widziała ziemi, patrzyła już tylko w niebo.

Przybyła wreszcie na miejsce. Zdaleka spostrzegła grupę więźniów. Poczęła biec ku nim z niewiarogodną lekkością. Ojciec Zenon wyszedł na jej spot-

kanie. Gdy znalazł się już dość blisko, zawołał, promieniejąc radością:

— Moje drogie dziecko, skończyły się twoje udręki!

Rogelja stanęła. Nogi jakgdyby wrosły jej w ziemię. Były to bowiem te same słowa, któremi przemówił do niej Chrystus na krzyżu.

— Skąd wiecie, że umrę? — zdołała powiedzieć.

— Umrzesz? Ty? Nic podobnego. Umarł ten łotr, twój mąż.

Rogelji wszystka krew zbiegła z twarzy. Serce łomotało jej tak, jakby chciało wyrwać się z piersi.

— Tak — mówił dalej dozorca. — Powiesił się. Skoro naczelnik dowiedział się, jak postąpił z tobą, kazał go zamknąć w celi. Dziś w nocy Maks sporządził sobie stryczek z paska od spodni i powiesił się na kracie okiennej.

Rogelja nie mogła dłuższy czas przemówić ani słowa.

— Czy go już pochowano?

— Nie, jest w trupiarni.

— Czy można go zobaczyć?

— Oczywiście. Pan naczelnik kazał mi zrobić dla ciebie, co tylko można. Oho! Nie masz pojęcia, jak pan naczelnik cię szanuje. Mówi, że jesteś złą kobietą, która miała nieszczęście zakochać się w bandycie.

Zakochać się! Rogelja odczuła kłamstwo i gorycz, kryjące się w tem słowie.

Ojciec Zenon wydał rozporządzenie katorżnikom, co mają robić, poczem udał się z nią do Principal, gdzie była trupiarnia. Przez drogę opowiedział jej szczegóły wypadku. Hilary, dozorca, zajrzał dziś rano przez okienko w drzwiach i spostrzegł wisielca. Pobiegnął zaraz dać znać. Przyszedł naczelnik i lekarz, który stwierdził, że śmierć nastąpiła przed paru zaledwie godzinami.

— Sądzę, moja droga — dodał dozorca z nietajonym uśmiechem — że śmierć była mu sądzona. Wtedy, kiedy chciał cię zamordować, gdyby nie to, że mi go z rąk wyrwano, byłbym go niechybnie wysłał na tamten świat. W każdym razie nie żyłby długo. Musiałaś zauważyć, że od pewnego czasu począł żółknąć jak cytryna. Musiał być chory na wątrobę. Nie wiem, moja droga, co ty czujesz, ale w brygadzie, ani w więzieniu nikt go nie żałuje. Hilary powiedział mi dziś rano:

— Kobiety — to djabły, Zenonie. Sam Pan Bóg je zrozumie. Czy słyszał kto coś podobnego: Rogelja, taka ładna, zakochała się w tym orangutangu!

Rogelja zacięła się w ponurem i uporczywym milczeniu. Wreszcie ojciec Zenon przestał mówić.

Trupiarnia w Principal była to duża piwnica, oświetlona wąskim okienkiem. Ojciec Zenon otworzył drzwi kluczem, otrzymanym od dozorca. Wchodząc poczuli wstrętną woń zgnilizny. Zatrzymali się na progu, by oswoić wzrok z ciemnością. Pośrodku lochu na zbitym z desek stole leżały zwłoki galerika.

Rogelja cofnęła się przerażona. Trup wyglądał potwornie. Brzuch wydęty, twarz sina i napuchnięta; oczy, których dłoń pobożna nie zamknęła, wysadzone z orbit, miały wyraz przerażający.

Cofnąwszy się o parę kroków, Rogelja przycisnęła drżącą dłoń do serca i szepnęła, wznosząc oczy ku niebu:

— Jezu mój, nie opuszczaj mnie do ostatka!

Potem podeszła pewnym krokiem, zamknęła powieki potwora i złożyła pocałunek na jego czole, mówiąc głośno:

— Niech Bóg przebaczy ci tak, jak mnie przebaczył!

Uklękła na zimnej ceglanej podłodze i poczęła się modlić pocichu. Ojciec Zenon przyglądał się jej



zdumiony. Gdy wstała, zbliżył się do niej i powiedział drżącym głosem:

— Wyjedziesz z Ceuty, prawda?

— Tak, ojcze Zenonie, jaknajprędzej. Dziś nawet, jeśli to będzie możliwe.

Chmura smutku omroczyła wzrok starca. Milczał chwilę. Potem ukląkł.

— Zanim wyjedziesz, pobłogosław mnie, proszę.

Rumieniec oblał twarz Rogelji.

— Nie, ojcze Zenonie, proszę nie żądać tego! Jestem tylko nędzną grzesznicą.

— Może byłaś grzesznicą, ale dziś jesteś świętą. Pobłogosław mnie! — powtórzył dozorca ochryłym ze wzruszenia, lecz rozkazującym głosem.

Wówczas Rogelja podeszła i położyła mu rękę na głowie.

— Więc dobrze, ojcze Zenonie. Niech Bóg błogosławi was tak, jak ja was błogosławię. Niech Najświętsza Panienka z Karmelu ma was w swojej opiece teraz i w godzinę śmierci waszej.

Zdjęła z szyi szkaplerz i włożyła go na szyję starcowi.

Pobiegła do drzwi. Zanim przeszła przez próg, odwróciła się jeszcze. Stary galernik, klęcząc na ziemi, całował szkaplerz.

Rogelja wskazała mu dłonią na niebo i wybiegła z lochu.

## VIII.

Podobna chmura smutku przyćmiła również oczy Baldomery na wieść o wyjeździe Rogelji.

Baldomera, chcąc ukryć troskę, poczęła krzątać się po domu. Rogelja zauważyła, że co chwila ocierała oczy chusteczką. Zbliżyła się więc do niej i ucałowała ją.

— Jedyne smutek, jakiego doznaję, opuszczając Ceutę, to świadomość, że muszę rozstać się z tobą. Ale prześlę ci wkrótce wiadomość o sobie... a może coś więcej jeszcze.

Baldomera spojrzała na nią z wyrzutem.

— Tak, wiem, że nie jesteś tem, za co chcesz uchodzić, że będziesz teraz wielką panią, ale wiesz, ja nie chcę pieniędzy. Chcę być z tobą, więcej nie pragnę niczego.

Rogelja uściskała ją znowu.

— Jakaś ty dobra, Baldomero!

Wdowa zaczerwieniła się.

— Nie zawstydzaj mnie, Rogeljo. Byłam bardzo niegodziwa.

— Przez krótką chwilę tylko, a ja byłam zła przez długie lata. Bóg podał nam rękę pomocną. Opiekuje się nami i nie opuści nas.

Potem ujęła ją za ręce i, spoglądając w przestrzeń ponad jej głową, dodała:

— Kto wie? Może zobaczymy się rychło nie tutaj, lecz w Madrycie. Módl się o to do Matki Bożej z Karmelu.

Rogelja miała za mało pieniędzy na drogę. Postanowiła sprzedać swoje sprzęty: łóżko, pościel, szafkę. Baldomera nie przystała na to. Oddała przyjaciółce wszystkie swoje drobne oszczędności. W ten sposób Rogelji po opłaceniu podróży zbywało jeszcze trochę pieniędzy. Wzamian za to Rogelja postanowiła nie zabierać ze sobą nic prócz pieniędzy. Zostawiła jej wszystko i postanowiła wyjechać z Ceuty tak, jak stała. Udały się na przystań. Statek odpływał nazajutrz. Cały bagaż Rogelji stanowił mały koszyczek i książeczka *O naśladowaniu* Tomasza à Kempis.

Pożegnały się serdecznie. Baldomera płakała bez przerwy i co chwila całowała przyjaciółkę. Rogelja, uśmiechając się przez łzy, powtarzała:

— Kto wie, Baldomero! Módl się do Najświętszej Panny z Karmelu.

Statek odbił od brzegu. Rogelja stała na pokładzie i powiewała chusteczką. Baldomera ocierała oczy i również przesyłała jej pożegnanie. Wreszcie straciły się z oczu.

Była zima. Drobny deszcz, gnany wiatrem, siekł po twarzy. Podróżni opuszczali śpiesznie pokład. Rogelja zeszła na ostatku. Patrzała na niknącą w oddali Ceutę, jak po skończonej pracy spogląda się na jej narzędzie: spokojnie i obojętnie. Potem usiadła w zacisznym kątku na okręcie.

Niebo było posępne; lecz ona miała w duszy inne niebo, czyste i błękitne. Jej wewnętrznej pogody nie omraczała żadna chmurka, żaden wietrzyk nie mącił jej cichego spokoju. Szła ku szczęściu, jak szła ku cierpieniu, wytrwale, spokojnie, unoszona w ramionach Opatrzności, jak dziecko w ramionach matki. Nie straciła owej pogody wewnętrznej nawet wtedy, gdy po przybyciu do Martos dowiedziała się, że wskutek osunięcia się nasypu pociąg opóźni się o dziewięć godzin. Miała przyjechać do Madrytu o ósmej rano: przybyła tam dopiero o szóstej po południu.

Noc już zapadała. Pogoda była pochmurna, podobnie jak w Algeciras. Wyskoczyła szybko z pociągu, chciała iść pieszo do domu. Pozatem obawiała się, że gdyby zajechała wynajętym powozem, zauważyłby ją portjer, a tego sobie nie życzyła. Wiedziała zresztą, że Vilches po przyjęciach, trwających do szóstej, zawsze poświęcał godzinę na studia naukowe. Była więc pewna, że go zastanie. Nie przyszło jej nawet na myśl, że mógł wyjechać z Madrytu, albo być chory, ani że wogóle mogła zajść w jego życiu jakaś zmiana. Szła z sercem pełnem niewinnej ufności.

Deszcz schwytał ją na ulicy Atocha; musiała schronić się w jakiejś bramie. Gdy uspokoił się nieco, poszła dalej. Po chwili jednak zaczął padać gwałtownie, i znowu zmuszona była poszukać schronienia. Wreszcie stanęła przed domem. Weszła do przeciwległej bramy i spojrzała w okna. Balkony parterowe były zasłonięte; przez jeden z nich tylko przesączała się smuga światła. Był to gabinet doktora. Wpatrzyła się w tę smugę z miłosnym niepokojem; ogarnęło ją rozrzewnienie. Jeszcze chwila, a znajdzie się w ramionach ukochanego człowieka, który jest jej szczęściem, radością i jedynem marzeniem na świecie.

Nagle przez ową świetlistą smugę przesunął się cień kobiecy. Uczuła, że wszystka krew spłynęła jej do serca. Jak mogła o tem nie pomyśleć! Ferdynand mógł się ożenić, albo mieć zamiar wstąpić w związek małżeński. Jak mogła być tak niedorzeczną, by nie wyobrazić sobie nawet tego, co w rzeczywistości było nader prawdopodobne? Czowała, że omdlewa. Ale jak zawsze, westchnęła do Boga, by użyzył jej siły do zniesienia tego nowego i straszego ciosu, jeżeliby jej przewidywania się sprawdziły. Szybko ułożyła plan działania.

Miała już wejść do bramy, gdy ujrzała wychodzącą z domu Stefanę, Francuzkę, nianię Joselina. Służąca zatrzymała się na progu, wysunęła rękę, aby przekonać się, czy deszcz pada, otworzyła parasol i wyszła.

Rogelja weszła do bramy. Służącej nie było więc w domu. Remigjusz, który otwierał drzwi pacjentom, po godzinach przyjęć wychodził zazwyczaj na miasto, aby załatwić sprawunki i interesy doktora. Była prawie pewna, że pozostała służba nie pozna jej wcale.

Przechodząc koło brodatego portjera, który czytał gazetę, nasunęła chustkę na oczy i zapytała

o doktora Vilchesa. Ów spojrział na nią przelotnie i wskazał pogardliwie na drzwi parterowe, nie racząc odpowiedzieć. Rogelja nacisnęła guzik dzwonka. Drzwi otworzyła zalotnie ubrana pokojówka. Rogelja jej nie znała.

Służąca zmierzyła ją wzrokiem.

— Przyjęcia już skończone.

— To nagły wypadek. Przychodzę z polecenia pani margrabiny del Olmo, która zasłała niespodzianie. Jeżeli niema pana doktora, proszę uprzedzić panią doktorową, bo trzeba posłać po niego, gdziekolwiek się w tej chwili znajduje.

— U nas niema żadnej pani doktorowej — oświadczyła chłodno służąca.

Rogelja, ogarnięta wzruszeniem, przycisnęła dłoń do piersi.

Służąca, sądząc, że zmartwiła ją bardzo, pośpieszyła zapewnić:

— Pan doktor jest w domu. Jeżeli to coś pilnego, uprzedzę go.

— Tak, tak, coś bardzo pilnego; proszę mu to powiedzieć.

Służąca wyszła, lecz po chwili pojawiła się znowu.

— Proszę wejść.

Rogelja udała się za nią do gabinetu. Służąca otworzyła drzwi i oznajmiła głośno:

— Panie doktorze, to ta panienska, która przyszła od pani margrabiny del Olmo.

Pokój był pogrążony w półcieniu, gdyż na biurku paliła się tylko jedna lampa, przyćmiona zielonym abażurem. Doktor czytał.

Gdy drzwi zamknęły się za służącą, Rogelja postąpiła krok naprzód i rzekła:

— Pozwoli pan, panie doktorze?

Vilches zerwał się z miejsca.

— Czyj to głos?

Gwałtownym ruchem zerwał abażur z lampy i podszedł ku niej. Rogelja zsunęła z głowy chustkę.

— Czy to ty, Rogeljo moja, czy to ty? — zawołał. Chwycił ją w ramiona i przytulił mocno do serca.

— Tak, ja.

Trwali w uścisku, nie mówiąc ani słowa.

Vilches płakał z głową ukrytą na piersiach swojej ukochanej. Ona uśmiechała się słodko, całowała go czule, uspokajała dobrymi słowy, jak uspokaja się dziecko.

Wreszcie doktor podniósł głowę i zapytał niespokojnie:

— Na zawsze?

— Na zawsze — odpowiedziała stanowczo.

— Aż do śmierci?

— Aż do śmierci.

Vilches przytulił ją do siebie jeszcze mocniej. Po chwili spytał pocichu, drżącym głosem:

— Czy umarł?

— Zabił się.

Zacisnął zęby, a potem szepnął:

— Pilno było do piekła temu bandycie!

— Cicho, Ferdynandzie — rzekła, zakrywając mu usta dłonią. — Szanujmy wyroki Boże. My grzeszyliśmy również. Gdzież jest Joselin?

— U Fuentesów, bawi się z Luizitem. Powinien wrócić niebawem, bo przed chwilą wysłałem po niego Stefanę.

— Widziałam, jak wychodziła... Co mu powiedziałeś po moim wyjeździe?

— Że poszłaś do nieba i że wkrótce powrócisz. Parę dni temu zadał mi pytanie: „Tatusiu, kiedy mateczka wróci z nieba?” Łzy stanęły mi w oczach.



Dziecko zamilkło. Ale nie możesz mu się pokazać w tem ubraniu — dodał, patrząc z oburzeniem na ubogą odzież Rogelji. — Pójdź przebrać się do swego pokoju.

Popchnął ją zlekka ku drzwiom.

— Ale naprzód, Ferdynandzie, daj mi coś do zjedzenia, bo zemdleję z głodu. Wczoraj wieczorem, w przekonaniu, że przyjadę o ósmej rano, oddałam resztę zapasów podróżnych jakiemuś biedakowi, który spoglądał na nie wzrokiem zgłodniałym. Od dwudziestu czterech godzin nie miałam nic w ustach.

— Co mówisz? — zawołał, zdjęty przerażeniem. Pobiegl do jadalni, skąd powrócił niebawem, niosąc na tacy szynkę, marmeladę, ser, owoce.

Rogelja poczęła jeść chciwie. Patrzył na nią wilgotnemi oczyma, trzymając ją ciągle za rękę.

— No! Najadłam się dosyta — rzekła wesoło, wstając z krzesła. — Idę się przebrać.

W garderobie Rogelja zauważyła ze wzruszeniem, że wszystkie jej suknie były porozwieszane starannie. Vilches nie pozwolił ruszyć z miejsca żadnego drobiazgu.

— Patrz — rzekł, unosząc płócienną zasłonę — to jest suknia, którą miałaś na sobie w dzień wyjazdu. Codzień wieczorem przychodziłem tu i całowałem ją na dobranoc.

Rogelja uściskała go wzruszona.

— A teraz pośpieszaj, bo mały wróci lada chwila.

Zrzuciła szybko perkalową odzież, zdjęła grube trzewiki i przebrała się w wytworną suknię i ozdobne pantofelki. Po chwili rozległ się dzwonek u drzwi wejściowych. Vilches wyszedł, pozostawiając Rogelję zamkniętą w pokoju.

Słysząc było wesoły szczebiot dziecka, które wpadło do gabinetu doktora. Malec zawisł na szyi

ojca i począł obsypywać go pieścizotami. Chciał potem odejść jak zwykle, ale Vilches zatrzymał go.

— Zaczekaj chwilę, Joselinie, pokażę ci coś, co cię bardzo ucieszy.

Otworzył drzwi, w których stała Rogelja.

Zdumione dziecko rozwarło szeroko oczy i z wyciągniętymi rękoma rzuciło się ku niej.

— Mamusia!

Rogelja skoczyła jak pantera, rzuciła się na chłopca i poczęła ścisnąć go jak oszalała. Joselin oddawał jej pocałunki, choć matka dusiła go w objęciach.

Vilches płakał cicho.

W pokoju słyhać było tylko brzęczenie deszczu o szyby i odgłos pocałunków szczęśliwej matki.

Dziecko zarzuciło jej ramionka na szyję i szepnęło cichutko:

— Mamusiu, ja nie chcę, abyś wracała do nieba!

K o n i e c.







